



Jerzy Gąsiorek - Gąsior
Listy do praprawnuka

**WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA
PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM**

Jerzy Gąsiorek - Gąsior
Listy do praprawnuka

Wnukom

Gorzów Wielkopolski 2018



82-4/-6

Gąs
di's

81688

82.162.1-6
(044)

Copyright ©

Jerzy Gąsiorek

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wielkopolskim

Korekta

Anna Sokółka Danuta Zielinska

Projekt okładki

Zbigniew Olchowik

Zdjęcia

archiwum Jerzego Gąsiorka Bogdan Bloch Maciej Ławniczak Marian Łazarski
Władysława Nowogórska Zbigniew Sejwa Jerzy Szalbierz Zbigniew Wojcik

Skład i łamanie

Sebastian Wroblewski

ISBN 978 83 63404 31 4

Wydawca

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wielkopolskim
ul. Sikorskiego 107 66 400 Gorzów Wielkopolski

Druk i oprawa

SONAR Sp. z o.o.
ul. Kostrzyńska 89
66-400 Gorzów Wielkopolski

Wstęp	7
Moj drogi	9
List z dnia 29 12 2016 r	13
List z dnia 30 12 2016 r	16
List z dnia 1 01 2017 r	17
List z dnia 3 01 2017 r	28
List z dnia 4 01 2017 r	35
List z dnia 5 01 2017 r	50
List z dnia 7 01 2017 r	55
List z dnia 8 01 2017 r	58
List z dnia 20 01 2017 r	63
List z dnia 21 01 2017 r	69
List z dnia 27 01 2017 r	72
List z dnia 4 02 2017 r	81
List z dnia 10 02 2017 r	86
List z dnia 13 02 2017 r	102
List z dnia 15 02 2017 r	104
List z dnia 17 02 2017 r	113
List z dnia 20 02 2017 r	120
List z dnia 22 02 2017 r	130
List z dnia 25 02 2017 r	141
List z dnia 21 03 2017 r	153
List z dnia 6 04 2017 r	165
List z dnia 15 04 2017 r	169
List z dnia 23 04 2017 r	173

z wielką przyjemnością przypada mi przedstawić Państwu kolejną pozycję wydawniczą Wojewodzkiej i Miejskiej Biblioteki im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wielkopolskim. Jako nowemu, z nieco ponadpółrocznym stażem, dyrektorowi tej szacownej instytucji kultury przypada mi napisać mój pierwszy wstęp do książki o charakterze literackim. Kolejne losy sprawiły, że Jerzy Gąsior jest mi dobrze znanym artystą. Pewnie sam o sobie tak by nie powiedział, użyłby sformułowania: rzemieślnik. Było mi dane tłumaczyć w ramach warsztatów ze studentami jego wiersze na język niemiecki, stąd też rozbierałem je na najdrobniejsze części, aby oddać to, co autor chciał przekazać. Miałem też przyjemność odbyć niejedną krótką podróż do inspirujących miejsc, dodam, że Gąsior to nie tylko ciekawy autor, ale też wspaniaty kompan do podróży, oszczędny jest nie tylko w słowie pisanym, ale też i mówionym. Z takimi przyjaciółmi podróże są ogromną przyjemnością.

„Listy do praprawnuka” to w dużej części historia, z którą mogą utożsamiać się mieszkańcy ziem zachodnich Polski. Jest to historia migranta, używając dzisiejszego określenia, małego chłopca, który bardzo uważnie przygląda się swojemu otoczeniu, ma dar dostrzegania i zapamiętywania wielu szczegółów miejsc, do których przybywa. W odróżnieniu od tych wszystkich, którzy przesiedlali się z przymusu, autor listów zmieniał miejsca zamieszkania w związku z charakterem pracy ojca – kolejarza, nie odczuwał z tego powodu lęku czy niepewności, wręcz przeciwnie Gąsior zabiera nas w podróż do swojego dzieciństwa, przepełnionego ciekawością świata. Nawet wytrzymałość cienkiej tafli lodu na jeziorze musi zostać poddana badaniu stopami kilkuletniego chłopca. Ten czas miniony – jak sam autor określa – jest przedstawiony w sposób bardzo oszczędny, brak tu miejsca na rozwlekłe opisy. Gąsior używa raczej konkretnych szkiców, kreslonych grubym ołówkiem, nie ubarwia, skąpo komentuje. W tak naskicowanym tekście przedstawia na pierwszym planie ludzi i przedmioty, które ich otaczają, czasem zapachy i smaki, które pozostały w pamięci. Czytając listy, można domyslać się, że autor to rzeźbiarz, widzi dokładnie figury, kształty i przypomina nam o wielu przedmiotach, które „przecież nie tak dawno” – tu znowu często pojawiający się komentarz autora do przemijania – towarzyszyły nam w codziennym życiu. Gąsior dostrzega to abstrakcyjne zjawisko, jakim jest czas, w konkretnych obrazach, a sceny te rysuje ze stoickim spokojem i afirmacją życia.

Autor „Listów do praprawnuka” pisze też o czasach teraźniejszych, których jest pilnym obserwatorem, i nie szczędzi gorzkich słów krytyki

pod adresem tych, którzy mają wpływ na losy świata. Wciąż dziwi się naturze człowieka – „człowiek to geniusz i kanalia” jak sam autor cytuje jeden ze swoich wcześniejszych wierszy. Tutaj słychać z kolei Gąsiora – kaznodzieję, który przecież część swego życia spędził na naukach w seminarium duchownym, przygotowując się do tej roli.

Przesłanie „Listów”? Czy tylko dla praprawnuka? Odczytuję w nich – mimo krytyki wielu poczynan ludzkich – nieustanny zachwyt autora nad człowiekiem, nawet kiedy pisze, że człowiek to kanalia. Jednak spora część listów jest o ludziach, których autor spotkał w swoim życiu, również o tych, których minął (Niemcy, którzy opuszcili dom w Sławnie), a każdy napotkany człowiek jest dla niego przygodą, która go wzbogaca. Listy to również tekst o ciągłej chęci odkrywania świata, i o tym, że młodość to stan ducha.

Sławomir Szenwald

Koniec roku 2016 W najbliższym będę miał magiczne 77 lat
Sporo. Czy na pewno? Umyka życie, umyka pamięć, zacierają się imiona, nazwy, wydarzenia. Nachodzą mnie myśli, niepokoje, nie o swój los, ale mojej rodziny, dzieci, wnuków. Co ich czeka, jak ułoży się ich życie? A jeśli danym im będzie życie, to jak długo, w jakiej sytuacji, czy nie doświadczą wojny, kataklizmu, nieszczęść? Jak będzie wyglądał wiek XXII, w którym mam nadzieję, będą żyły moje praprawnuki, czy będzie ich interesował los prapradziadków?

Jeśli przetrwają nosniki elektroniczne, książki, ślady materialne w postaci moich prac, obrazów, fotografii, mogą się o nas (o mnie) czegoś dowiedzieć. Ale czy wtedy będą tym zainteresowane? Może. Chcę im to ułatwić.

Postanowiłem (właśnie dzisiaj, 22 grudnia 2016 r.) pisać listy do mojego praprawnuka. Nie wiem, jak będzie miał na imię. Umówmy się, że będę Cię nazywał W (jak Wnuk). W jak Wiktor – obiecujące imię. Będę się starał na kolejnych kartach owych listów opisać czas, w jakim przyszło mi żyć. Będę też wracał do czasów moich rodziców, dzieciństwa, młodości, pracy, twórczej, opisu mojej rodziny, synów, córki, wnuków. Może Cię to zainteresuje. Może w Twoim czasie, Drogi W, pozyskanie wiedzy o tym, co się wydarzyło w moich czasach, nie będzie żadnym problemem: wszystko to znajdziesz po naciśnięciu odpowiedniego klawisza w laptopie, komputerze, który zapewne będzie wyglądał inaczej niż mój, a jego możliwości będą nieograniczone. Być może, kiedy będziesz oglądał czy czytał, jak żyłem w swoich czasach (XX, XXI w.), pojawi się uśmiech na Twojej twarzy i niedowierzanie... co za prymitywy! Dziwne. Bo ja, kiedy spoglądam wstecz na swoje życie, twierdzę, że danym mi było doświadczać sukcesywnie spektakularnych czasów postępu, wzlotów, mimo że świat robił wiele, by wszystko to zniszczyć, cofnąć.

Urodzony w czasie II wojny światowej (1941 r.) w małej miejscowości Granowiec, z ojca Józefa i matki Heleny, z d. Światły. O tym, jak wyglądała wieś i moje dzieciństwo tam spędzone, napiszę w następnym liście.

Teraz zaś, kontynuując myśl, chcę Ci napisać, że to ja byłem świadkiem, jak przechodziło się od lampy naftowej, czy karbidowej, do elektryczności, od pisania piórem i atramentem, poprzez długopis, maszynę do pisania, aż do laptopa i drukarki, od prostego telefonu z kręconą tarczą, do telefonu z wystukiwaną klawiaturą, wreszcie do komórek, smartfonów, laptopów, gdzie nie tylko mówisz, słuchasz, ale jeszcze oglądasz rozmowę. A to, o czym piszę, to zaledwie część tego, czego dokonał

człowiek na moich oczach. To za mojego żywota człowiek wylądował na Księżycu, spenetrował Marsa, sięga do gwiazd, odkrywa nowe galaktyki. Ale i na moich oczach (poprzez ekran telewizora) waliły się wieżowce WTC w Nowym Jorku, bombardowano Aleppo w Syrii, anektowano Krym, probowano i Ukrainę, kłócono się w polskim parlamencie.

O tych nowościach, dokonywanych na moich oczach, mogłbym w nieskończoność. Na przykład pociąg. Taki powszechny środek lokomocji. Dymiący i buchający parowóz wydawał się szczytem techniki. Budził podziw, u dzieci niemal lęk. Wtaczał się na peron, ciągnąc ca 10 wagonów osobowych, a około 40 towarowych. Miałem zwyczaj (jak większość dzieci) liczyć je, kiedy przesuwaty się przez stację lub peron. A same wagony... Pamiętam te z drewnianymi podłóżnymi ławami, z drzwiami na przestrzał z małymi okienkami, które można było opuszczać i podnosić za pomocą parcianego pasa z otworami na różnej wysokości. Taki przedział przeznaczony na osiem miejsc, ale mieściło się i 12 osób. I były jeszcze tabliczki typu „Zabrania się przewozić w wagonie bron, nabitą materią wybuchową oraz wszelkie środki żrące i cuchnące” albo „Nie płuć, nie zanieczyszczać wagonu”. Były i wagony (jak na westerbach), do których wchodziło się z jego kranców. Przesuwne drzwi do pomieszczenia, którego środkiem biegł korytarz, a ławy rozmieszczone były po jego obu stronach. Bezpieczniejsze, a i konduktor swobodnie mógł się przemieszczać wzdłuż całego składu. W poprzednio opisywanych szedł niekiedy wzdłuż po specjalnym progu-ławie, trzymając się pionowych uchwytów zamocowanych przy każdym drzwiach. No i ten podział: pierwsza, druga i trzecia klasa. Pierwsza miała ławy wysciefane. A potem pojawiły się pulmany, początkowo też z ławami drewnianymi. Z korytarza wchodziło się do przedziału na osiem miejsc, w klasie pierwszej na sześć miejsc. A jeszcze później wagony piętrowe, i to różnego typu, wreszcie szynobusy, pendolino itp. Te ciągnęły już nie parowozy, a lokomotywy spalinowe lub elektryczne.

O kolei mogłbym opowiadać długo i z przyjemnością. Ja, syn kolejarza, tak często i chętnie przebywałem na stacjach, gdzie Tata, jako stolarz, miał swój warsztat (Karwice, Stawno).

A jakaz wielka zmiana nastąpiła w dziedzinie fotografii, w sprzęcie i jej obrobce. Moj pierwszy aparat na klisze 6x9 to ebonitowy „Druh”, filmy małoobrazkowe na 24 czy 36 klatek umieszczałem w „Exie”, potem w „Zenicie”, którym posługiwałem się później. Ograniczałem się jedynie do pstryknięcia foty. Obróbką zajmował się profesjonalny fotograf. Jeśli ktoś miał własny osprzęt, robił to we własnym zakresie. Wielokrotnie byłem świadkiem, jak taka fota – jej obraz – wyłania się na papierze fotograficznym po zanurzeniu go w wywoływaczu i utrwalaczu. A potem

jeszcze płukanie suszenie retuszowanie. Robić to mogłeś w laboratorium-ciemni w domu, najczęściej w łazience. Jedyne czerwona żarówka mogła rozświetlić mroki tego tajemniczego pomieszczenia. Nigdy sam nie dokonywałem obrobki, jedynie współuczestniczyłem w tym, dla mnie zbyt skomplikowanym, procesie. To było w latach 60. u Jurka Szalbierza – mego przyjaciela. Wymagająca środków i wiedzy zabawa. Koreks do wywołania kliszy, powiększalnik, wywoływacz, jakieś zegary, kuwety, szczypcy, płukanie, suszenie, wieszanie klisz na klamerkach... i ta uwaga, by ktoś zniecierpliwiony nie otworzył drzwi i nie wpuścił dziennego światła, wtedy cały trud szedł do kosza.

W moim domu do dziś stoi bezużyteczne oprzyrządowanie do obrobki fotografii – bawiła się w to córka Marta.

I nagle (lata 80.) aparaty cyfrowe, które wyparły analogowe, którymi praktycznie bez ograniczeń można trzaskać foty we wszystkich warunkach, ba, natychmiast mieć podgląd. Niezwykły postęp!

A jak będzie wyglądać fotografowanie (czy takie słowo będzie jeszcze funkcjonować) w Twoich czasach, co jeszcze człowiek wymyśli, ulepszy?

Mówię o tych dla mnie spektakularnych osiągnięciach techniki, byś miał porównanie z postępem Twoich czasów. Kiedy piszę te słowa, wciąż trudno mi sobie wyobrazić, że można jeszcze coś wymyślić, jedynie ulepszyć.

Too tak jak w sztuce – wszystko już w niej było. Największa „rewolucja” dokonana się w XIX i XX wieku, owe kierunki – wszelkiego rodzaju „izmy”. Realizm dawno przestał być modny. W galeriach tradycyjny obraz czy rzeźba zda się nieporozumieniem, obowiązuje nowatorstwo, happening, instalacja, szokowanie... ba, ale jak? Czym? Kiedy oglądam owe nieszczęsne poczynania autorów, towarzyszy mi często poczucie żalu (autora) i zażenowania. Co artyści będą wystawiać, prezentować w Twoim XXII wieku, nie potrafię sobie wyobrazić, ale pewien jestem, że płótna impresjonistów czy polskich realistów podwoją albo potroją cenę. Czy Hasiór (mój Mistrz) wróci do łask. Okrzyknięty w latach 70. XX wieku najwybitniejszym polskim artystą, poszedł jakos w zapomnienie. Szkoda, przecież jego poczynania artystyczne tak nowatorskie, odkrywcze, nikt wcześniej nie wpadł na pomysł, by do rzeźb wpleść żywioły. On to zrobił w sposób mistrzowski. O Hasiórze jeszcze Ci zapewne opowiem.

Cały czas ciągnę wątek tych rewelacyjnych wynalazków, stałego postępu. Na przykład drukarka 3D, za Boga nie wiem, na czym to polega. Moc „wydrukować” sobie serce, staw biodrowy, miednicę itp. To przecież absolutna rewolucja. Może to będzie w przyszłości bank, magazyn części zamiennych organów ludzkich. Wczoraj w TV pokazywano, jak przy pomocy komórki, smartfona można rzucić na płaszczyznę klawiaturę

i przy zastosowaniu odpowiedniej aplikacji na niej (tej płaskiej klawiaturze) grać Niepojęte

Daremnie próbuję sobie wyobrazić świat w Twoim czasie! Oby tylko się ostał! Tego Ci życzę

Jerzy

Portanowem /ostatnie dniem 22 grudnia 2016r.)
pisać listy do mojego praprawnuka nie mam
jaki będzie świat na inną. Umożliwi mi, że
będę Ci napisał w (jak Wmuk), w jak Wolter
-obecnie inną. Będę się starał na kolejnych
listach opisać listy opisać ci o jakim
pomyśle mi się. Będę też wracał do cię o
moich rodzinie, dzieciach, młodzie, i
pracy, karierze, opisu mojej rodziny, synów,
córek, wnuków. Moje ci, to zainteresuje,
Moje a Twoim czasie. Będę Ci pomyśleć
niektóre o tym co ci, napisał o moich cię
nie będzie żadnym problemem, napiszesz to
znajdziesz po najbliższym odpowiednim liście
a laptopie, komputerze, który zapewne będzie
myślał swojej mi, a jego możliwości
będą niesamowite. Będę moim

DROGI W

Obiecałem Ci w poprzednim liście, że spróbuję w miarę chronologicznie opisać Ci moje życie, a przy okazji zilustrować czasy, w których przyszło mi żyć.

Urodziła mnie Mama w mroźny styczniowy poniedziałek (17) 1941 roku w Granowcu. Wś w tedy nazywała się Grandorf, a urząd w Adelau (w Odolanowie) wystawił metrykę na Georg Conschorek (Jerzy Gąsiorrek). To taka dość spora wieś, leżąca przy trasie kolejowej Wrocław (wtedy Breslau) – Ostrów Wielkopolski. Granica z Niemcami przebiegała zaledwie 10 km dalej za Sosniami. To był czas wojny najokrutniejszej, i to zaledwie 20 lat po I światowej, która też zaślęnęła z czteroletniej bezsensownej rzezi europejskich narodów. Okopy, zasieki, transeje, armaty, gaz, ale przede wszystkim karabiny z bagnietami i granaty. Miliony ofiar. Brat mojej Mamy, młody 22-letni Stanisław, zginął w ostatnich dniach wojny 1918 roku.

Niemcy przegrali. Aż trudno uwierzyć, że mimo tych doświadczeń strat, już po 20 latach rozpętała nową, jeszcze okrutniejszą (1 09 1939) napadając na Polskę (Westerplatte), a wcześniej anektując Austrię i Czechy.

Kiedy byłem już na świecie, pozoga wojenna objęła połowę Europy, w licznych obozach zagłady (koncentracyjnych) mordowano i palono tysiące ofiar. Dachau, Buchenwald, najokrutniejszy na ziemiach polskich, Oswięcim (Auschwitz), Sobibor, Majdanek, Bełżec, Sztutowo, Gross Rosen, Ravensbrück, Mauthausen, w którym zginął kolejny brat Mamy, Piotr, zaledwie 42-letni. To Niemcy (nazisci). Na Wschodzie Rosjanie zgotowali rodakom jeszcze okrutniejszy los. Napadając 17 września 1939 roku na Polskę, natychmiast uruchomili morderczą maszynę. Zaaresztowano i stracono w latach 40-41 około 15 tys. polskich oficerów, a ich rodziny (głównie inteligencję) zesłano na daleki Wschód (Sybir, Kazachstan). Liczba wysiedlonych sięgała prawie miliona. Niestety, o tym wszystkim dowiedzieliśmy się po latach. W szkole, w podręcznikach żadnej wzmianki o Katyniu, Starobielsku, Kozielsku, Ostaszkowie, gdzie pochowano pomordowanych, a na zbiorowych mogiłach posadzono las.

Oczywiście ja wtedy nic o tym nie wiedziałem. Ssałem pierś Mamy, ciągnąłem mleko z butli, miałem w miarę ciepło, bo dziadek Józef, gajowy, nie miał problemu z pozyskaniem drewna na opał. Ojciec, też Józef, wysłany gdzieś na roboty pod Stalową Wolę, odwiedzał nas sporadycznie. Przypominam sobie to jakby przez mgłę. I musiał to

być zapewne już koniec wojny. Dziadek, którego też ledwie pamiętam, zmarł w grudniu 1943 roku. babcia w rok po wojnie, w 1946. Pochowani w Odolanowie. Może fakt, że wieś leżała w dawnym zaborze pruskim i jak wspominałem, zaledwie kilka kilometrów od granicy niemieckiej, zadecydował, że jej ludność nie doświadczyła tak okrutnie wojennej maszyny jak na przykład wsie na wschodzie kraju. Pamiętam, że na ponad 200 domów, które liczyła wieś, kilkanaście należało do Niemców. We wsi zlokalizowany był też cmentarz niemiecki – ewangelicki. Polaków grzebano we wspomnianym Odolanowie, oddalonym o 8 km. Kondukt żałobny niezależnie od pory roku, pokonywał ten dystans na nogach.

Opowiadała mi Mama, że dziadek umierał zupełnie świadomie. Ponoć prosił babcię (żonę), by jadąc zaprzęgiem do Odolanowa w chłodny grudzień z jego pogrzebem, włożyła sobie pod stopy rozgrzaną cegłę. To był dość powszechny zwyczaj. Nam, dzieciom, do zimnej poscieli wkładano kamionkowe butle z gorącą wodą, a pierzynę rozgrzewano, przykładając ją do kaflowego pieca. W tym palono od święta lub w wyjątkowe mrozy. Węgiel był dość drogi, drewno, z racji sąsiedztwa lasu, było bardziej dostępne. Latem babcia zbierała chrust i szyszki, świetnie paliły się pod kuchenną płytą. Owe łamliwe gałązki różnej wielkości i grubości nazywano „knetofki”. Ach, ile dziwnych słów, dziś zapomnianych, używali na co dzień moi rodzice, dziadkowie, sąsiedzi: krapycka (laska), łokowita (denaturat), gazolina (pasta), sklep (piwnica), miderok (spodnica), westka (kamizelka), pacharzyna (pęcherz), szafonierka (wysoka szafka), pyrki (ziemniaki), bania (dynia), giermuska (zupa z chleba), miech (worek), zdzołtko (lusterko), ryczka (niski stołeczek), gagacyna (akacja), sznupa (gęba), bajery (szlabany), mucek (fajka), kelka (nabierka), sztrykowac (robić na drutach), plendze (placki ziemniaczane), świętojanki (porzeczki).

Na szczęście nie mam bolesnych wspomnień wojennych. Jakies pojedyncze scenki: duży pokój oddany załodze (czterech żołnierzy) niemieckiej. Pod nieobecność Ojca, Mama przy tej stacjonującej grupie czuła się bezpiecznie. Pamiętam też wiszącą na małej brzozie przy bramie metalową obręcz koła, w którą uderzano – to sygnał alarmowy, kiedy zanosiło się na naloty. Breslau leżał zaledwie 80 km od Granowca. Pamiętam przelatujące samoloty (dzieci wołały „Fligier leci”), pamiętam ogrom srebrnych pasków lecących z góry i zaskielających pobliskie tereny przystajne – to sposób na zagłuszanie radarów. Pamiętam sporadyczne zejścia do małej piwniczki, która była pod 1/4 domu. Pamiętam też, jak zimą, to był chyba styczeń 45 roku, z lasu od strony Krzyżnego (ze wschodu) wyłoniła się pieszka kolumna żołnierzy radzieckich, w grubych kufajkach, szynelach i uszankach. Ponieważ nasz murowany dom stał na

skraju i sąsiadował z owym lasem grupa tych żołnierzy wtoczyła się do naszej izby – kuchni. Mama ugotowała im gar kartofli, zapewne na żądanie. Jeden z żołnierzy z przyjacielskim gestem nałożył mi na głowę swoją ciepłą dużą uszankę... To wszystko obrazy mgliste, ułomne i niebudzące strachu. Starsi zapewne mieli inne odczucia.

W Granowcu mieszkalem do szóstego roku życia. Zdążyłem rozpocząć naukę w pierwszej klasie siedmioklasowej szkoły. Wcześniej krótko chodziłem do tzw. ochronki (tak mówiono na przedszkole).

Dom, wybudowany w 1928 roku przez dziadka, gajowego, był murowany w takim symetrycznym układzie. Nieco z tyłu i z boku była drewniana stodoła, kryta strzechą, z jednym tylko sąsiedkiem, na klepisku młotcono cepami zboże, a z boku stała sieczkarnia z dużymi bliźniaczymi kołami. Od strony frontu, przy samej drodze, murowana oborka z drewnianą górą. Nie mieliśmy dużego gospodarstwa, ale jak większość małych pól (Siefel i Krzyżne) i duży ogród z wisniami, jabłonią i porzeczkami. We wspomnianej oborze krowa (czerwona) wołano na nią Zuzia, była też przez pewien czas koza, jakieś świnki i jak w większości gospodarstw kury, gęsi i krowki.

Wodę czerpalismy ze studni, a woda w niej krystalicznie czysta i zimna. O dziwo po tylu latach żuraw do dzisiaj stoi, choć nikt już ze studni wody nie czerpie.

Płoty sztachetowe, przy nich lipy i brzozy. To było urokliwe miejsce.

Tak chyba odbierają otoczenie wszystkie dzieci, bezpieczne, przy rodzicach, w miarę zdrowe i niegłodne. Świat zabawek, w porównaniu z dzisiejszym, żaden. Piłka, hulajnoga, bączek, popędzany bacikiem, zabawa w konie (dwoje lub troje dzieci), klasy, skakanka, szmaciana lalka, ołowiane żołnierzyki. Kolejka to już szczyt marzeń, podobnie jak rowerek.

Ja wchodziłem w świat rysowania, domki, zaprzęg krowy (sic!) lub konny, ciągnący wóz z sianem, pasące się krowy, biegające gęsi i kury, w świat, który obserwowałem i który przenosiłem na papier. Tego nie było pod dostatkiem, podobnie jak kredki. Pamiętam, że rysowałem na marginesach gazet, jakichś druków, najczęściej zwykłym ołówkiem.

Latem biegaliśmy wyłącznie boso, piasek parzył stopy. Po deszczu, po kałużach, macerowaliśmy stopami „błocko”. Za płotem były tzw. „grząbki” – piaszczysty nieużytek z rdestem i piołunem – wspaniały plac zabaw. Na skraju nieużytku stał drewniany krzyż, pod którym śpiewano pieśni maryjne i wielkopostne.

Jerzy

DROGI W

Dzisiaj ostatni dzień roku. Większość ludzi podobnie jak ja szacuje miniony. Zatem w dużym skrócie. Pozytywy: jestem zdrowy, zrobiłem sporo asamblaży, namalowałem kilkanaście pastelów – pejzaże Santoka, przejechałem sporo kilometrów rowerem i motocyklem Suzuki Savage 650 I (czopperem). Wydałem dziewiąty tomik poezji „Usłyszeć ciszę”. Odwiedziłem wnuki w Czechowie i Poznaniu. Kupiłem piwnicę (50 m²) przy ul. Mieszka I, by móc gromadzić prace, może z czasem zrobię tam pracownię. Wiele dni w Santoku, budowa kładki z Romanem Habdasem nad Zalewem Bledzewskim.

Negatywy: Wiecha, zona walczy z rakiem, bierze chemię, w związku z tym nie podjąłem żadnej dalekiej wyprawy rowerowej, dużo złego w krajowej polityce, kłótnie nieustające w sejmie, marsze protestacyjne (KOD-u) w Stanach Zjednoczonych, wybór nowego prezydenta – Trumpa po pozytywnym Obamie. Świat wciąż skłócony, żądny krwi. Zamachy terrorystyczne we Francji, Niemczech, Włoszech (w grudniu, tuż przed świętami, ginie polski kierowca TIR-a spod Pyrzyc). Milionowe Aleppo w Syrii w gruzach. Papież Franciszek w Polsce – w Krakowie na Świątecznych Dniach Młodzieży. W grudniu na trzech pogrzebach. Dlatego cieszy mnie każdy dzień, nie narzekam, przebaczam (trudniej mi to przychodzi wobec polityków).

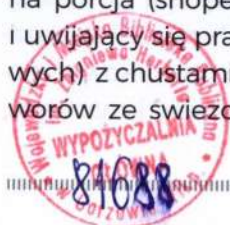
Sylwester – słoneczny, -2°C do +3°C w dzień. Wciąż nie mogę pojąć, skąd te szampańskie nastroje, bale, fajerwerki. Przecież o rok jesteśmy starsi, bliżej kresu! Ale to moje zachowanie i myślenie w tym dniu jest nietypowe.

Jerzy

DROGI W

To pierwszy list pisany w nowym 2017 roku. Sto lat temu Wielka Październikowa Rewolucja, która rozpoczęła okres tylu nieszczęść. Petersburg, Lenin, Trock, Pugaczow, zamordowana rodzina carska, Biali i czerwoni, Rozłana krew, Mordy i egzekucje. A potem czasy stalinowskie, Stalin, Beria, Jagoda, Jezow, Dzierżyński. Wszyscy mieli krew na rękach. Mordowali i sami też zostali zamordowani. Tysiące obozów łagrow, Wypędzenia, przesiedlenia, Zapelnione sierociniec, głód na Ukrainie, tej która miała najbardziej urodzajne ziemie. Wiele czytam o tym, oglądam filmy, dokumenty. Coraz bardziej przeraża mnie człowiek. Czy w Twoich czasach nadal toczą się wojny i człowiek wciąż zabija? A może świat dyszy ostatkiem sił, zmieniono granice, religie, czy jest jeszcze Polska? Te pytania w obliczu tego, co oglądam, mają sens.

Wracam do mojej przeszłości. Jeszcze Granowiec. Pierwsze sześć lat mojego dzieciństwa. Fakty jak przez mgłę, ale – o dziwo – pamiętam zapachy. Pylista droga po deszczu, siano nad oborką, żywiczny las, świeże mleko przepuszczone przez centryfugę (to taka maszyna odcedzająca mleko i śmietanę), serwatka. No i jeszcze zapach chleba wysadzanego z pieca przez Babcię i Mamę i kwiaty w ogrodzie. I bardzo mocny zapach choinki z piernikami, która stała w zimnym pokoju. Zapachy i obrazy, które już nie wrócą. Owe konskie i krowie zaprzęgi, piach mielony obręczami wozów (gumowe pojawiają się później), młockarnie (Lanze, może z Gorzowa, kiedyś Landsbergu, gdzie była fabryka maszyn rolniczych) napędzane „pufającymi” silnikami, a połączone pasami transmisyjnymi. Takie młócenie zboża, które wcześniej złożono w stodole czy stogu, to wydarzenie. Maszyna (młockarnia) była wynajmowana (w Granowcu parał się tym Stryjak z Krzyżnego). Ciężką maszynę przewożono, zaciągano koni. Małe żelazne koła zarywały się w piachu. Konie z naprężonymi mięśniami, popędzane krzykiem i batem, złobiły koleiny, przemieszczały owe „piekielne” maszyny. Dla dzieci, wciąż odganianych – bo to sytuacje niebezpieczne, to był niecodzienny widok. Kiedy maszyna już pracowała, spektakl nabierał siły. Charakterystyczne buczenie, owe powtarzane „wzu...” kiedy zapadała porcja (snopek) przebrnęła przez rzeszota młockarni, plewy, kurz i uwiązający się pracownicy. Często w okularach (takich lotniczo-motorowych) z chustkami (rodzaj maski na głowę). I ci uginający się pod ciężarem worów ze świeżo pozyskanym ziarnem. Niektóre wiązano i stawiano



na wadze. Większość wędrowała na strop domu czy spichlerza, by doszło ku ucieście myszy, które chwaliły sobie owe zapasy.

Ach, ilez takich obrazów jawi się we wspomnieniach. Na przykład obrotowy manez z wydeptanym kręgiem, wykopki, wtedy ręczne maszyny pojawiają się później i u bogatych. Pyrki (ziemniaki) trafiały do koszyków, te na wóz w tzw. „helę” z burtami. A potem do piwniczki. Zrzucano je przez małe okienko, przez specjalną drewnianą rynnę z takim dziwnym łoskotem. A owe sianokosy, przegrabianie trawy, by doszła. Zgarniano ją na tzw. lusy, potem w kopki, wciąż spoglądając na niebo. Kiedy szło na deszcz, uwijano się, pokrzykiwano, by zdążyć, by nie zmokło, by praca nie poszła na marne. Często przed burzą wiatr wy czyniał harce, rozrzucał kopki, przerzucał kępy, robił diabelskie młynki. Mówiono – diabeł szaleje. Kiedy siano było suche, łądowano je na wozy, tym razem drabiniaste, takie rozciągnięte. Podający i przyjmujący. Ten pierwszy z dwuzębnymi widłami, ten drugi na wozie operował rękami i nogami, ubijając każdorazowo kopę, by się zmieściło jak najwięcej. Niekiedy był i powożący. Tę rolę pełniły często dzieci. I ten moment, kiedy fura była wysoka, gdy zarzucano na nią belkę, zwaną powązem, by zapewnić większą stabilność fury. Z przodu grubsza, z takim wy cięciem na łańcuch, z tyłu cieńsza, wystająca za furę, a ściągana liną, jak najbardziej do dołu. Na gorze tworzyła taką bruzdę, bezpiecznie było w niej wszystkim się tam usadowić. Widły i grabie utykano z tyłu fury. I powrót. Mielismy łąkę za torami, około 2-3 km od domu. Można więc było rozłożyć się na sianie. Oglądać świat z góry lub leżąc, patrzeć w niebo, w chmury. Kiedy wóz wjeżdżał w lipową aleję, tuż za stacją, aż do placu przy Tomaszewskiej, należało niekiedy skłonić głowę, by nie spotkać się z gałęzią, lub – co chętnie robiłem – leżąc, na wznak, łąpac przesuwające się nad głową liście. Boże, ile tych wspomnień. Piękne, beztroskie, bezpowrotne.

Na wspomnianą łąkę, w okresie po zebraniu siana, pastuszkowie zaganiali krowy. Nie pamiętam, by wypasano tam owce czy kozy. I mnie przyszło w obowiązku pędzić „za tory” naszą jedyną czerwoną Zuzię. Obowiązkiem pastuszka było uważać, by krowa nie weszła „w szkodę” na pole czy łąkę sąsiada.

Ale był czas, kiedy już zakończono na wszystkich łąkach zbior siana. Wtedy krowy mogły chodzić swobodnie, nie bacząc na granice. To był najpiękniejszy czas, mogliśmy bawić się, robiąc tamy w pobliskiej rzeczce, zwanej Polską Wodą, chyba dlatego, że już płynęła po naszej stronie. Inną ulubioną zabawą było robienie ze starych puszek uwiązanych do drutu – swoistych kadzielnic. Puskę należało podziurkować do środka, chrust, trawę, często wysuszony krowi nawóz. Rozpalić i machając

zataczając kręgi, rozniecić ogień i puszczać smugi dymu. To zabawy na czas pogody. Ale bywały i dni słotne. Często w rogach pastwisk pojawiały się sklecone z desek takie małe budki, niekiedy szałas, budowane w pośpiechu, gdzie można było się schronić. Częściej jednak stawiało się pod drzewem, jeśli były w pobliżu, albo chowało w mende (różnie je zwano). Wygodne i najczęściej złożone z 12-15 snopków, dawały świetne schronienie.

Bałem się burzy. W tym czasie były dość regularne. Dzienny upał, a pod koniec dnia jej pomruki, wielokrotnie z piorunami. Spędzaliśmy wtedy krowy i popędzając je, uciekaliśmy do domu. Jeśli postronek był lniący, trzymało się krowy na uwięzi, a jeśli łancuch, puszczało się go luzno. Ostrzegano nas, by nie dotykać w czasie burz przedmiotów metalowych.

Nie było w owym czasie prawdziwych płaszczy przeciwdeszczowych, tym bardziej parasoli. Do domu więc wracaliśmy przemoczeni do cna. Pamiętam też, jak oceniano się, czy krowa jest napasiona. Tuż przed tylnymi wystającymi łopatkami są takie zagłębienia. Jeśli nie było ich widać, znak to, że krasula jest syta. To pasanie krowy najpierw mi imponowało, byłem bodajże najmłodszym pastuszkim. Z czasem stało się uciążliwym obowiązkiem. W niedzielę zwalniano mnie z tego. Na szczęście trwało to zaledwie rok. W 1948 roku, kiedy miałem już siedem lat, wyjechalismy do Karwic, na tzw. Ziemię Odzyskaną. O tym w następnym liście.

Jerzy

Ja w roku 1946 Granowiec



Moj dziadek Jozef Swiatly, gajowy Granowiec ok. 1930 r.



Gajówka Chmielnik k Krotoszyna dziadkowie i mama (z psem) ok. 1930 r



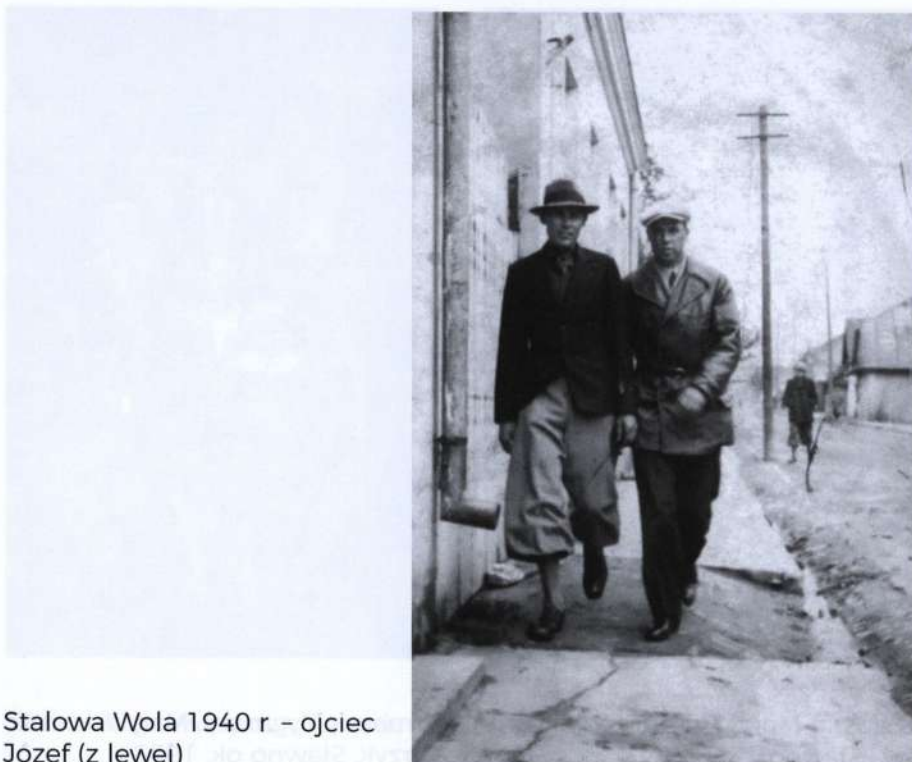
Przed gajówką Chmielnik k Krotoszyna, moja mama z lewej, ok. 1930 r



Dziadkowie Anna i Józef Światły z mamą Heleną (wówczas 9-letnią)
Granowiec 1918 r.



Babcia Anna (z domu Dobras) i dziadek Jozef Swiatly



Stalowa Wola 1940 r - ojciec
Jozef (z lewej)



Rodzina w komplecie. siedzą rodzice. stoją Zygmunt, Jerzy, Leszek, Maryla, Sławno ok. 1952 r.



Z siostrą Marylą w dniu I Komunii
św. Sławno 1950 r.



Z mamą Zygmunt, Maryla, Leszek
Jerzy, Sławno ok. 1952 r.



Sławno ok 1952 r



Mój pierwszy rower (Granowiec)



Ślub z Wiesławą, przed Urzędem Miasta w Gorzowie, 1972 r.



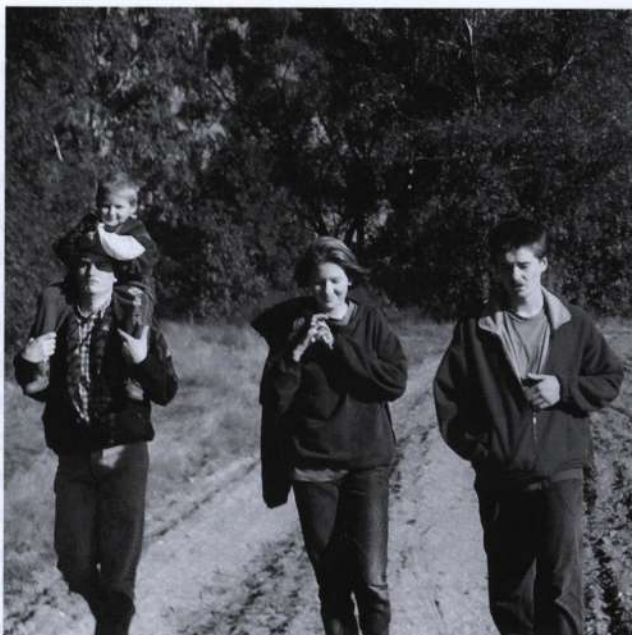
Ojciec Józef z siostrami Zofią i Marią Granowiec lata 80.



Mama (tesciowa) Irena z 3-letnim Wojtkiem, 1992 r.



Z Wojtkiem, 1990 r



Dzieci: Grzegorz z Wojtkiem (na ramionach)
Marta i ich kuzyn Jacek Mosiej



Z wnukami Maciek Majka i Agata Czechow

DROGI W

Do Granowca w opisach jeszcze wrócę. Rodzice opuścili go tylko na sześć lat: ja na dłużej, bo ucząc się z dala od domu, mieszkiałem w internatach, akademikach różnych miast, ale odwiedzałem dom w święta i wakacje.

Dlaczego Karwice, potem Sławno? Zaraz po wojnie rzemieślnicy, kolejarze wysyłani byli na Ziemie Odzyskane (to nazwa propagandowa, te ziemie ponad 800 lat nie należały do Polski). Ojca skierowano na Pomorze, w okolice Koszalina, Słupska. To duże węzły kolejowe. Zamieszkał w bliźniaku w Karwicach, przy szosie Sławno – Darłowo. Stąd do morza było tylko 12 km. Nasza rodzina była już w komplecie. Najmłodszy Zygmunt urodził się w październiku 1947 roku w Granowcu, jak wszyscy i to w domu, przy pomocy położnej (wtedy mówiło się akuszerki). Do Karwic przyjechał więc w wiklinowym wozku. Dzisiaj mgliście to wspominam. Był chyba marzec 48 roku, ze stacji do naszego domu było około 300 m, a idąc na skróty przez podwórze poniemieckiego gospodarstwa (już zasiedlonego), zapewne tylko połowę. Pamiętam moment pierwszego zetknięcia się Mamy z nowym domem i jej łyż. Kuchnia, ceglana podłoga, piec, szafa, stoł, drzwi do sieni i skrytki. Dla nas, dzieci, wszystko to było nowe, ciekawe, np. elektryczne światło. Nie było chyba kranu z wodą, bo Mama chodziła do pompy w pobliskim gospodarstwie, o którym wspominałem. Mieszkała tam liczna rodzina Kępskich, przesiedleńcy, ale nie z Bugu, a gdzieś z okolic Opoczna. Mama Kępska miała charakterystyczny strój, zapaskę w takie kolorowe paski. Bodajże trzy dziewczyny i dwóch chłopców. Pamiętam tylko najstarszego Władka, który później mieszkał z nami w Sławnie, pod nieobecność najstarszego brata, Leszka. Władek był operatorem kinowym. Wtedy to był atrakcyjny zawód, funkcjonowało powszechnie kino objazdowe, świetne narzędzie propagandy na czasy stalinowskie.

W Granowcu, jako sześciolatek, zacząłem podstawową edukację. W Karwicach, tuż za torami, w pięknej piętrowej willi była klasa dla pierwszaków. Załedwie kilkoro dzieci, dołączono mnie do nich. Nie pamiętam nazwiska pani nauczycielki. Pamiętam, że była wysoka, z kokiem i w oficerkach (sic!). Do owej szkołki chodziłem tylko do wakacji, czyli około trzy miesiące. Do drugiej klasy już do pobliskiego (około 1,5 km) Słowina. Szkoła w takim dużym poniemieckim domu na krancu wsi. Chodziliśmy tam pieszo w pogodę i niepogodę, latem i zimą. Ulubiona

zabawa to przedzieranie się przez głębokie śnieżne zaspy w rowach. Latem odwiedzaliśmy bukowy las, pełen charakterystycznych nasion, którymi się zajadaliśmy. Moim kolegą był Kazmierczak, chyba Bogdan. Ojciec był zawiadowcą stacji, mieszkali w budynku okazałego dworca. Przybyli z Pleszewa. Na samej stacji (wejście od peronu) Ojciec miał mały warsztat stolarski. Lubiałem tam zaglądać i obserwować przejeżdżające i zatrzymujące się osobowe pociągi. Nieco niżej, za warszatem Ojca, była kuźnia. Kowal mieszkał nieco dalej, przy szosie na Sławno. W pobliżu też moja nauczycielka, pani Drabikówna.

Lubiłem psocić, zaczepiać. Pewnego razu jadąc do szkoły w Stowinie panią nauczycielkę usiłowałem zatrzymać wystawioną nogą obutą w kalosz, tak nieszczęśliwie, że czubek dostał się między zębatkę a łańcuch. W konsekwencji straciłem część palca prawej stopy. Niedobrze to się goiło, wylądowałem na dwa tygodnie w szpitalu w Sławnie, do którego za kilka miesięcy mieliśmy się przeprowadzić. Pierwszy raz poza domem. W dzień zaglądałem we wszystkie kąty łącznie z kostnicą. Nocą bałem się okropnie, zwłaszcza kiedy zostawałem sam w sali.

Z Karwic jakieś pojedyncze wspomnienia. Przepędzanie szczurów, które wyległy się w małej piwniczce, nasze wskakiwanie na stoł, kiedy wydostały się do kuchni, a Ojciec dzielił je łagą (brrr). Moje polowanie na wroble. Naprzeciw domu stał murowany chlewik (bliźniaczy). Wewnątrz tuż przy drzwiach korytko z ziarnem dla kur. Wszędobyłskie wroble zlatywały się chętnie do owego „karmnika”. Na strychu znalazłem małą drucianą klatkę na ptaki, aż się prosiło, by ją zapełnić. Z okna obserwowałem harce ptasie. Kiedy zjawiały się przy korytku, zakradałem się zniechęcając i od zewnątrz zamykałem drzwi. Ptaki natychmiast gromadziły się przy małym oszklonym okienku, łatwo mi było je stamtąd ściągnąć i „zapakować” do klatki. Zabawę skończyłem, kiedy jeden z wrobelków zakleszczył głowę w oczku siatki i już jej nie potrafił wyjąć. Przeraziłem się i podarowałem im wolność.

Dobrze pamiętam obfite połowy ryb w pobliskim stawie. Tata z kolegą zbili taką drucianą bramkę (przypominała jakby bramkę do hokeja), wystarczyło przeciągnąć ją od brzegu do brzegu (staw około 100 m długości), by wydobyć naprawdę mnóstwo dorodnych ryb. W tym stawie, tak charakterystycznie pachnącym, poiono konie, zanurzano wozy, które rozeschły się na słońcu. Zimą była to doskonała ślizgawka. Ulubioną, choć niebezpieczną, zabawą było zjeżdżanie po drucie z jednego brzegu na drugi, trzymając się oburącz wyżłobionego metalowego krążka z przymocowanymi uchwytami na ręce. Takie kołka powszechnie stosowano w urządzeniach kolejowych do podnoszenia zapor czy semaforów. A propos. Z okna naszego domu widać je było, kiedy był podniesiony.

wychodziliśmy z domu i swobodnie zdążaliśmy na pociąg. Ojciec już czekał z biletami. Pamiętam też przejazd z Ojcem dreżyną taką napędzaną rękoma, gdzieś do najbliższej stacji Wiekowa, w kierunku Koszalina. I włóczenie się po rampach stacyjnych z pochylniami i metalowymi boksami. Dopiero po latach uzmysłowilem sobie, że Karwice to w zasadzie nazwa stacji, sama wieś była 2 km dalej, wieś z kościołem (szachulcowym) i wielkim, poniemieckim majątkiem, gdzie przecież hodowano bydło i świny. Stąd zapewne te rampy.

Do Słowina, gdzie była szkoła i kościół, mieliśmy bliżej, dlatego w tamtym czasie w ogóle nie znałem wsi Karwice. Dzisiaj ta wieś, składająca się z kilku zaledwie domów, stanowi osadę o nazwie Sęczkowo. Asfaltowa szosa w dobrym stanie, wtedy zupełnie pusta. Jeździłem po niej fajerką popędzaną drutem, nauczyłem się tu jeździć rowerem, i to pod ramą. Nią też wozem drabiniastym jechaliśmy nad morze, kiedy kończyłem edukację w pierwszej klasie. Szkoła zorganizowała nam wyjazd do Darłowa. Pierwszy mój kontakt z wielką wodą. Sprawdzanie, czy woda jest słona, wizyta w muzeum, z którego zapamiętałem jedynie cielaka o dwóch głowach.

Pamiętam okropny ból zęba, granie pięcioma ołowianymi kostkami na kocu, pamiętam wkuwanie tabliczki mnożenia, chowanie się pod pierzynę, kiedy ciemno na dworze, a Mama gdzieś wybyła. No i okropne łanie (pasem), kiedy w Słównie, łażąc po kruchym lodzie małego stawu, skąpałem się cały w mroźny dzień. Jacyś ludzie przygarnęli mnie, rozebrali, suszyli przy piecu, poili kawą z mlekiem. I to czekanie na przyjazd Ojca, powiadomionego przez kolegę Kazmierczaka. Ojciec przyjechał, posadził mnie na rowerową ramę, zawiozł do domu i złożył mi skórę, tak że do dziś pamiętam, o dziwo nawet Mama się do tego dołożyła. Nie mam żalu, to w trosce, kilka dni wcześniej skąpałem się w pobliskim stawie. Dzisiaj dzieci mogłyby rodziców podać za to do sądu. O tempora, o mores!

I jeszcze jeden obraz. W owych pomorskich miejscowościach sporo było Niemców, nieprzesiedlonych. U Kępskich pozostały dwie Niemki. Mieszkały kątem w pomieszczeniu gospodarczym, gdzie na szczęście był piec, bo przygotowywano na nim zarcie dla świni. Zapewne głodowały. Moja – jak zawsze cudowna – Mama, idąc po wodę, wkładała do pustego wiadra bochenek chleba i obdarowywała owe nieszczęsne dziewczyny. Nie wiem, ile razy to czyniła, wiem tylko, że robiła to w tajemnicy.

Pamiętam mglistość niektórych ludzi, zazwyczaj sympatycznych, np. p. Marcza, obok którego domu przechodziliśmy, idąc do szkoły, zawsze z pewną obawą, bo ów nie miał trzech środkowych palców prawej dłoni i sływał z pijanstwa, mówiono, że pił denaturat, ku przerażeniu Mamy.

Była przy płocie oddzielającym podwórko od ogrodu huśtawka zrobiona przez Ojca, taka ze sztywnymi drążkami. Za płotem sad ze znakomitymi renetami. Zimą zajadaliśmy się nimi. Leżakowały w takim dużym wiklinowym koszu. Co za smaki! Ze smaków - plendze (to placki ziemniaczane) robione przez Ojca, wafle w takich żeliwnych formach, cukierki robione własnym sposobem - ciągliwy karmel i rabarbar, co gębę wykrzywiało i szczaw, co roś w obfitości, i chleb cukrem posypany i wodą skropiony. To tyle o Karwicach (dzis Sączkowo). Kiedy jestem na Pomorzu, prawie zawsze staram się przez ową osadę przejechać, po wspominać, rozczulić się. Jenemu szkoda, że się to nie wroci.

Jerzy

Na początku, nie mam bolemych wspomnień
 z tamtych lat. Pojeździłem sceniczną trasą
 polną, osiedlałem się w (4 istnieniu) wiodącym
 pod nieobecność ojca, która przy tej okazji
 grupie miała być wycieczką. Pamiętam też
 wycieczkę na matę, która przy granicy metalowej
 obrotu, a która adresem - to typowa
 alarmowa, która zanosiła się na maloty
 Breslau, która należała do 80 km od Granowa.
 Pamiętam przelatujące samoloty (olivia wózki
 "Hyper Lee"), pamiętam opram srebrnych polach
 lecących z gór, a wycieczkę do podziemia
 Aerony przystanki - to spowolnienie na rajstowanie
 radarów, pamiętam spracowane rejserie do
 maty pionierów, która była post 1/4 domu,
 pamiętam też jak umi (to byłaby droga 1/4 domu
 45 r) z domu od strony Krzyżów (re widoku)
 myślenie na piśmie holownia istnieniu
 radiodruku, a przychodzących, myślenie
 i umi. Pamiętam nam domu stat na
 skraj i sprowadzić z całym domem, grupę
 tych istnieniu istnieniu do namy, ino
 - ludmi. Mamma upstrona im gar kartofli,
 napoje na zjedzenie

NSD we Wschowie
(ja w drugim rzędzie
czwarty z prawej)
1955 r



NSD w Słupsku
z P. J. Pilarską polonistką
i romanistką 1956 r

Budynek słupskiego
seminarium przy ul.
Szymanowskiego 5



Seminarzyści
stąpskiego seminarium
z kadą profesorską
Stąpsk 1957 r



Koledzy ze Stąpska n. Stąpią 1957 r



Koledzy ze Stąpska 1958 r



Paradyż 1958 r.



Paradyż 1958 r.



Korespondencyjne
Liceum
Ogólnokształcące
w Gorzowie. klasa
maturalna. 1960 r.

DROGI W

A teraz opowiem Ci o Sławnie w którym spędziłem pięć kolejnych lat. Moje bodajże najpiękniejsze. Nie pomnę momentu przeprowadzki. Zapewne było to w wakacje, bo do trzeciej klasy chodziłem już tam właśnie, do pięknej murowanej (z licowanej cegły) i piętrowej szkoły, wybudowanej w latach 20. XX wieku.

Zamieszkaliśmy w bliźniaczym domku przy ul. Słonecznej 6. Po śmierci Stalina zamieniono tę piękną nazwę na ul. 8 Marca (sic!) (to święto kobiet). To całe osiedle podobnych domków na krancu miasteczka, między drogami na Koszalin i Polanów. Wchodziło się do domu po kilku kamiennych stopniach od strony podwórza. Od sąsiada odgradzał nas murowany chlewik, szopa, w której hodowaliśmy swiniaka, kury i kroliki w oddzielnej klatce. W tej przybudowce był również ustęp (ubikacja). Ale woda była już w kranie. W domu korytarz, kuchnia, dwa pokoje, z korytarza wejście do piwnicy (dwukomorowej), gdzie składowaliśmy opał, słoiki i beczki z kapustą, ogórkami, często i z mięsem. Nad wejściem do piwnicy schody na piętro (poddasze). Tu niewielki pokój z uchylnym okienkiem i duży pokój z oknami wychodzącymi w szczycie, z widokiem na ogród. W kuchni piec na węgiel, w pokoju w narożu piec kaflowy, jedna jego ściana wychodziła na drugi pokój (sprytnie pomyślane). W nich paliło się jedynie zimą. Większość czasu zatem spędzało się w kuchni, przy jednym stole jadło się, odrabiało lekcje, grało w gry planszowe. My dzieci mieliśmy swój pokój na gorze, duży, jasny, przestronny. W skosach dachu przy podłodze dodatkowe schowki, skrytki. Mądre rozwiązanie. Prawie przy każdym domu dość duży ogród-sad. Altanki, szopki to już sprawa indywidualna. My akurat taką zastaliśmy. Moją ulubioną zabawą było wdrapywanie się na nią i skakanie na miękką trawę. W sadzie sporo drzew owocowych, głównie jabłoni. Ulice osiedla w owym czasie nie wszystkie były utwardzone. Na większości i na naszej sprawdzała się szlaka. Ruch pojazdów był wtedy znikomy, więc były w świetnym stanie. To były ciągi pieszo-jezdne, ograniczone żywopłotem. Wyglądało to znakomicie. Chodnik był przy ul. Kossaka, to taka poprzeczna między Koszalińską a Polanowską. Na rogu tejże i Kossaka piekarnia, do której chętnie zaglądaliśmy. To ciepło, zapach chleba. Rozwożono z niej takim konnym wozem na gumowych kołach, z budą na wypieki, do sklepów, osrodków. Ulice Polanowska i Koszalińska wyłożone były małą kostką granitową. Do dziś słyszę stukot podków

końskich po owym bruku, a przecież mieszkaliśmy od tych ulic kilkaset metrów. Zimą jeździli po nich sanie. Pamiętam te przewożące dłużycę (nieokorowane bale). Chętnie doczepialiśmy do nich sanki (darmowe kuligi) najlepiej cichaczem, by woźnica tego nie zauważył. Samochody wtedy przejeżdżały rzadko, częściej nieliczne motocykle (SHL-ki). Brat Leszek złożył sobie swój rower, rzadko pozwalał mi go dosiadać. Przy tej szosie mieliśmy swoje pole kartoflane. Wykopane kartofle przewoził Tata w workach na rowerze, przerzucając je przez ramę. Nieco dalej w stronę Polanowa zaczynał się mały podjazd. Szosa wchodziła w las. Tu sporo małych górek. Wykorzystywaliśmy je do zjazdów na sankach czy nartach. Urządzaliśmy tam nawet małą skocznię. Oprócz nart i sanek jeździliśmy naturalnie na łyżwach, takich z ząbkami przykręcanymi specjalnym kluczem do podeszwy butów. Podeszwy często się odrywały, ku przerażeniu rodziców. Dobry but to duży wydatek. Pamiętam, że Mama obuła mnie w swoje wystuzone kozaczki. Rozmiarem nieco za duże, w przód wkładało się watę lub papier. Krępowwały mnie te buty, bo z tyłu miały nieco podwyższone obcaszki. Buty nosiło się też po starszym bracie. Latem biegaliśmy w trampkach lub tenisówkach. Pamiętam, że nawet do I Komunii św. (to właśnie w trzeciej klasie) szedłem w szarych tenisówkach, siostra w białych. Przystępowaliśmy równocześnie, mimo że byłem o rok i dwa miesiące młodszy. Przygotowanie do tejże w kościełku pw. św. Antoniego (piękny z lat 30. XX w.). Przechodziłem obok niego prawie co dzień, idąc do szkoły. To mały skróty. Polna drożka zakończona drewnianym mostem nad kanałem, który łączył się za młynem z rzeką Wieprzą. Drugi i trzeci mostek nad tymże był nieco dalej. Ale to jedyna droga prowadząca do tej pięknej szkoły, za nią równie piękna i funkcjonalna hala sportowa. Tuż za nią wymiarowe boisko do piłki nożnej, obwiedzione bieżnią, po której się ścigaliśmy na lekcjach wychowania fizycznego (wtedy mówiło się gimnastyki). Na owy stadion zabierał nas nieraz Ojciec na mecze piłkarskie. Z jednej strony na całej długości boiska były drewniane ławy. Lubiliśmy te wycieczki z Ojcem. Idąc na mecz, kupował nam lody czy karmelki, a w majowe święto nawet parówkę. Na wspomnianej sali mój starszy brat Leszek trenował boks, wówczas dość popularny. Ja zrezygnowałem po dwóch treningach.

Ojciec Wysoki, szczupły, przystojny, wesoły, niestroniący od kielicha. Tu, w Sławnie, podobnie jak w Karwicach, miał również swój warsztat. Wejście od uliczki z tyłu stacji. Na perony można było przejść przez tory. Ach, co to była za stacja! Duża, ceglana, aż z trzema peronami zaduszonymi. Schodziło i wchodziło się na nie tunelem (wykafelkowanym) i szerokimi schodami. W pierwszych latach na podestach, w połowie

schodów była jeszcze specjalna budka dodatkowa kontrola biletów. Ze Sławna można było jechać do Szczecina i do Gdanska, ale i do Darłowa. Przed wojną były również tory na Korzybie, Bytów, przez Polanów. Za moich czasów pociągi już tam nie jeździły. Pozostały jedynie nasypy kolejowe, które przekraczaliśmy, idąc do lasu na narty czy sanki.

Wspomniany warsztat Ojca. Jak on pięknie pachniał wiorami (heblowano ręcznie) politurą, mniej ciekawie klejem stolarskim. Każdorazowo Ojciec pozwalał mi wybierać scinki, klocki różnych wymiarów i kształtów. Nic dziwnego, że na pracach ręcznych dostrzegano moje domowe prace. Pamiętam, że chętnie budowałem podmalowane zagrody, wioski z papierowymi zwierzętami, ale i słupami elektrycznymi. Często do warsztatu zajeżdżałem jednokołową taczka albo dwukołowym wozkiem, dość ciężkim. Wraciałem obciążony workami z wiorami i scinkami, które tak znakomicie nadawały się na podpałkę, ale i workami z węglem. Dzisiaj przypuszczam, że Ojciec „wygospodarowywał” go po koleżeńsku, bo obok była parowozownia, nie pomnę czy z obrotnicą. Za małą stolarską usługę zapewne „płacono” Ojcu węglem. To plusy pracy na kolei. No i zniżki biletowe, w tym bodajże trzy w roku zupełnie bezpłatne dla całej rodziny. Korzystaliśmy z tego, jadąc każdorazowo na wakacje w swoje rodzinne strony: do Granowca (gdzie wciąż stał nasz dom, częściowo zamieszkały), Garek – do cioci Marysi i wuja Jana, najczęściej zaś do Krotoszyna (Salnia Osusz), gdzie z kolei mieszkaly siostry i matka Ojca. Uwielbiałem te podróże, często nocne. Owym sygnalizującym iskry chłód powietrza przy otwartym oknie, ogrom światła na dużych stacjach, głos z megafonów, biegnący wzdłuż pociągu panowie w kitlach z wozkami, oferujący kanapki, ciastka i napoje, albo panowie z torbami wykrzykujący „Piwo, lemoniada!” I panowie w czerwonych czapkach z białozielonymi lizakami – to dyżurni. Jak to było niedawno.

Wracam do Sławna na ul. Słoneczną. Sąsiedzi, przyjaźnie, koledzy. Większość ludzi tam mieszkających to przesiedleńcy z za Buga, jak np. Dudkowie, Cynglowie, czy z poznańskiego tak jak my, Borowscy czy Witczakowie (spod Jarocina).

Przyjaźniłem się szczególnie z chłopakami Dudków, Januszem i Czeskiem. Roman był nieco starszy. Starszym też był Janusz Felinski, który był jedynakiem i mieszkał dalej. Jego tata miał motocykl (ho! ho!) chyba SHL-kę. O dziwo Janusz bez prawa jazdy (kto by się tym przejmował) zabrał mnie jako pasażera do swej babci, która mieszkała w Bobrowicach, w kierunku Koszalina. Wtedy po raz pierwszy (10 lat) prowadziłem motocykl na bocznej polnej drodze.

Na dworzec szło się na skróty przez ul. Daszyńskiego, obok domu naszych przyjaciół Witczaków (do dziś utrzymuję kontakt z żyjącą jeszcze

córką Ireną) przez małe gruzowisko z czasów wojny (dziś stoi tam supermarket) do ul. Koszalińskiej, pod długim wiaduktem, za nim skręt w lewo na ul. Dworcową i już stacja z tymi charakterystycznymi kasami przed którymi stoliczki na bagaż. Była chyba i przechowalnia bagażu, na pewno zaś bar dworcowy. Rozkłady jazdy na obrotowych bębnach. Przed dworcem chyba konne dorozki – ówczesne taksówki. Przed wspomnianym tunelem, z prawej strony na skarpie, wysoki dwupiętrowy budynek. Mówiono o nim, że tam straszy, ktoś się tam ponoć powiesił czy został zamordowany. Staraliśmy się mijac go w pośpiechu.

Do centrum miasta (w czasie wojny zburzonego) można było dojść albo wspomnianą ul. Koszalińską albo Polanowską. Zbiegały się one w miejscu, gdzie ustawiono stację benzynową, taką bez zadaszewienia, pompa ze szklanym pojemnikiem, która odmierzała paliwo. Jakos nie pamiętam tankujących tam samochodów. Były nieliczne, zapewne i prywatne. Jeden z nich należał do ks. proboszcza Talarka. Stara DKF-ka, którą też potrafił prowadzić brat Czesław. To księża i bracia z zakonu franciszkanów, ubrani na czarno. Oprócz proboszcza był i wikary, obsługujący również pobliskie wsie, m.in. kościół w Kwasowie (3 km w kierunku Polanowa). Jadąc z postugą, zabierali też niekiedy kościelnego czy ministrantów. Pamiętam, że jakieś zimy w niedzielę jechałem również do onego kościoła sankami doczepianymi do DKF-ki. Tak! Dziś niewyobrażalne. Przy ówczesnym ruchu było to możliwe. W zimnej kruchcie sprzedawałem skromne dewocjonalia.

Tak byłem ministrantem. Oddanym, gorliwym. Biegałem z przyjemnością na poranne msze, roraty, nieszpory, Drogi Krzyżowe. Mniej zapewne z pobożności, bardziej z możliwości uczestniczenia w samym rytuale, tak bogatym, tajemniczym. Wtedy przed Soborem (62 r.) ksiądz odprawiał mszę przodem do ołtarza po łacinie. Ministranturę też „klepałem” po łacinie. Używam tego określenia, bowiem nie do końca rozumiałem jej treść. Introibo ad altarae Dei. Confiteor. I ten ubiór kapłana (dziś tak okrojony), alba, cingulum, humerał (chusta na piersi), manipularz (na lewym ręku, dziś zupełnie zapomniany), ornat, welon, kapa, a wszystko w różnych kolorach. Dzwonki, mszał, kadzielnica, patena do podstawiania pod brodę przyjmujących komunię, i jeszcze paramenty (kielichy, puszki, ciboria, ampułki, kij z knotem do zapalania świec, balski, klęczniki) – wszystko to tak tajemnicze, ciekawe. I to stopniowanie, awansowanie w ministranturze. Najpierw jako początkujący, na końcu szeregu przy ołtarzu, potem wyżej, wreszcie w pierwszej parze usługującej kapłanowi w niedzielnej mszy. Duma, zaszczyt.

Kościół (fara) pw. NMP, wielki gotycki, zimny, ostał się w czasie wojny, chociaż wymagał odbudowy (dach). Stał przy placu rynkowym. Kiedys

oddzielały go domy ustawione w czworobok. Po wojnie zachowały się nieliczne po drugiej stronie rynku.

Zachowały się natomiast dość dobrze dwie gotyckie bramy (XIV-XV w.) – Koszalińska i Słupska. Ich nazwy świetnie określają kierunek ich posadowienia. Ja, idąc do Fary, przekraczałem Koszalińską. W jej pobliżu restauracja i kino „Sława” w dawnej poniemieckiej sali restauracyjnej hotelu. Ciekawy budynek z terakotowymi ozdobami.

Magia kina, po raz pierwszy oglądane filmy, najczęściej radzieckie. I te świetne kroniki filmowe, dla mnie, dziecka, był to świat zaczarowany, nowy.

Msze dla młodzieży odbywały się o dziewiątej rano, zazwyczaj jednogodzinne. W pośpiechu zdjęta komża i w te pędy do pobliskiego kina, by zdążyć na kronikę. W kasie taki wstępowy bilet, bodajże za 1,20 zł. Na salę wchodziłem zazwyczaj już po zgaszeniu światła.

Z ministranturą wiązało się i zimowe kołędowanie w towarzystwie oczywiście księdza, niekiedy organisty czy kościelnego. Wtedy przyjmowano księdza prawie wszędzie (choć były to czasy stalinowskie).

Na święta wielkanocne przygotowywaliśmy, z udziałem całej rodziny, palemki z bibuły, bazi, bukszpanu. Uczestniczyłem też w jasełkach, raz byłem pastuszkim, raz krolew. Gdzieś tam zachowały się zdjęcia. Za dobrą ministrancką służbę brat Jan zabrał nas na wycieczkę do Gdańska (pociągami). Przytapał nas na próbie palenia papierosów, długo się tego wstydzilem. Z Gdańska mniej pamiętam operę, bardziej jazdę tramwajem. Wtedy powszechna była jazda z otwartymi drzwiami, na stopniach, z możliwością wskakiwania i wyskakiwania z niego w biegu.

To chyba przez moje ministrantowanie, bliski kontakt z księżmi i braćmi, postanowiłem wstąpić do Nizszego Seminarium Duchownego. Wcześniej skończyłem siódmą klasę. Był rok 1954. W marcu rok wcześniej zmarł Stalin. Na pewno nie płałem, ale w uroczystym apelu brałem udział. Nie pomnę, czy nie kazano mi przygotować okolicznościowej gazetki. Zdradziłem się z plastycznymi zdolnościami i takich gazetek (bristol, literki, rysunki, wycinki) zrobiłem kilka. Pamiętam taką „Wczoraj – dziś”. Wczoraj – prymitywna orka koni, prymitywny warsztat. Dzisiaj – traktor i dymiące kominy fabryk. Obecnie dymiące zakłady byłyby ukarane.

A propos kar, stosowano je za moich czasów. Lanie linijką w łapy, stanie w kącie, chyba też „osle ławki”, przepisywanie po 50-100 razy „Nie będę rozmawiał na lekcjach” itp., zostawianie w tzw. „kozie” jakieś dodatkowe sprzątnięcie.

Nie było ani pedagoga, ani psychologa szkolnego. Była chyba higienistka. Mało popularne były wagary. A młodzież była różna. Zróżnicowana wiekowo. Wiele dzieci w czasie wojny musiało przerwać naukę, więc w mojej klasie były dzieci o trzy-cztery lata starsze, wiele z Domu Dziecka.

Dla krzewienia socjalizmu kazano nam śpiewać patriotyczne piosenki na akademiach, w szkole i w terenie. Pamiętam taki wyjazd z białoczerwonymi i czerwonymi flagami i naturalnie śpiewami. Samochodem odkrytym (na pace), a może to był traktor z przyczepą, do jakiejś wsi (nie pamiętam jakiej)

O Sławnie, o tych wspaniałych latach, mógłbym w nieskończoność. Dla mnie, chłopca ze wsi, pierwszy kontakt z miastem, kinem, odkrytym basenem, brukowanymi ulicami, piętrowymi domami, sklepami, których zawartość chłonałem przez witryny okienne, zwłaszcza te z zabawkami, na które ani mnie (za kieszonkowe), ani rodziców nie było stać – to duże przeżycie. Warcaby, młynek „człowieku nie irytuj się” – te były dostępne. Dlatego tak wiele czasu spędzaliśmy na łażeniu, kopiąc piłkę, walcząc drewnianymi szablami, czy popychając felgi. Zimą zaś zjeżdżając na sankach, nartach czy łyżwach. Zziębnięci, zziębnięci wracaliśmy do domu, zrzucałismy przemoczone ubrania i grzaliśmy się przy kaflowym piecu. Nikt nie marudził, nie wybrzydzał na jedzenie. Metka, kaszanka, dorsz to już było coś. Zazwyczaj chleb ze smalcem, margaryną, syropem, czy zwyczajnie posypyany cukrem, to była norma. Mięso pojawiało się w niedzielę z piwnicznych zapasów, czy zarżniętych kur lub krolików. Ach, jakie to było pyszne!

Nie pamiętam szkolnych nauczycieli, zaledwie kilkoro kolegów i koleżanek. Z nauczycieli jedynie p. Morawską, wysoką, z dużym nosem, niezwykle sympatyczną. Uczyła rysunków, a ponieważ w tym byłem niezły, stąd pamięć o niej. Z koleżanek – Wandę Czyżewską. Zauroczyła mnie grubym warkoczem. I choć miała grube szkła okularowe, czułem do niej sympatię, a może dlatego, że była ładnie ubrana, mieszkała przy ul. Kossaka. Pamiętam też Jankę Czerwińską. Dobrze się uczyła, była zadbana, mama była lekarzem. Nie wiem, co się z nimi dzieje, czy żyją. Zazdrościłem chłopakom, którzy mieli rowery, skórzane pilotki, narciarskie buty.

Jak już wspominałem, niemal wszystkie sławieńskie wakacje spędzaliśmy u wujów w Garkach, częściej w Krotoszynie. Całe pełne wakacje. Żadnych wczasów, kurortów, a praca w gospodarstwie. To tam nauczyłem się orać, bronować, powozić koniami, układać stogi i fary z sianem i zbożem, wyrzucać obornik, karmić konie obrokiem, a krowy sianem i kiszonką.

Na Słoni (dotykającej Krotoszyna) – u siostry Ojca, Zofii, tak było ciekawie, na owe czasy bogato. Tyle ludzi, często pracowników sezonowych, konie, motocykl, pierwszy we wsi telewizor, potem traktor i samochód, blisko przejeżdżający pociąg, wiśnie w ogrodzie i alejka owocowa od domu do tzw. szerokiej drogi, pole z ogórkami i marchwią, samodzielne wyjazdy gniadą i małym wozem (na gumowych kołach) do babci z zieloną

(świeżą trawą) dla krowy albo do Konarzewa z workami marchwi i ogorków dla kolonistów, którzy zajmowali dawny pałacyk, bieganie do Boboli lub Fary w niedzielę, wreszcie jazdy rowerem – pierwszym moim. To była eska, czeska, czerwona, taka półwyscigówka, bo z baranią kierownicą i szczegółowymi hamulcami, ale jeszcze bez przerzutki. Własna, zarobiona – to była radość. Albo nowe, kupione przez ciocię skorzane trzewiki, też zarobione. Do dziś pamiętam ten zapach świeżej skóry i ten długi kuchenny stół, przy którym zasiadało do obiadu 10-12 osób, i można się było najęść: chleb z masłem i wędliną, dwudaniowe obiady do tego podwieczorek. Do dziś pamiętam smak szynki, takiej twardej, wędzonej. Jak ona pachniała. Dla Ciebie czytającego to, Drogi W., może to banal, nieistotny epizod. Dla chłopca 10-14-letniego taki inny, obfity świat miał znaczenie. Tam, w Krotoszynie, wujek Antoni (mąż Zofii) nauczył mnie wiele. A był wymagający, dokładny. We wsi uchodził za dobrego gospodarza, może i za kufaka (wciąż pamiętaj, że to były czasy stalinowskie), co to wymigiwał się od obowiązkowego oddania zboża państwu i nie zamierzał zapisać się do kotchozu. Marysia, Krysia i Bolek – moje kuzynostwo, dobrze mi z nimi było. I jeszcze ciocia Myja (od Marii), siostra Antka, wieczna panna, drobniutka, cichutka, wciąż zapracowana. I jeszcze babcia z Osuszy (2 km dalej) Maria – mama Ojca, odkąd pamiętam wdowa, taka ciepła, pracowita. Dawno już ich nie ma, a obrazy wspomnienia takie wyraziste, swojskie.

Pisząc o tym wszystkim, nachodzą mnie refleksje, że przecież te czasy tak prozaiczne, codzienne, bez wydarzeń spektakularnych, przeżyć groźno-wojennych, wysiedleń, rodzina i dziadkowie niemal w komplecie. Bieda umiarkowana, jak u większości moich rówieśników. Ale skoro mam Ci przekazać prawdę o moich czasach, tak właśnie ją opisuję. Pomijam wiele mało istotnych przygód, sytuacji, które się dobrze (choć nie musiały) skończyły.

Z Krotoszyna pamiętam też stałe (w sensie miejsca) pobyty Cyganów – w lesku akacjowym, w dawnej strzelnicy. Prawdziwe tabory, kolorowe stroje, ogniska, śpiewy „spacery” Cyganek po wsiach, Cyganiątka, konie, zrebaki. To było, minęło.

Jerzy



Z Januszem Dudkiem
Stawno ok. 1952 r.



Z kolegami klasowymi w Słupsku 1955 r.



Z Janem Gariatowiczem i Zygmuntem Kłyszem
Paradyż ok. 1959 r.



Z Janem Gariatowiczem. Paradyż ok. 1959 r.



Z Marianem Formą. Babia Góra
1962 r.



Z J. Goreckim, J. Szalbierzem i T. Jurą Gorzów



Z Zbyszkim Traczem Łasko ok. 1980 r.



Z Andrzejem Gordonem, lata 80.



Z żoną Wiesławą i Ryszardem Kwietniem. BWA, lata 80.



Ze Zbyszkiem Juką przed Małą Galerią lata 90



Z Władysławem Hasiorem. BWA, 1991 r



Z ks. bp Józefem Michalikiem i Anatolem Grzędą. BWA. 1996 r.



W Santoku z klasowymi kolegami z NSD i dyrektorem Józefem Feren-sowiczem. 1998 r.



Z Andrzejem Maciejewskim, Szczecin 2014 r.



Z kolegami po 60 latach, na wystawie w SDK w Sławnie 2018 r.

DROGI W

Kolejny słoneczny mroźny do tego wietrzny dzień. Mało sniegu w przeciwieństwie do południa czy wschodu kraju. Nadal sejmowy rozłam, nieustające kłótnie między PIS-em a PO (to wiodące partie). Zenujące mało oglądam owe przepychanki w TV. Najchętniej sięgam po Planete+ Discovery. To kanały, które non stop pokazują świat przyrody, zwierząt, często z góry czy pod wodą. Rozdziawiam gębę z zachwytu i niedowierzania, że Stwórca obdarzył nas takim bogactwem i pięknem. A człowiek nie potrafi tego dostrzec, docenić! Przerazające. A co jest w Twoim świecie? Czy mój świat ostał się do Twoich czasów? Czy ludność przekroczyła siedem-osiem miliardów, a może kolejne wojny przetrzebiły ją wielce. Boję się o tym myśleć.

Skończyłem (pobieżnie) opisywanie Stawna. Boże, ileż ja pominąłem. Zakradanie się do sadow, bieganie po kruchym lodzie (przygoda z Karwic niczego mnie nie nauczyła), oglądanie skoczków na miejscowym odkrytym basenie (nie ma po nim śladu), pływanie kajakami po kanale, karuzelę i łodkowe hustawki, zbieranie butelek z czerwonymi i niebieskimi naklejkami, łażenie i penetrowanie gruzów, złomowisk (pamiętam, był prawie cały samolot), podglądanie Cyganów (mieszkali już w domach), ostatnich Niemców, którzy się jeszcze ostali, panie chodziły z takimi charakterystycznie zawiązanymi na głowie szalikami, plecionymi torbo-siatkami, i wiele, wiele kalek!

W powszechnym użyciu były czterokołowe wózki z dyszelkiem – takie pomniejszone wozy na okutych kołach, które stukały na stawieńskich brukach. To urwało się w 1954 roku (chyba), kiedy rodzice zdecydowali się na powrót do swego rodzinnego domu w Granowcu. Szkoła Wagonem towarowym przez Krzyż, Poznań, Ostrowo. Wagon odstawiono na kolejową rampę, skąd wozem konnym przewiezliśmy swój dobytek. Niewiele tego było. Nie pamiętam, czy wrocila z nami koza, kury. Czas przyjazdu letni.

Ja, zgodnie z postanowieniem, zostałem alumnem NSD w Słupsku. Tam złożyłem podanie. Ale o dziwo z czteroklasowej edukacji pierwszy rok kierowano do Wschowy, małego miasteczka, dziś w województwie lubuskim. Budynek seminaryjny w takim łukowo biegnącym jednopiętrowym gmachu, od Fary oddzielony jedynie ciasną uliczką. Zawiózł mnie tam Ojciec z dość pokaznym bagażem, bo oprócz rzeczy osobistych należało też przywieźć ze sobą pierzynę (tak), kołdry wtedy nie były

w użyciu. Pamiętam, że nawet sztucce należało mieć własne. To świadczy, jaka panowała wówczas bieda.

Z dworca do seminarium jechaliśmy dorozką. Pamiętam lipową drogę, piętrowe domy, wieże ratusza i Fary. Nieco dalej, za murem klasztoru ojców Franciszkanów. Tam mieszkał nasz nauczyciel Alojzy Kaczmarek (jego brat był przeorem). Elegancki, zawsze w szarym garniturze, zdziwaczył pan od matematyki, fizyki i łaciny. Pozostałych przedmiotów, oprócz religii, uczyła pani Neuman, okrutna dama z wymalowanymi ustami. Klasa liczyła ponad 40 uczniów. Młodzi chłopcy niemal z połowy Polski, a nawet z gór. Na szczęście zachowała się fotografia. Wielu z nich nie żyje, a do kapłaństwa dotarła zaledwie ośemka! Przedziwna to była szkoła. Wielu nie zdzierżyło potwornego rygoru. Zimne cztero-pięciosobowe pokoje, szatnia, gdzie również można było przechowywać przesłane wiktuały (i tylko tam), sala lekcyjna z ławami, która po lekcjach służyła również na czas nauki w absolutnym milczeniu. Nagle, z takiej sławieskiej swobody w rygor, niemalże klasztorny. Były dni, że zbierało mi się na płacz. Wielu to czyniło. W pokoju cztery miski (z zimną wodą) na taboretach, pod nimi wiadra, gdzie zlewało się wodę, którą z kolei wlewało się do ubikacji, jedynej chyba na piętrze, bacząc, by nie rozlać jej po drodze. Surowy dyrektor Jankowski czytał się i karał za wszelkie przewinienia, łącznie z wymierzeniem policzka. Biskup Paweł Cieslik, który przebrnął przez wszystkie lata seminarialnej edukacji, do dziś wspomina, że i jemu się oberwało. Gdyby wtedy wiedział, że bije przyszłego biskupa.

Ja chyba zostałem mocno skarcony, kiedy dyrektor przyuważył mnie, jak podczas rekreacji na szkolnym boisku odwinąłem i zjadłem cukierka. To należało zrobić wyłącznie w jadalni. Nie do wiary. Nie sposób opisać owych dni od września 1954 do czerwca 1955 roku. Zatem tak telegraficznie: codziennie msza w kaplicy. Idąc przed nią, należało przykleknąć. Ksiądz dyrektor czytał się często i zawracał tych, co czynili to niedbale, nie daj Boże zapomnieli. Msza chyba o godzinie szóstej, potem śniadanie i nauka do 13. Obiad, rekreacja i powrót do klasy na ciche uczenie się. Wielu miało na rękach satynowe zarękawki, by zaoszczędzić na łokciach marynarki. Był starosta klasy, którego zadaniem było pilnowanie porządku i milczenia. Miał prawo donosić, wskazać delikwentów dyrektorowi. Jak wytrzymać przez kilka godzin w milczeniu, w skupieniu. Przecież mieliśmy po 12-14 lat. A czas wolny? Zimą w tzw. świetlicy, dookoła ławy i jeden stoł pingpongowy na środku, a tylu chętnych. Na ławach nauczyłem się grać w cymbergaja (grzebyki i trzy monety). Latem do dyspozycji jedynie dziedziniec z siatką do gry. Do przylegającego ogrodu mogli wchodzić tylko wybrani, ci, którym wyznaczono tam pracę. W niewielkiej obórze hodowano nawet krowę na potrzeby seminarzystów.

Do miasta wychodziło się wyłącznie parami i to w wyjątkowych przypadkach np po zakup chleba do piekarni. Woziliśmy go czterokołowym wozkiem. Najczęściej przebiegaliśmy w zimnej piwnicy ziemniaki lub obieraliśmy je na obiad. Bodajże raz byliśmy w kinie. Boże, jaki to był film – może „Biały kiel”? Od czasu do czasu w niedzielne popołudnie cała klasa wychodziła na daleki, kilkukilometrowy spacer poza miasto, najczęściej w stronę Osowej Sieni. Po powrocie zmęczeni i głodni rzucaliśmy się na przygotowane przez siostry kanapki, głównie z metką czy pasztetem. Nie cierpiałem (ale jadłem) takiej kaszki ze słodką polewą, nie pamięnę nazwy. Swoje sztucce owinięte serwetką po posiłku maczaliśmy w wystawionym wiadrze, to całe mycie wracały do serwetki zwiniętej w rulonik. W niedzielę chodziliśmy niekiedy do Fary. Umieszczano nas na chórze, gdzie śpiewaliśmy kolędy. Z takiej odległości mogliśmy popatrzeć na dziewczęta, na ich plecy i warkocz.

Pamiętam koniec roku szkolnego. Wielu było zagrożonych. Ja z matematyki. O dziwo zdałem, może dlatego, że w miarę dobrze radziłem sobie z łaciną. Przykro mi było, że nie zdał kolega Cieptuch, który pochodził z pobliskiego Darłowa. I wielu innych. Wschowa to selekcja. Do Słupska z klasy przyjechało nas chyba tylko 26 osób.

Lata słupskie w porównaniu ze Wschową to niebo i ziemia. Zupełnie inaczej, radośniej, choć rygor podobny, ale nikt z przełożonych nie bił po głębie. Mądry dyrektor ksiądz Józef Ferensowicz, ojciec duchowny Kusiak, wykładowcy: ss. urszulanki od chemii i fizyki, od łaciny francuskiego i polskiego – pani Pilarska, mówiliśmy na nią Madame, pani Trzeciak od matematyki, pan Szniger od greki i jeszcze od muzyki, utalentowany Saj, i ksiądz prefekt Kałwa, i historyczka pani Minkowska. Ksiądz dyrektor miał z nami pogadanki – takie lekcje wychowawcze. Najbardziej utkwiły mi w pamięci te o savoir-vivre według Kamyczka „Grzeczność na co dzień”. Pamiętam, że kiedy w latach 70. sam edukowałem młodzież, czyniłem to podobnie i często. Tam nauczono mnie kindersztuby, posługiwania się sztuccami, zasadami witania się i zegnania, pisania listów.

Samo seminarium przy ul. Szymanowskiego 5. Piękny gmach, dawna lotnicza szkoła dla hitlerowców. Sądząc po zarysie fundamentów z tyłu budynku, miała być większa. Niski parter z holą, kuchnią i dużą jadalnią. W holu ustawiony wózek, zamykany wiekiem, na gumowych kołkach – to nim przywoziliśmy chleb z piekarni. Ale seminarium dysponowało nawet ciężarowym samochodem – marki „Holzgas” (jeszcze się taki uchował). Jeździliśmy nim po plebaniach, gdzie zbierano dla nas zboże, ziemniaki, warzywa. Ale przecież nie to było najistotniejsze. Wracam do opisu budynku. Na piętro bliźniacze schody. Tam były trzy klasy, pokoje mieszkalne

kadry (księży), biblioteka, kaplica i ogromna sala (rodzaj holu), gdzie swobodnie mieściły się trzy stoły pingpongowe. Do sali przylegała mała scena, alumni przygotowywali teatryki – ja pamiętam tylko „O dwóch takich, co ukradli księżyc”. Nasza klasa od onej sali oddzielona była tylko kotarą. Na piętrze nad ową ogromną salą – dormitorium (sypialnia), a w nim około 60 łóżek metalowych z siennikami, ustawionych w czterech rzędach. Robiło to wrażenie. Była jeszcze mniejsza sypialnia, pełniła raczej rolę infirmerium. Okna z jednej strony wychodziły na ulicę. Za nią rzeźnia. Niestety, oglądaliśmy mało budujące sceny – przepędzane było brutalnie poganiane, jakby przeczuwało swój kres, stąd te smutne buczenia, zawroty głowy. Z przeciwnej strony okna wychodziły na boisko, za którym drzewa i ogrody. Od strony północnej okna jedynie od łaźni. Tu już były liczne krany, pod nimi długie metalowe zlewy. Woda też zimna. Do owej łaźni przylegało małe bezokienne pomieszczenie. Nazywaliśmy je buciarnią, bo tam składowało się obuwie, zapewne nie pachniało najlepiej, choć ja nie pamiętam przykrych zapachów. To tam już po nocnym silentium, zbieraliśmy się na mecze bokserskie (sic!) My przyszli księża, narparzaliśmy się pięściami owiniętymi w poduszki. Może była i jakaś para rękawic. Rozsadzała nas energia, te mecze dawały jej upust. Oczywiście i mnie tam nie brakowało, chociaż nie imponowałem posturą ani siłą. Niezłe grałem w ping-ponga.

Pobudka o szóstej rano, msza, chwila skupienia, potem śniadanie. W pogodne dni wychodziliśmy na gimnastykę. Na śniadanie dwie kromki chleba ze smalcem, niekiedy z pasztetem. Kubek kawy z mlekiem. W jadalni mieliśmy wyznaczone swoje miejsca. W szczytce długiego stołu jadł z nami również ksiądz dyrektor. Jego kanapki były bardziej urozmaicone. Niekiedy coś tam zostawiał. Po odejściu natychmiast znikały, kto pierwszy, ten lepszy.

Przy posiłku obowiązywała cisza. Lektor ze specjalnej ambonki odmawiał modlitwę, a potem czytał interesujące książki, nie pamiętam tytułów, chyba o Piotrze Frassatim, objawieniach w Lourdes.

Modlitwa kończyła każdy posiłek. Żądni rozrywki urywali się nieraz przed jej zakończeniem, by dorwać się do stołów pingpongowych. Były aż trzy w przestronnej sali, ale chętnych do gry znacznie więcej. Wielu – to prawdziwi mistrzowie. Był nawet mecz towarzyski z jakąś słupską szkołą średnią. Przegrali wysoko. Na niewielkim boisku grano w siatkówkę, ktoś rzucał oszczepem, ktoś inny mocował się z przeciwnikiem. Rozpychała nas energia. Dużym plusem były częste popołudniowe przechadzki, głównie nad rzeką Słupię. W owym czasie spławiano nią drewno. Nasza (moja) ulubiona zabawa to bieganie po tych drewnianych tratwach, trochę to niebezpieczne. W onej Słupi w upalny czerwiec co odważniejsi

kapali się. Nie nauczyłem się tam pływać. Kilkakrotnie dyrektor zaprowadził nas do teatru. Był nawet wyjazd do Ustki na plażę. Istniała orkiestra instrumentów dętych. W maju na dachu budynku trębacze grali pieśni maryjne. Najpiękniej grał Lech S. dzisiaj organista w gorzowskim kościele pw. Świętego Krzyża. Do czytania mieliśmy jedynie prasę katolicką. Wiem, że ktoś tam pożegnał się ze szkołą za przemycanie prasy niedozwolonej. Częściej jednak alumni opuszczali seminarium z własnego wyboru, nie wytrzymując mimo wszystko rygoru i życia „w celibacie” bez koleżanek. Pamiętam, jak każdorazowo po powrocie z ferii lub wakacji liczyliśmy „braki” klasowe. Niekiedy te ucieczki były zaskakujące. „a tak dobrze się zapowiadał”. Do matury dotarło nas zaledwie 16. Świetnie poszedł mi język polski, gorzej matematyka. Ale zdałem. Ulga, radość. Nasza matura niestety nieuznawana była przez państwo świeckie. Co zdolniejsi (chyba sześciu) podeszli natychmiast do eksternistycznej. Większość zdała i to ze wszystkich przedmiotów.

Jerzy

Z dyrektora do seminarium przyjeżdżał dorosły
Pamiątkami lipowa, drożdż, przepióreczki, mniszka
natura i fary. Niewiele dalej za murami leżących
opis Franciszkanów. Tam mieszkał nasz na-
uczyciel Alojzy Kucmurek (jego brat był księdzem)
Elegancja, zawsze w rangim garniturze, zolowa-
nity pom. od matematyka, fizyka i talicy
Porozumie przedmiotów, opiera religii uczyta pan
Neuman, dorobek olumia i wynalazkowym
urządów. Klasa uczyta ponad 40 ucznów
Metoda dydaktyczna z pol. Polski, a nawet
zgor. Na napisie zachowania na fotografii
Wielu z nich nie było... a do lekcji uczyta
dotarła zaledwie ośmiu! Przedmiotem to była
religia. Wielu nie zdawało potworczego
rygoru. Zimno, 4-5 osobowe pokoje, siatka,
gdzie rannem można było przedsięwziąć pro-
stane niedostatków (i był tam), sala lekcyjna
z ławkami, która po lekcjach służyła różni-
mu czas. Wielu nie zdawało w absolutnym milczeniu
Naple z talicy starożytności i rygoru
mimo to leżących. Były dni, że zbierano mi
na na placu. Wielu to uczyta w polskojęz.
estety miednicie (z innymi wstępnymi) nie taboretach,

DROGI W.

Mroźna (-5°C) sobota Wczoraj święto Trzech Króli (w kościele zw. świętem Objawienia). Dzisiaj na naszej ulicy kolęda – wizyta duszpasterska. Czy w Twoich czasach coś takiego będzie praktykowane? Oby, choć wątplię. Pamiętam mój udział w kolędach w dzieciństwie. To pełne ekscytacji oczekiwanie na księdza, wysprzątany dom, wypastowana podłoga, posypana piaskiem ścieżka od drogi do domu. To było święto, a ksiądz postacią wyjątkową. W mojej wsi nie było chyba domu, do którego kapłan nie miałby wstępu. Dzisiaj wygląda to inaczej. Około 30 procent mieszkańców nie życzy sobie takowych wizyt w kraju katolickim, z którego wyszedł papież Jan Paweł II – pierwszy Słowianin na Piotrowej Stolicy.

Rano w moim ulubionym programie Planete+ pokazywano kongres ateistów w 2012 roku w Stanach Zjednoczonych. Okrzyknięto go sukcesem, bo naliczono aż 30 tys. zgromadzonych. Występowali naukowcy różnej narodowości. Na Dniach Młodzieży w Krakowie było ponad milion. Bez komentarza. Czy w Twoich czasach będzie jeszcze miejsce dla Boga, a może zadufany człowiek, optywający w dobrobyt, otoczony supergadżetami, ułatwiającymi życie, zapomni o Nim?

A może odwrotnie, po jakimś ogromnym kataklizmie czy kolejnej wojnie opamięta się i znowu zwróci się do Niego. Jak będzie? Ten „genialny” człowiek, sięgający gwiazd, nie jest w stanie wybiec w przyszłość, przewidzieć kolejnych lat, ba, nawet wydarzeń dnia jutrzejszego. Chciałbym, by ten czarny scenariusz się nie spełnił, byś nadal tkwił w religii Twych praojców.

Wracam do moich czasów młodości

Zdana matura, co za ulga (czerwiec 1958 r.). Jak już wspominałem, seminaryjny egzamin dojrzałości – nieuznawany przez ówczesne władze komunistyczne państwa. Bez świeckiej miałem zamkniętą drogę na wszelkie studia. Nurtowało mnie to, ale na razie zdecydowałem się na studia w WSD w Paradyżu. Długie trzymiesięczne wakacje, powrót do Granowca. Czas bez wielkich obowiązków. Szukałem ich sam. Sprzątałem warsztat Ojca, chodziłem na jagody, grzyby, wlażyłem na dach, by poprawić poluźnione gąsiorzy, jak trzeba było, pomagałem sąsiadom przy zniwach. Nadal chętnie wyjeżdżałem do Krotoszyń. Tam tyle się działo. Na Osuszy (dom babci Marii) mieszkali już Wąsalarzowie z uroczymi córkami, a moimi kuzynkami, Teresą i Danutą. W moim wieku. Miło było się z nimi po pracy czy w niedzielę spotykać.

Wakacje dobiegły końca. Pociągami przez Poznań, Toporów (wtedy jeszcze funkcjonowała linia kolejowa) stawilem się w Paradyżu. Przede mną dwa lata filozofii w niezwykłym miejscu – XIII-wieczny klasztor Cystrków. Kościół przebudowany w XVIII wieku, o wspaniałym barokowym wnętrzu. Kolejna selekcja. Ze Słupska w Paradyżu zjawili się chyba tylko osiem alumnów. Ale na pierwszym roku studiów było nas około 20, doszli absolwenci liceów świeckich. Tak zatem zostałem studentem filozofii. To był czas, kiedy właściwy rocznik (po osiemnastce) zabierano do wojska. Ci wszyscy z kategorią A musieli przerwać studia. Ja jeszcze nie podlegałem poborowi. I wtedy zrodziła się myśl, by poprosić rektora (ks. dr Dogiel) o urlop dziekański, uzupełnić edukację – zdobyć maturę świecką, tym sposobem odroczyć wojsko. Tak też uczyniłem. Po dwóch semestrach przerwałem edukację. Był rok 1959.

Znalazłem się w Gorzowie. Mieszkała tu moja kuzynka Helena (Abramowicz) i nieco dalsza Halina (Abec). Ta pracowała w liceum korespondencyjnym na Zawarcu (dzis. II Liceum). Zamieszkałem u pierwszej. Przyjęto mnie do liceum. W ciągu roku musiałem zdać egzamin z VIII i IX klasy liceum i z kolei zrobić X i XI klasę korespondencyjnie. Zajęcia odbywały się w soboty i niedziele. To był dla mnie ciężki okres, tym bardziej że równocześnie podjąłem pracę (referent w ORS-ie – obsługa ratulnej sprzedaży, dzisiaj bank przy ul. Walczaka). Prowadziłem tzw. weksle, o dziwo w owym czasie korzystało z tej formy kupna bardzo wielu klientów.

Maturę zdałem. Przy matematyce pomógł mi sam profesor (dzięki). Nie pamiętam, jak się nazywał, chyba Pisklak. Co za ulga! Byłem pełnoprawnym człowiekiem z maturą. Dziwne. Co dalej? Wciąż pomny groźby wcielenia do wojska, próbowałem dostać się do WSSP (Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych) we Wrocławiu. Przebrnąłem przez egzamin (był m.in. akt – pierwszy raz widziałem nagą kobietę-modelkę), niestety, zabrakło punktów. Na jedno miejsce przypadało aż osiem chętnych. Wybrałem SN (Studium Nauczycielskie) w Gorzowie. Zgłosiłem się dość późno. Konieczne chcieli mnie umieścić na wydziale muzycznym, wykazałem się dobrym słuchem. Nie widziałem się tam. Dołączyłem do wydziału historii. Opiekunem był prof. Edward Stachura. To był piękny okres mego życia. Nowe przyjaźnie, nowe doświadczenia, praktyki nauczycielskie (w pobliskiej szkole ćwiczeń i w szkole w Nowinach Wielkich).

Zamieszkałem w akademiku przy ul. Wyszynskiego, a później 30 Stycznia, obok pałacyku biskupiego – dzis. budynek w ruinie. Otrzymałem stypendium, chyba 360 zł. Wystarczyło to na pokrycie stołówki. Nie miałem odwagi oczekiwać pomocy od rodziców, sami biedni, poza tym zawiodłem ich (zwłaszcza Mamę) oczekiwania. Dorabiałem trochę korepetycjami.

SN – piękny gmach przy ul. Estkowskiego (dzis AWF), dawna polniemiecka szkoła lotnicza, szerokie korytarze, sale wykładowe, aula, w której śpiewałem w chorze p. Kalicieckiej i Fr. Czarneckiego, na dole stołówka, z której wychodziliśmy wciąż głodni. Do obiadu, do zupy podawano chleb. Pamiętam, że posiłki uzupełnialiśmy owymi suchymi kromkami. To tu zaczęła się moja przyjaźń z Marianem Formą, doktorem Politechniki Krakowskiej. Utrzymujemy do dziś kontakt.

Jeden dzień w tygodniu (chyba w środę) mieliśmy studium wojskowe. W prawdziwych mundurach słuchaliśmy wykładów, niekiedy wychodziliśmy na poligon uczyć się maszerować i rzucać granatami. Na koniec (dwuletniej nauki), w wakacje, oboz wojskowy w Międzyrzeczu. Wymigałem się od niego, miałem kategorię „C” (okulary). Ale co ważne, by moje studium wojskowe mogło być zaliczone, musiałem podjąć pracę pedagogiczną. Dlatego też nie mogłem (ba, już nie chciałem) wracać do Paradyża, choć długo nie mogłem znaleźć sobie miejsca w tym zbrutalizowanym świecie. Zostałem w Gorzowie aż do dzisiaj, a piszę to 7 01 2017 roku w mroźny niedzielny poranek.

W następnym liście opiszę Ci najważniejsze momenty, które danym mi było tu przeżyć.

Jerzy

DROGI W

W ostatnim liście zapowiadałem, że opiszę Ci mój okres gorzowski uwzględniając najważniejsze wydarzenia. Mając 20 lat znalazłem się w Gorzowie. I całe te 20 lat zawarłem w opisie zaledwie kilkunastostronicowym. Przebiegłem dzieciństwo, lata szkolne, pędząc odnotowując fakty. A tak mało o przeżyciach. Chłopiec młodziwiec – myślący, odczuwający – ma ich przecież wiele. Granowiec ten wojenny i tużpowojenny mnie kształtował. O tylu sprawach nie wspominałem, a jeśli to pobieżnie. Nic o sąsiadach, tak ważnych w tamtych realiach, bez radia, telewizji, kina. A i gazeta bez prenumeraty była rzadkością.

Spotykali się ludzie przy miedzach, płotach, zimą przy piecach, przy darciu pierza, łuskaniu grochu. Bajali, opowiadali, śmiali się bez alkoholu, bez tak powszechnej, później kawy. Ot, takie tam ploty, co w świecie, co w Odolanowie, może i w Ostrowie, ale głównie co u sąsiadów. Komu ocielila się krowa, kto kupił albo dał wyrzutować (zreperować) wóz, kto się ożenił, kogo wzięli do wojska. Były przy tym śmichy, chichy. My, dzieci, na kolanach babć, dziadków, jeśli już rozumieliśmy, słuchaliśmy tego, jak zakłęci. Mielismy dużą chałupę, dlatego tak chętnie przychodzono do nas. Siof, Józef, stary kawaler, który gospodarował z bratem Stasiem, też kawalerem. Helena Modrzyńska, w wieku Mamy, żona mojego chrzestnego Józefa, Płokarze czy Gąbkowie, z naprzeciwka. Jedynie Celka i Bosia (matka i córka) mieszkające pod lasem, nieco zdziwaczałe, nie odwiedzały ani nas, ani innych sąsiadów. Samotnie prowadziły gospodarstwo.

W maju spotykali się pod krzyżem, tuż przy sosnowym lesie. Pamiętam, że ludzie wtedy często coś nucili pod nosem. Mój dziadek, Gajowy, miał zwyczaj śpiewać z pamięci całe „godzinki”. Szkoda, że tak mało pamiętam tę postać. Ale wspomniano i opowiadano o nim tak wiele.

Gajowy w owym czasie to był ktoś. Mój dziadek Józef chodził w butach z cholewami, takiej burce (kurtce) zapinanej na skórzane guziki. Miał do dyspozycji lornetkę, flintę i przez siebie zrobioną łaskę, która mogła służyć również jako siedzisko. Zachowałem ją do dziś. Miał złote ręce. Wyplatał z korzeni jałowca kosiorki, tak szczelne, że można było nosić w nich wodę, sam zrobił radło (zachowałem od niego koło), taki miniaturowy wóz, dostosowany do pojedynczego krowiego zaprzęgu. Ponoć był służbistą, nieprzekupnym i wzorowym pracownikiem leśnictwa, które było wtedy w Młyniku (6 km). Początkowo tam

właśnie mieszkał a z nim do 10. roku życia chowała się moja Mama. Zawiozłem ją tam po latach. Wyraźnie była wzruszona. Pamiętała rozmieszczenie pokoi korytarzy. Niestety nie zaproszono nas do środka. Kiedy wybudowano dom w 1928 roku zamieszkali w Granowcu. Ale jeszcze przed Granowcem mieszkali w Iesniczowce Chmielnik k. Osuszy. To tam Ojciec poznał moją Mamę.

Przy opisie pastuchowania coś tam wspominałem o ucieczkach przed burzą piorunami. Były regularne a może mi się tak wydaje. Dzienny upał a pod wieczór ulewa z piorunami. W oknach wystawiano zapalone gromnice i zegnano się. Wtedy budynki nie miały odgromników. Stąd częste pożary. Pamiętam taki jeden w pobliżu spłonęła stodoła.

Pamiętam amatorskie przedstawienia w sali (karczmie) u p. Tomaszewskiej głównie Misterium Męki Pańskiej z efektowną rolą (kobieta) Judasza. Jeśli nie udało nam się wejść do środka wdrapywalismy się (dość wysoko, choć parter) na parapety okienne by coś podpatrzeć. Wspomniana Tomaszewska prowadziła sklep kolonialny. Przy wejściu dzwonek (podobnie jak w pobliskim sklepie rzeźniczym Namysła) łąda waga, gabloty, stoiki, worki, beczki (ze śledziami), baniaki (z naftą). Ach te zapachy, te słodkie roznosy, które kupowano nam od święta. Taką okazją bywały też zabawy (majówki) czy dożynki. Zabawa majowa (na boisku szkolnym) z ustawionymi prostymi stołami i ławami. Plac do tańczenia nie zawsze był drewniany. Tarcze strzelnicze (do wiatrowek) przytwierdzone do wrot stodoły, jakieś kramy z lemoniadą w takich butelkach z ceramicznym zapięciem. Lemoniada zielona albo czerwona, jak ona pięknie w nosie kręciła.

Najważniejszym obiektem majówki był wysoki okorowany słup (zazwyczaj sosnowy). Wtedy wydawał się niebotyczny, zapewne miał 10-15 m. Słup wypolerowany, do tego wysmarowany jakąś mazią, oliwą w połowie prostopadłe kołki (uchwyty), podobne na samej górze z makiem i przytwierdzonym pętem kietbasy z butelką wódki. To po one trofea wspinali się bosi z podwiniętymi nogawkami młodzieńcy, nie tyle po zdobycz, co dla zaimponowania pannom. Bardzo widowiskowa zabawa. I to chyba wszystko z atrakcji majówkowych, nie pamiętam ani wozków z lodami, wata, ani karuzeli. Była oczywiście orkiestra, najczęściej trio: trąbka, skrzypce i bęben. Pamiętam ten rozesmiany tłum odświętnie ubranych panów i pań, i rozbieganych na bosaka chłopców w krótkich porciętach na szelkach spiętych z przodu patką. To było naprawdę i ja brałem w tym udział.

Nie mniej widowiskowe były dożynki. Te wiązały się z przejazdem udekorowanych wozów i zaprzęgów. Rozgrywano na nich scenki rodzajowe, cygańskie wrożki, diad i baba golibroda, i oczywiście orkiestra. Po

przejeździe przez wies (nie wiem, czy kościół w to włączano) wozy zatrzymywały się na placu szkolnym-boisku wystawiano stoły ławy i bawiono się zapewne do rana. Nas (maluchów) odsyłano wraz z zachodem słońca.

I pamiętam tzw. kaczora. Zabawa-zwyczaj ponoc typowy dla kilku wsi w ówczesnym powiecie ostrowskim. Organizowano go w czas zniw lub rzadziej po. Na dogodnym placu czy drodze. W Granowcu była piaszczysta wysadzana brzożami, która biegła obok ówczesnej poczty w kierunku Krzyżnego. Na owej drodze, na przestrzeni około 500 m, rozgrywano wścigi konne (w siodle lub na oklep) panów. To pierwsza konkurencja. Druga polegała na tym, by ze specjalnie przygotowanej umajonej bramki zerwać w biegu martwego kaczora i to dwustopniowo. Najpierw głowę, potem korpus. Kaczor wisił dość wysoko, co odważniejsi próbowali przejechać na wysoko podniesionych strzemionach albo (to wymagało już wołyzerki) stanąć w biegu na siodle. Szczęściarz, któremu udała się ta sztuka, nagradzany był fanfarami towarzyszącej orkiestry. Były upadki, ponoszenie spanikowanych koni, wszystko niezwykle widowiskowe. Na koniec marszałek i król (to zwycięzcy) zapraszali wszystkich do sali p. Tomaszewskiej, gdzie pito i bawiono się też zapewne długo. Mur pod oknami i płoty obszcane. Często też płoty zubożały o sztachety, którymi niejednokrotnie się okładano. Stynął z tego niewielkiej postury, ale wojowniczy Kaziu S., notabene mój kuzyn.

To scenki, które jakos utkwiły mi w pamięci. Do października 1947 roku było nas już czworo: trzech chłopaków i siostra Maryla (wtedy wołaliśmy Marylka). Chyba w wieku czterech-pięciu lat poddana była w Poznaniu (u słynnego prof. Degi) operacji bioder. Zakuto jej małe nóżki mocno rozkraczone w gips aż do pasa. Woziliśmy ją wtedy na wózku. Lato, upał, swędzenie pod skorupą. Do Poznania (150 km) jeździł z nią Ojciec pociągami. Nie pomnę, ile to trwało. Ale do dziś siostra chodzi prawidłowo, choć z racji wieku bardzo powoli.

Tak upływały dni. Mimo wojny żyliśmy w miarę normalnie, jedli skromnie, ale nie pamiętam głodu. Nieraz od stacjonujących (u nas) Niemców dostawaliśmy tabliczkę czekolady. Az trudno uwierzyć, ale w tym czasie jej nie lubiłem i wymieniałem się z rodzeństwem na coś innego. Pamiętam też chleb smarowany syropem, takim z dużych blaszanych puszek, giernuskę, snelkę, klepkę jagły. W tamtych czasach nawet w przeciętnych domach były czy byli służący. Pod nieobecność Ojca Mama korzystała doraznie z takiej pomocy. Pamiętam p. Stefana, który rozłupywał szczapy drewna przy drewnutni.

Dni urozmaicali niekiedy domokrażcy – skupujący stare szmaty, by je wymienić np. na garnki, wędrowni szklarze, ostrzaże noży z takim przenośnym obrotowym kamieniem-tarczą, napędzanym nożnie. Pamiętam

DROGI W

Konczy się trzeci tydzień nowego roku 17 stycznia były moje 76 urodziny. Czas pędzi nieubłaganie. Zima wciąż trzyma, choć u nas niewiele sniegu, a temperatura bliżej zera. Cała Europa walczy z zimą, śnieg nawet w Hiszpanii. W środkowych Włoszech, w Abruzji, trzęsienie ziemi, w następstwie potężna lawina sniegu, która zmiotła luksusowy kurort. Zginęło ponad 60 osób, kilkoro uratowano odkopując hotel. Jakby mało było ofiar, wciąż toczonych przez islamistów-szalenców wojen. Kiedy więc budzę się rano, świadomy i zdrowy, mam powody do radości. Gdyby jeszcze wygrana walka z rakiem Wiechy (Twojej praprabci) byłoby wspaniałe. Ta walka wciąż niepewna. Czy w Twoim czasie pokonają tego wyniszczającego potwora? A może kolejne mutacje tak się uodpornią, że nie będzie na nie sposobu. Spraw Boże, oby nie. Ja wciąż jak wielu, wierzę w moc modlitwy. Świat, Europa opływająca w dobrobyt oddala się od wiary, Kościoła.

Ta Polska, tak powszechnie katolicka (powyżej 90 proc.), ulega również zachodnim trendom. Religijny nurt wiary, powrót do Kościoła, nastąpił po wyborze Polaka na papieża (w październiku 1978 r.). Pierwszy Polak, Słowianin, na Stolicy Piotrowej, pierwszy od 500 lat papież nie-Włoch, jeden z najdłużej sprawujących (28 lat) władzę w Watykanie. Do tego tematu zapewne wrócę. Teraz wracam do dalszej relacji z mojego życia w Gorzowie. Dwuletnie studia na wydziale historii ukończyłem w 1963 roku. To był też piękny czas. Wchodziłem w dorosłość. Miałem już 23 lata. Zdobyłem zawód nauczyciela, poznałem swego nauczyciela od plastyki, Mieczysława Rzeszewskiego, któremu tak wiele będę zawdzięczał. On rozbudził we mnie zainteresowania plastyczne, w teorii i w praktyce. Pamiętam dumę, kiedy w holu uczelni wystawiono i moje pierwsze olejne prace.

I co dalej? Do Paradyża już nie chciałem wracać. Do Wrocławia na Akademię Plastyczną się nie dostałem. Zacząłem pracę zawodową. Najpierw jako wychowawca internatu w Zespole Szkół Budowlanych, akurat oddano do użytku nową, piękną szkołę i internat na prawie 100 miejsc przy ul. Okrzei. Dyrektorem był wówczas Ryszard Gromiec i to on podpisał ze mną pierwszą umowę o pracę. Pierwsze samodzielne pieniądze miały pokój za skromną opłatą w tymże internacie. Przyjaciel Marian F. zaczynał podobnie, on został wychowawcą w internacie (przy ul. Wyszyńskiego) Zespołu Szkół Elektrycznych. W następnym roku, oprócz etatu

wychowawcy (42 godz w tygodniu!) powierzono mi godziny lekcyjne z historii, języka polskiego w szkole przyzakładowej, wreszcie z historii architektury w Budowlance, który to przedmiot przyniósł mi wiele satysfakcji. Z zapałem zgłębiałem wiedzę, z nie mniejszym próbowałem ją przekazać młodzieży. W szkole utworzono pięcioletnie Technikum Architektury (dwa roczniki, głównie dziewczęce). Byłem wychowawcą jednej z tych klas. Ale przedmiot ten był również w programie trzyletniego Technikum Budowlanego, na kursach wieczorowych, a przede wszystkim w trzyletnim Policealnym Studium Architektury (PSA). To tam poznałem swoją przyszłą żonę Wiesławę. Ujęła mnie nie tylko urodą, ale i znakomitymi umiejętnościami plastycznymi, świetnie rysowała. Uczyłem w szkole średniej bez tytułu magistra. Stopień ten uzyskałem kilka lat później, studiując na UAM (Uniwersytet Adama Mickiewicza) w Poznaniu. To czas intensywnej pracy: Internat, szkoła, samokształcenie i studia, dojeżdżanie do Poznania, sesje, egzaminy, stresy. I jeszcze musiałem znaleźć czas na kontynuowanie zainteresowań plastycznych (prowadziłem koło plastyczne), ciągłe wykonywanie dekoracji na rocznice, akademie, wreszcie czas na spotkania z kolegami, koleżankami. Teraz już coraz rzadziej odwiedzałem rodzinny dom w Granowcu, pochłonięty swoimi pasjami.

Bodajże w roku 1965 do Technikum, do internatu, trafiła grupa uczniów z dalekiego Afganistanu (wstępny kurs z języka polskiego odbyli w Łodzi). Byli to już chłopcy-mężczyźni w wieku 18-25 lat. Dwudziestoosobową grupę powierzono właśnie mnie, w szkole uzupełniali naukę języka polskiego. To była w Gorzowie mała sensacja, inna karnacja skóry, inna kultura, religia. Na zakończenie ramadanu zakupili barana, trzymali go w loggii internatu. Nie pomnę gdzie i jak go oprawili, ale brałem udział w specyficznej uczcie-posiłku. Określano go „iszkana”. Misa z baraniną, z jajkiem, ryżem, na tyle gęsta, że można było z owej masy lepić coś w rodzaju kulek. Wokoło misy siedzący palcami nabierali potrawę i te ich śpiewy... Co się z nimi dzieje? Habibi, Josefsaj, Mansuri... Czy wrócili do kraju, czy są wojującymi islamistami?

Nie będę świadomie opisywał lat spędzonych w Budowlance. Szkoła dość znana w mieście z racji dyscypliny i wymagającego dyrektora R. Gromca, zarówno wobec młodzieży, jak i personelu. Wspomnę tylko, że fluktuacja kadry (zatrudnionych było około 60 wykładowców) była niezwykła. Kiedy po 16 latach pracy w tejże szkole odchodziłem do Muzeum Okręgowego, z onej kadry zostało tylko szesciu nauczycieli. Osobiscie, mimo tych obostrzeń, wspominam pracę z sentymentem. Może dlatego, że wspomniany przedmiot dawał mi wiele radości – przezrocza, ilustracje, filmy, wreszcie wycieczki z atlasem zabytków.

Miłobędzkiego, głównie na Dolny Śląsk, gdzie w promieniu 100 km można było napotkać zabytki, obiekty niemal we wszystkich stylach architektury. Poza tym historia architektury nie była przedmiotem maturalnym, zatem mało stresującym. By zaliczyć przedmiot, uczeń, student musiał umieć rozpoznać styl danej budowli, nazwać jego elementy, detale architektoniczne.

Moją ulubioną książką „egzaminacyjną” była „Architektura polska” J. Zachwatowicza. Duże czarne fotografie najważniejszych polskich zabytków. Otwierałem książkę na dowolnej stronie, egzaminowany określał styl, nazywał wskazane elementy, a jeśli jeszcze potrafił odgadnąć dany obiekt, miał przedmiot zdany.

To była inna szkoła niż dzisiejsze. Uczniowie w mundurkach z tarczami („40”) na lewym ramieniu, bez papierosów, bez bluzgania, umięjący jeszcze ukłonić się profesorowi. Dzisiaj nie do wyobrażenia i zaakceptowania jest obowiązkowy udział w akademiach, pochodach 1-majowych, wyjście do miasta tylko za zgodą wychowawcy. Stosowane były tzw. trojki klasowe: wychowawca i dwoje rodziców penetrujący kawiarnie, parki, zwłaszcza po godzinie 20. Przebywanie poza domem, internatem po tej godzinie było zakazane. Przez 16 lat w jednej szkole. Wykształciłem kilka roczników Technikum Architektury i PSA. Ubywało godzin z mojego przedmiotu, musiałem przestawić się na nowe, np. wychowanie w rodzinie, projektowanie architektoniczne!

Moja pasja, samokształcenie przyniosły mi znowu wiele satysfakcji. To ja wymyśliłem klocki w skali (obrazujące różne budynki), z których układaliśmy sensowne, funkcjonalne osiedla, kwartały, unikając sztampy i typizacji. To dlatego później, kiedy byłem pracownikiem Muzeum i Biura Wystaw Artystycznych, miałem odwagę mówić i pisać o nieprawidłowościach, porażkach inwestycyjno-architektonicznych Gorzowa, ilustrując je konkretnymi przykładami. Ze Sławomirem Sajkowskim (fotografikiem) przygotowaliśmy wystawę pt. „Gąsiora opowiadanie o mieście...”, prezentowaną w istniejącym wówczas Klubie MPiK.

To był też czas młodzieńczych fascynacji ludźmi, artystami, dziewczynami. Wciąż byłem kawalerem. Poznawałem plastyków, sam wiele rysowałem, malowałem, przede wszystkim rzeźbiłem metodą Hasióra, którym się fascynowałem do tego stopnia, że w Budowlance wołano za mną „Hasiór”.

Przed szkołą (który to rok?) z Geniem Jaszkułem postawiliśmy czterometrową rzeźbę z betonu, trochę odrealnioną, ale czytelną (trzy postacie ze wzniesionymi rękoma) – protest przeciw wojnie. Stała bodajże trzy tygodnie. Kiedy wróciłem z trzydniowej wycieczki z młodzieżą z Dolnego Śląska, rzeźby już nie było. Palnikiem odcięto jej nogi i gdzieś

wywieziono. Nie zrobiłem nawet przyzwoitej dokumentacji. To decyzja dyrektora (uznającej obowiązujący socrealizm): ponoc młodzież protestowała. Bezskutecznie.

Za zarobione już własne pieniądze kupiłem sobie pod koniec lat 60. skuter – lambrettę (marzyłem o niej jeszcze będąc w SN). Nie miałem jeszcze prawa jazdy, pierwsze, które uzyskałem, było tylko na jednosłady. Lambretta nie była nowa, wciąż się psuła. Sprzedałem ją (Jordanowi). Wkrótce (na raty) kupiłem MZ-etkę 250. Była to chyba trzecia MZ-etka w Gorzowie. Nią to z Jurkiem Goreckim, który był moim studentem, a po latach dyrektorem tejże Budowlanki, pojechalismy aż w Bieszczady, a z Tadeuszem Jurą w jego rodzinne strony w okolice Kęt. Ruch na drogach nie był tak intensywny. Pozbyłem się jej, kiedy Jurek Sz. (prowadzący) rozbił ją w okolicach Przyłęku, gdy wracaliśmy z chrzcin jego syna Macia z Tczewa. Był maj, chyba rok 1973. Ową MZ-etkę zjechałem sporo kraju, najczęściej jeździłem do Stargardu (wtedy Szczecińskiego), gdzie mieszkała Wiecha, moja przyszła żona. Wówczas nie było jeszcze (a może były, ale mnie nie było stać) prawdziwych motocyklowych kombinezonów. Skafander spięty paskiem, spodnie (do których w kolana wkładało się gazety), rękawice, często spawalnicze, i kask taki z plastikowym jajowatym czerepem, zapinany od dołu skórzanymi patkami. Wracałem zziębnięty, często przemoczony, na szczęście cały.

Pisząc o tym wszystkim, mam obiekcje, że ta moja sprawozdawczość jest może mało interesująca dla Ciebie. Chcę jednak, byś miał relację z pierwszej ręki, byś miał wyobrażenie, jak się kiedyś żyło, jak ubierało, czym jeździło.

Kiedy skończyłem zaoczne studia (był rok 69) i nie pracowałem już w internacie, miałem dla siebie i dla swoich plastycznych pasji więcej czasu. Niestety, musiałem opuścić słuźbowy pokój. Na szczęście mój majątek mieścił się w jednej walizce z rzeczami (ubraniami) i kartonie z książkami. Stałem się też właścicielem pięknego eklektycznego fotela (z lesniczówki Kierzków), kilku moździerzów, jakichś szabli (które mi później ukradziono). Z takim majątkiem przeprowadzka nie stanowiła większego problemu. Tak zatem przez pewien czas mieszkaliśmy w mansardzie (pp. Klesów) vis-a-vis szkoły, później też w mansardzie uroczej willi przy Wyspiańskiego 4 (u pp. Jarczyńskich). Wtedy to zaprzyjaźniłem się z Jurkiem Sz., z którym realizowaliśmy szalone pomysły (jakieś etiudy filmowe, seanse fotograficzne). Byłem modelem utrwalonym przez Jurka na wielu fotach dużego formatu. Pokazywał je Jurek na wystawach. Mimo dorobku, nie dostał się do Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi. Będąc przez rok mieszkającym w bloku teatralnym przy ul. Cegielnianej, Dyrektor Teatru p. Kępinśki udostępnił mi kawalerkę, zatrudniając mnie

na 1/4 etatu jako organizatora widowiska to taka funkcja naganiacza. To dało mi możliwość oglądania teatru od zaplecza, kulis. Bodajże w początkach lat 70 (XX w.) był i epizod z założeniem klubu nauczycielskiego. Wcześniej z Bogdanem Komorowskim zaprojektowaliśmy jego wnętrze łącznie z meblami, oświetleniem. To drugie piętro dawnej szkoły, a dzisiejszego sądu gorzowskiego przy ul. Mieszka I.

Te i inne prace projektowe i udane realizacje spowodowały, że z wymienionym Bogdanem założyliśmy firmę projektową pod nazwą AECUS (to zamknięte pomieszczenie w domu rzymskim, rodzaj atrium). Sporo banków, sklepów, kaplic, wnętrz mieszkalnych wyszło z naszych pomysłów. Do mnie należał głównie wystroj plastyczny (pokazany na planszach), do Bogdana rysunki techniczne mebli, elementów. Był w tym dobry. Nie było z tego kokosów, niemniej pozwalało nie mieć długów. Razem wykonaliśmy też kilka rzeźb (głowy Kilńskiego, Wasilewskiej, Kopernika, nagrobek Pietę czy głowę Chrystusa).

Równocześnie z pasją tworzyłem swoje „gąsioro-hasiory”, ta fascynacja Mistrzem była nieustająca. Pierwsze niesmiące wystawy moich prac (Klub MPIK – 67 r., Muzeum Okręgowe – 73 r.). Prace powstawały w różnych pomieszczeniach – szopa u Bogdana, garaż pp. Jarczyńskich, pod ich nieobecność, bądź po prostu w małych mieszkalnych kłitkach. Wciąż zazdrościłem pracowni artystom, którzy dzięki wspomnianemu Rzeszewskiemu zaczęli przyjeżdżać do Gorzowa.

Dyrektorowi Ryszardowi G. zawdzięczam uzyskanie mieszkania w nowo wybudowanym wieżowcu (11-kondygnacyjnym) przy pl. Staromiejskim 4/118. Nareszcie na swoich 36 m². Na 10. piętrze z widokiem na boisko Szkoły nr 17, a z korytarza na Dolinki, gdzie dziś stoi Filharmonia. Słaba kuchnia, dwa pokoje, przyzwoita łazienka, balkon. To była radość. Naturalnie, że należałem do Spółdzielni Mieszkaniowej, uzupełniałem wkłady, i czekało się na własne M. latami. Wpływowy dyrektor G. (członek egzekutywy PZPR) przyspieszył to zdecydowanie.

A propos. Mimo wielokrotnych propozycji, zachęt, np. w postaci talonu na samochód, nie zapisałem się do partii (jedynej wówczas słusznej) ani w szkole, ani w Muzeum, ani w BWA, w których przyszło mi później pracować.

Mając swoje mieszkanie, mogłem wreszcie planować (prawdę mówiąc, nie paliło mi się) założenie rodziny. Miałem już 32 lata. Wiecha była młodsza o osiem lat, to ta z PSA, która oczarowała mnie urodą i zdolnościami plastycznymi. Skończyła trzyletnią edukację w PSA (nie dostała się wcześniej na architekturę w Warszawie), podjęła pracę w Biurze Projektów na stanowisku kreslarza, asystenta architekta. Wtedy nie było jeszcze programów komputerowych, bo nie było komputerów. Cały projekt

nanoszono z wymiarami na kalkę rozłożoną na stole kreslarskim przy pomocy rapidografu. Biuro Projektowe znajdowało się w centrum – górujący biurowiec tzw. Przemysłówki (potem bank, dziś pustostan, z czasem centrum kultury?).

Jerzy

Do 1979 roku Jonepon był jedynym
w świetnie urodziła się Marta. W pokoju
pojawiało się przy stole trochę Wamentauin
rację być ciasto. Na nocie na tym samym
piłnie zabiegający miłośnik (m. 121) dla
Mang Nien - Truny, która przenosiła na
emeryturę, miała opisać swój Starparol
i namierzać na state w Goroie (najpięk-
nie swoje, mami, Adely). To rozpierała
portac Ofiana, dźwięka (notre od wielu lat)
nie słarsza się, miłyte praciota,
pomocna Kisoty Marta miała kilka latole,
biegata na noc do swej babei, tam miała
miejsc pnestreni.

Tu w tym czasie nie pracowałem
w budowlance. Za namową Mirosława
Kremenskiego podjąłem pracę w Muzeum
Jonepodium (to był 771) Zetoryjan tam
galerię sztuki współczesnej - Ofiyna,
w budowlanym vis a vis gmachu piernego
Galeria istnieje do dziś.

Jerzy

Drogi W

Sobota, z taką zasmarkaną pogodą, z temperaturą w okolicach zera. Pogoda, która nie nastraja najlepiej, tym bardziej że po południu po raz pierwszy mamy spotkać się z przyszłymi tesciami najmłodszego syna, Wojtka, który postanowił zalegalizować swój związek z Kasią w początkach sierpnia tego roku. Ma już 28 lat. Oby im się powiodło. Choć dzieci duże troska rodziców nieustająca. Ale to chyba prawidłowość. Ponoć na Zachodzie 15-16-latek opuszcza rodziców, żyjąc w miarę samodzielnie, a dotychczasowe więzi rwą się do tego stopnia, że po kilku latach ewentualną wizytę należy zapowiedzieć. Na szczęście u nas jeszcze tak nie jest. A jak u Ciebie?

Wczoraj wielki dzień dla Ameryki. Zaprzysiężenie 45. prezydenta Stanów Zjednoczonych. Został nim Donald Trump, który w orędziu nakreślił swój dość radykalny, kontrowersyjny, nacjonalistyczny plan działania. Wobec zagrożenia ze strony Wschodu (Rosja, islam) w Polsce stacjonuje około 20 tys. żołnierzy amerykańskich i ogrom sprzętu.

Ponad 70 lat spokoju i znowu zagrożenie. Świat nigdy nie zmądrzeje. Szkoda. Czy jest możliwa Europa bez wojny do Twoich czasów, w których przyjdzie Ci żyć? Który wtedy będzie prezydent w Stanach Zjednoczonych? Ja doczekałem osmego, a siódmego papieża.

Z wieści optymistycznych to to, że spod lawiny i gruzów po włoskim trzęsieniu ziemi wydobyto 11 żywych osób. Co z resztą? Nie ma dnia godziny bez ponurych wieści.

Wracam do mojego curriculum vitae. Skończyłem na tym, że Wiecha po skończeniu trzyletniego studium w PSA podjęła swoją pierwszą pracę (1971 r.) w Biurze Projektów najpierw „Stilonu”, wkrótce Przemysłówki. Mieszkała kątem m.in. na poddaszu domu rodziców Jurka Szalbierza przy ul. Norwida.

Ale już w roku następnym otrzymałem upragnione mieszkanie. W lipcu 1972 roku wziąłem ślub cywilny w Gorzowie, kościelny u św. Jana w Stargardzie. Skromne wesele w domu Mamy Wiechy, Ireny wdowy, i powrót na swoje. Urządzałem to mieszkanie po swojemu, według własnych pomysłów i projektów. Żadnych gotowych mebli, jasna naturalna deska sosnowa – stoł, ława, krzesła, regał, wnękowa szafa, materac Yogi w obudowie drewnianej. Wejście z korytarza, z którego wchodziło się do 10 pozostałych mieszkań. Większość to ludzie młodzi, zatem z dziećmi. Gwarno było na korytarzu, na plac zabaw należało zejść czy

zjechać windą, co było pewnym utrudnieniem. Blok – 120 mieszkań, jeśli policzyć, że średnia mieszkania to trzy osoby – blok był przystanią dla ponad 350 osób. To spora wieś. Jeszcze wtedy miasto wydawało mi się przyjazne, bez tego niepotrzebnego rozbuchania i samowoli, które pojawiło się po transformacji, to jest po 1989 roku. Funkcjonowały wymienione już zakłady na czele z wielotysięcznym „Stilonem” z którym i ja wkrótce pośrednio się związałem.

Tak zatem w wieku prawie 33 lat przestałem pędzić wygodny żywot kawalera, z oporami (sic!). Kochałem Wiechę, ale nie parłem do małżeństwa. Jakas wewnętrzna uczciwość kazała mi zalegalizować związek. To moje zachowanie od początku mogło wzbudzić, jeśli nie sprzeciw, to na pewno zdumienie. Np. że nie nosiłem obrączki, nie wymagałem od żony, by mi serwowała obiady, kolacje. Nie akceptowałem chodzenia pod rękę (jesli już, to za rękę). Wydawało mi się to wszystko takie drobnomieszczańskie.

W grudniu 73 roku pojawił się Grzegorz Szok. Urodził się z małym rozszczepem wargi (ponoć w czasie ciąży Wiecha się przeswietlała). Radość i załamanie. Dwukrotnie poddawany był zabiegom chirurgicznym w Warszawie. Jest dobrze, dziś nie ma śladu.

Szalenie pozytywnie przeżyłem to swoje ojcostwo. Nie sądziłem, że mnie tak powali. Przedtem myślałem: dziecko – kłopot, obowiązki, ograniczenie wolności. Dopiero własne wyzwoliło pokłady wzruszenia, opiekunczości. Pamiętam, że w nocy to ja pierwszy podbiegałem do łóżeczka, kiedy Grzesz zaczynał kwilić. Tak weszło mi to w przyzwyczajenie i tak przywykł do tego synek, że kiedy już zaczął wypowiadać pierwsze słowa, to nie mamę, ale tatę przywoływał. Byłem dumny z tego. I ta troska, by mu się nic złego nie stało, przeżywanie wspólnie z nim, kiedy zaczął „łobkowanie”. Oboje pracowaliśmy, babcia poza Gorzowem. Chętnie poświęcałem mu wiele czasu: spacerować w Dolinki, wozienie na rowerze, odwiedzanie muzealnego parku i nadwarciańskiego nabrzeża. A potem częste wyjazdy do Santoka. Od kilku lat remontowałem tam wieżę.

Sądzę, że byłem dobrym ojcem. Pamiętam, że kiedyś obejrzałem film Viscontiego „Śmierć w Wenecji” – dramat ze sceną śmierci dziecka. Po powrocie z kina przywarłem do śpiącego już synka, popłynęły mi łzy.

W wakacje jeździłem z nim do rodziców (dziadków) w Granowcu. Tam pokazywałem mu wieś, zwierzęta, jeździłem rowerem do lasu. Dotarłem aż do Antonina (pałacyku myśliwskiego Radziwiłłów, gdzie bywał Chopin). Jest takie zdjęcie, kiedy biedaczek zasnął na rowerowym koszyczku.

Do 1979 roku Grzegorz był jedynakiem. W kwietniu urodziła się Marta. W pokoju pojawiło się piętrowe łóżeczko. W mieszkaniu zaczęto

być trochę ciasno. Na szczęście na tym samym piętrze zakupiliśmy mieszkanie dla Mamy Wiesi. Ireny, która przeszedłszy na emeryturę, mogła opuścić swój Stargard i zamieszkać na stałe w Gorzowie (najpierw ze swoją mamą Adelą). To wspaniała postać. Ofiarna, dzielna (wdowa od wielu, wielu lat), nieskarżąca się niezwykle pracowita, pomocna. Kiedy Marta miała kilka latek, biegała na noc do swej babci, tam miała więcej przestrzeni.

Ja już w tym czasie nie pracowałem w Budowlance. Za namową Mieczysława Rzeszewskiego podjąłem pracę w Muzeum gorzowskim (to był 77 r.). Założyłem tam galerię sztuki współczesnej – „Oficina” w budynku vis-a-vis gmachu głównego. Galeria istnieje do dziś.

Nowe doświadczenia, nowe twarze, przyjaźnie, m.in. z Grzesiem Gralińskim. Warto wspomnieć, że prawie 100-tysięczne miasto nie posiadało galerii sztuki współczesnej. To z nazwą Biuro Wystaw Artystycznych powstało w styczniu 1980 roku, znów dzięki Mieczysławowi Rzeszewskiemu, który namówił dyrekcję „Stilonu” aby w dawnej sali gimnastycznej nieistniejącej już szkoły przyzakładowej stworzyć salę ekspozycyjną z prawdziwego zdarzenia (prawie 350 m² powierzchni). Gorzowskie BWA było 46. (dopiero) na 49 istniejących województw w Polsce. Zostałem jego pierwszym szefem. Pierwsza skromna załoga, przejęta z Muzeum (wspomniany Grzegorz G., Jola L., księgowa K. Markiewicz). Tak zaczęła się moja wielka przygoda „galernika”, która trwała aż 26 lat, do 2006 roku.

Jerzy

DROGI W

Czytam, a raczej słucham przejmującej książki „Wojna nie ma w sobie nic z kobiety” Swietłany Aleksijewicz czytanej przez Krystynę Czubównę. Piękny, ciepły głos opowiada o drapieżnościach wojny w relacjach kobiet, najczęściej młodych, 16-20-letnich. Sanitariuszki, łączniczki, kucharki, ale i lotniczki czy strzelcy wyborowi, wybrane z setek wystuczanych historii. Przerazające opowiadania o urwanych głowach, nogach, rękach, rozpatanych brzuchach, o głodujących, że co niektórzy potrafili jeść nawet konski nawóz, o usianych trupami polach, o wstydzie i marzeniach, np. żeby się po miesiącu wykąpać, by nie chodzić przez cztery lata w męskich majtasach, kalesonach i spodniach, by poczuć się kobietą, o radościach z zakochania się w koledze, o podarowanym w czasie głodu jabłku czy cukierku, wreszcie o bezradności wobec machiny wojennej, przemocy, upokorzeniu. To działo się w latach 41-45. Już byłem na świecie! Ssałem piers Mamę, jadłem kaszkę, memliłem skorkę chleba. Miałem ciepło, bezpiecznie i – na szczęście – wtedy nie wiedziałem, że cała Europa ocieka krwią, człowiek człowieka zabija w imię szalenczych idei „nadludzi”.

Niczemu nie byłem winny, a jednak jakiś niepokój, dyskomfort, wręcz wstyd, że mnie się udało, że nie roztrzaskał mnie esesman o zeliwną pompę, jak tego niemowlaka z relacji jednej z kobiet, matek. Wobec tego oceanu cierpień, jakich wielu doznało w czasie wojny, nie narzekam, że mam 18-letni samochód, że w mieszkaniu nie jest zbyt ciepło. Nie wypada, nie uchodzi.

Jadę tramwajem (to było wczoraj). Na przystanku dosiadają się trzej panowie. Nie kasują biletów, siedzą trzy rzędy za mną. Przeklinają. Wsiadają przy ul. Chodkiewicza. Jeden z nich na głos: „O kurwa, jeszcze 100 metrów” o tyle oddalona jest parafia NSJ. A tam dostanie jedzenie, markowe ubranie. I jeszcze, z powrotem znowu do pokonania 100 m do przystanku tramwajowego. I tak jest codziennie. Nie pracują, a jednak jedzą, piją i są ubrani, może śmieją się z tych, co pracują.

W opisach tamtych kobiet świat nagosił głód, mrozu i wszelakiego bólu, fizycznego i tego, co rozwała serce, ten zda się nieporozumieniem. To wszystko za moich czasów, w okresie 76 lat.

Mój Drogi W, czy możesz to pojąć, wyobrazić sobie, zrozumieć? Mnie jest trudno! A dzisiaj mój stosunek do Niemców. Poprawny, nawet przyjazny. W większości żyją już dzieci, wnuki tamtych eleganckich

mundurowych panów z paskiem na sprzączce których hasło „Gott mit uns” i z trupimi czaszkami na czapkach. Dzisiejsi Niemcy żyją z piętnem ludobojców: zapewne nie jest im łatwo. Może dlatego kanclerz Angela Merkel wciąż jest otwarta na przyjmowanie uchodźców. Mowa o Niemcach. A inne nacje? Jako zagorzały pacyfista staram się kochać (wszak jestem chrześcijaninem) wszystkie narodowości. Naturalnie wobec groźby islamu i przejawów wrogości do chrześcijan trudno mi darzyć ich szczególną sympatią. Takich oporów nie mam wobec innych nacji, kolorów skóry, nade wszystko Żydów. Tak. Jestem filosemitą. Cenię ich geniusz i kulturę, fakt, że tak liczna populacja związana była z Polską. Potępiam wszelkie przejawy antysemityzmu, ksenofobii.

Ale mowa była głównie o Germanach. Dobra okazja, by opowiedzieć Ci o pewnych wydarzeniach w relacji Niemcy – Polacy. Jeszcze przed latami 80 – tymi przed „Solidarnością” – byli tacy, którzy próbowali zrobić coś dla pojednania, tu w Gorzowie (ich Landsbergu). W pałacyku przy ul. 30 Stycznia mieszkał bp Wilhelm Pluta (dzis błogostawiony). Ślązak, doskonale władający językiem niemieckim. To do niego przyjeżdżał dawny pułkownik Hans Beske z żoną Barbarą. Pułkownik był bez nogi, może stracił ją pod Stalingradem. Miałem okazję ich poznać, gościć na wieży, a później być u nich z taką minidelegacją gorzowską (M. Rzeszewski, W. Kucko) w okolicach Celle, gdzie mieszkali. Niezwykle ciepli, sympatyczni. A później, w czasie stanu wojennego, kto wie, może z ich inicjatywy przysyłano do Gorzowa wiele paczek, mnie też danym było z nich skorzystać. To czas, kiedy w Polsce nie było prawie nic, a tu kawa, czekolada, cytrusy.

W Hamburgu od lat 80 mieszka gorzowianka Inca G. Moja dobra koleżanka. Dzięki niej trzykrotnie odwiedzałem Hamburg, dwukrotnie załapałem się na jakieś roboty budowlane przy remoncie willi w samym Hamburgu (z Arturem M.), a nieco później w Mutzen – przebudowa gospodarstwa na ośrodek rehabilitacyjny. Obserwowałem Niemców, żadnych negatywnych odczuć. Pamiętam, jak mocno się starałem, by mnie jako Polaka nie przytapano na jakimkolwiek wykroczeniu czy nawet nie-takcie. O Polakach opowiadano przykre dowcipy i wytykano przywary.

I wreszcie w maju (1-8) 2008 roku wyjazd ze Stasiem Regulskim do Eichstatt w Bawarii. Niezwykły tydzień. Dlaczego tam, do kogo? Od początku. Już pod koniec mojej pracy w BWA (bo w 2005 r.) zorganizowałem dużą wystawę, asamblaż i grafik Ikedy Tadatosiego z dalekiej Japonii. Najpierw gościła w Berlinie. Powiedziała mi o niej Kveta Pietsch (Czeszka), od wielu lat mieszkająca w Bremie i udzielająca się w ich Czerwonym Krzyżu, to prawdopodobnie przez nią trafiła pomoc do Gorzowa. Powiedziała mi o tej wystawie i o człowieku, Niemcu Mathiasie

Thimie, który z kolei ponad 20 lat mieszka w Japonii i pilotuje ową interesującą wystawę. To były czasy, kiedy na granicy nie obowiązywały już skomplikowane procedury celne. Wystawa więc bez przeszkód trafiła do Gorzowa. A z nią autor Ikeda Tadatoshi z żoną (też plastyczką) i Mathiasem. Wygłosił interesujący spicz o autorze, był oczywiście tłumaczem.

Po wernisazu pojechalismy do santockiej wieży (tylko nią potrafiłem się chwalić). Od słowa do słowa... dlaczego w Japonii, skąd, kim był ojciec (Gunter Thim). Dowiaduję się, że rodzina związana była z Poznaniem (Possen) – to były zabor pruski. Po 1918 roku przesiedlają się na Pomorze do Sianowa. Tam rodzi się Gunter. Drążę temat dalej. Pytam, gdzie mieszkał. Mówi „in Schlave” (moim Sławnie!). Serce mi załomotało. Pytam dalej, czy wie, na jakiej ulicy. Zaraz się dowiemy. Zdziwienie, jak to? Dzwoni do ojca w Eichstätt (wtedy miał 87 lat), żyjącego! Był moment, że pomyślałem, że może mieszkał w jego domu na Sidlungu (os. Koszalińskie). Nie, na Schulstrasse (ul. Szkolna), niedaleko rynku i kościoła. Po powrocie do domu sprawdziłem, dzisiaj to ul. Grottgiera. Jego domu nie ma, cała pierzeja została zniszczona, ale ostał się budynek dawnej szkoły (stąd nazwa ulicy), dziś zamieniony na mieszkania.

W roku następnym Mathias z kolegą Japonczykiem (już nie autorem) odwiedził Berlin, Gorzów. Moim wysłuzonym daihatsu pojechalismy na Pomorze, a jakże, do Sławna. Mathias po raz pierwszy poznał miejsce zamieszkania swego ojca, Guntera Thima, którego jako 19-latkę wcielono do wojska i wysłano na Wschód, by walczył za Hitlera.

Ze Sławna pojechalismy do Ustki, Słupska, a stamtąd, przez Poznań, aż do Krakowa. Stąd do Zakopanego. Ogrom wrażeń. Goście zbudowani nie tylko gościnnością moich rodaków, ale i ładem (kraj zmieniał się radykalnie). W drodze powrotnej Mathias dość długo walczył z podjęciem decyzji – czy odwiedzić Oświęcim. Zdecydował na tak. Nie byliśmy tam zbyt długo. Japonczyk, który zajmował się leczeniem niekonwencjonalnym, był swoistym szamanem, ow krotki pobyt przypłacił niemal chorobą fizyczną. Pobyt wywołał tak potężne wibracje w jego organizmie, trzęsły mu się ręce, błądł zwłaszcza w okolicach krematoriów, tak mocno odczuł śmierć milionów. Gdybym nie widział, nie uwierzyłbym. To z jego powodu skróciliśmy obozowy pobyt. W samochodzie długo odmawiał modlitwy, strzepywał dłońmi jakieś złe wibracje. Powiedział nam, że po raz pierwszy jego organizm doznał takiego spustoszenia. Nieprawdopodobne. Stąd do Berlina. Mathias trochę do siebie, trochę do kolegi – „Jaki to piękny kraj...”

W maju 2008 roku ojciec Mathiasa, Gunter, obchodził 90 urodziny. Każdorazowo z okazji urodzin miał zwyczaj spotykać się z rodziną.

- z dziećmi. Oprócz Mathiasa żyły jego córki. Kornelia w Berlinie i Kristin w Regensburgu. W początkach maja (różnica tylko trzech dni) urodziny obchodziła również o 20 lat młodsza żona Guntera. Trudi. Oboje są muzykami. Gunter ma w dorobku koncert fortepianowy prezentowany przez niemieckie radio.

Na owe 90. urodziny Thimowiemu w porozumieniu z dziećmi postanowili zaprosić i późniejszego mieszkańca Sławna, tj. mnie. Pojechalismy ze Stasiem R. (tłumaczem) w umówionym dniu na umówioną godzinę, gdzieś na wyznaczony parking pod Berlinem. Stąd już wypasionym mercedesem z Kornelią i jej mężem do uroczego Eichstätt w Bawarii. Poznaliśmy jubilatów: miłych, ciepłych. Szybko minęło pierwsze skrępowanie. To był uroczy, pełen wrażeń pobyt. Dane nam było zwiedzić piękny Regensburg, popłynąć w dół Dunajem do uroczego klasztoru, zwiedzić okolice i samo miasteczko, gdzie mieści się największy katolicki uniwersytet. To było w okolicach Zielonych Świąt. Z tej okazji szalenie ciekawe procesje, korowody. Wieczory w atmosferze muzyki, wspomnień przeszłości. Gunter, jak już wspomniałem, w wieku 19 lat został wysłany pod Stalingrad. Wyraźnie nie miał ochoty opowiadać szczegółów tego pobytu. Fakt, że z 200 tys. żołnierzy walczących pod Stalingradem wróciło tylko około 10 tys., zakrawa na cud. Wśród nich on, choć stracił na rok słuchu (on muzyk). Leczył się gdzieś, chyba we Freiburgu, a kiedy wydobrał, przeniósł się do Bawarii. Na wspomnianym uniwersytecie żona prowadziła zajęcia z teorii muzyki. Obdarowałem całą rodzinę, głównie jednak Guntera, pastelami, które wykonałem specjalnie na wyjazd. Sławińskie baszty, widok na kanał, jakieś pejzaże. Do tego wystrugane anioły. Prezenty trafione.

Ogrom zdjęć, wrażeń. Miłe spotkanie. I dziwne uczucie, ja, Polak, dziecko wojny, mieszkaniec Sławna, do którego Gunter już nigdy nie wrócił, czuję jakiś dyskomfort, poczucie winy, że mieszkałem z rodzicami w jego mieście, chodziłem do jego kościoła, jego ulicami, uczyłem się w jego szkole.

Przez kolejne lata wymienialiśmy się korespondencją, życzeniami, świątecznymi. Od dwóch lat nie otrzymuję żadnej. Zapewne Gunter zmarł, dziś miałby 99 lat. Nie wiem jednak, dlaczego (jesli to prawda) mnie nie powiadomiono. Pozostanie w mej ciepłej pamięci. Poznałem nawet urokliwy mały cmentarz, bardzo blisko ich domu, na którym zapewne spoczywa.

Piszę Ci o tym wszystkim, byś zrozumiał, jaki jest mój i większości Polaków stosunek do Niemców. Ale po obu stronach są jednostki, grupy, którym znudził się już długotrwały pokój. Mają odwagę głosić nacjonalistyczne hasła, apoteozować potwora, sięgać po nazistowskie symbole.

Podobnie jest na Wschodzie – w Rosji, która zawładnęła Krymem, teraz próbuje rozrabić na Ukrainie, ogląda się na Mołdawię.

Człowiek to jednak kanalia i wcale nie brzmi dumnie. Oby zwyciężył rozsądek. Już Seneka w I w. n.e. napisał „W sercu każdego człowieka przebywa bestia i zwierzę ściśle połączone”. To na dzisiaj tyle.

Ściskam Cię
Jerzy

Po marnsawie pojedynkują do samotnej
miej (tylko nie potrafiem się dwalić).
Od stawa do stawa .. Małego u Jęzowi,
słęd, kum był ojciec (Günter Thum) Daria-
dużę ci, że rodzina zięcina była z Poznaniem
(Poznań) - to byłaby rabin pruski. Po 1918 r.,
przeniósł się ci, na Pomorze do Sianowa.
Tam rodzi się Günter Dąbik kum był dalej.
Pytam gdzie mieszkał. Mówi „in Schlarf”
(moim staniem) Serce mi natychmiast
Pytam dalej, czy nie na jasioz ulicy -
zanim się dowiem. Zdrwienie, jasio? !
Dziwni do ojca u Siedlitz (wtedy miał
87 lat), zięcego! Był murem, że pomysłem,
że moje mieszkaniem u jego domu na
Siedlitz (Orville Konradinów). Nie .., na
Siedlitzstrasse (ul. błotna) mieszkałem tylko
o kwiście. Po powrocie do domu sprawdzi-
łem, duning to ulica A Grotzgera Jego
domu nie ma, cała pierzeż została
zniszczona, ale został już budynki sławny
ulicy (Współna ulica) /olus' ramieniem
na mieszkaniu



Z młodzieżą PSA na plenerze w Lubniewicach, 1970 r.



Z grupą Afganczyków w Technikum Budowlanym, 1965 r.



Z Tadeuszem Jurą i absolwentkami Krystyną i Hanią na studniówce Witnica 1972 r.



Wakacje ze szkicownikiem na plenerze z młodzieżą



Wernisaz wystawy prac Magdaleny Abakanowicz od lewej Wł Chrostowski i E. Korban BWA Gorzów 1987 r



BWA Gorzów 2000 r

Drogi W

Już luty kolejny miesiąc nowego roku. Czas pędzi nieubłaganie. Mój pospiech w pisaniu jest uzasadniony. Chcę zdążyć przekazać Ci najważniejsze wydarzenia i myśli o sobie rodzinie otoczeniu kraju. To są wiadomości z pierwszej ręki osobiste niekłamane. Jak już pisałem, nie są to wydarzenia spektakularne, sensacyjne, godne powieści czy reportażu. Mogłbym konfabulować, ale po co. To jest mój szczerzy przekaz, na tym polega jego wartość.

Pytanie tylko, czy nadal Cię on interesuje?

Dzis spróbuję poruszyć temat niezwykle ważny, dotyczący całej mojej rodziny, zatem i Ciebie, o Polsce, o Polakach, którymi przecież jesteśmy. Nie wiem tylko, czy dzisiaj „Polak – to brzmi dumnie”. Nie podchodzę więc do niego (tematu) z pełnym entuzjazmem, choć chciałbym. To, co obserwuję wokół na co dzień, nie nastraja euforycznie. A przecież z dziada pradziada jestem Polakiem, a moją ojczyzną jest Polska – piękny kraj. Skąd te opory, obawy. Kilkadziesiąt lat temu, mimo życia w ciężkiej komunie, z większą dumą podkreślałem swoją polskość.

Dzis, z perspektywy tylu przeżytych lat, nie miałbym już odwagi stawać na cokole i krzyczeć „Jestem Polakiem!”. Dlaczego? Ano dlatego, że za tyle rzeczy zweryfikowało, wyprostowało mój patriotyzm, że za tyle rzeczy jest mi wstyd, że spaprano tak wiele wspaniałych zrywów, że tak łatwo zaprzepasciliśmy dorobek pokoleń.

Nie czas i miejsce, by zaczynać analizować kraj, Polaków, od Piasta Kołodzieja. To długa historia. Wzloty, upadki, rozdrobnienia, podziały, wojny, klęski, zrywy, spektakularne zwycięstwa – Grunwald, Wiedeń z Sobieskim, Polska piastowska i ta XVII i XVIII wieku, sięgająca obszarem daleko na wschód, o powierzchni prawie 1/5 Europy, i zmarnowany, roztrwoniony potencjał przez klikę, sobiepaństwo, liberum veto, nade wszystko prywatę, wkrótce czasy saskie, obcy na tronie, wreszcie najokrutniejszy czas – rozbiory. Koniec XVIII wieku. W Europie oświecenie, racjonalizm. W moim kraju bezwład, polityczna niemoc. Na 123(!) lata Polska nie istnieje. Rozparcelowana przez trzech zaborców. Obce języki, obce urzędy, obce szkoły, Terror, wynaradawianie. I te, tak typowe dla nas, zrywy, bunty, powstania – zazwyczaj tłumione. Powstanie listopadowe, styczniowe. Represje, wywózki, Sybir. I powód do cierpień, do obnoszenia się z tym cierpieniem. Bardzo to lubimy. Do dziś akademie, rocznice, pamiątki.

tamtych klęsk, rozlanej krwi. Jedyny udany zryw – to powstanie wielkopolskie 1919 roku.

Dziwne. Inne narody jakos niechętnie przyznają się do tego, że dostawały w kość. Polska wciąż się z tym obnosi. I tak jest do dziś.

Ja żyłem już w wolnej Polsce. Wojnę przeżyłem w kołysce i na kolanach rodziców (pisałem Ci o tym). żyłem w komunie, tej z walką z krzyżem, kolejkami, skandowanej hasłami. Stalin, PZPR, plany 3- i 6-letnie, pochody 1-majowe, czyny społeczne, bite rekordy pracy, budowa Nowej Huty, kopalni i wielu zakładów pracy. Potem pierwsze bunty, strajki, niekiedy krwawo tłumione (Poznań, Radom, Wybrzeże), wreszcie narodziła się „Solidarność” – tak obiecującej... i w konsekwencji zwycięskiej. I jeszcze Papież Polak! Co z tego, dziś znów jesteśmy jakby tamci, skłóceni, z pretensjami. I ja dałem się ponieść fali entuzjazmu. Pracowałem już w Muzeum gorzowskim. Wszędzie nowe ogniwa „Solidarności”. Nigdy do niczego nie przynależałem. Do partii (tej słusznej...) też nie mimo namów i obietnicy talonu na samochód. Do „Solidarności” jak najbardziej... ale o dziwo byłem tam tylko bodajże miesiąc. Wypisałem się na własne życzenie, kiedy szefem mojej komórki został D. M. (podaruję sobie pełne nazwisko) moim zdaniem, największy leser w tej placówce. Od razu poczułem dyskomfort. Choć człowiek na co dzień bardzo sympatyczny. Tacy ludzie poczułi możliwość, zaczęli sięgać po władzę. Znowu prywatnie, własny interes, możliwość ustawienia się.

O nie, to nie dla mnie. Do dziś ostrożny i odporny jestem na nowe hasła, partie, bogów wymachujących biało-czerwonym sztandarem. A propos. Dlaczego jest ogólne przyzwolenie, by ten piękny polski znak, symbol, tak powszechnie profanowano. Uczono mnie, że na fladze – poza kolorami, czy godłem orła – nic. Tymczasem pod krokwią w Zakopanem w czasie zawodów nieprzebrane tłumy, las powiewających flag, a na nich (na bieli, bo bardziej czytelne) nazwy miejscowości, znanych, mniej lub zupełnie nieznanych. Dlaczego nie ma reakcji. Flaga to nie transparent, to nie przekaz informacji. To nie jest moja Polska.

Ten kraj, tak często biczowany, doświadczany, wystawiany do wiatru przez sąsiadów (ostatnia wojna), nie potrafił wyciągnąć należytych wniosków. Młodzi, ogoleni na patę, z kijami bejsbolowymi, mają czelność robić burdy, wrzeszczeć „Polska dla Polaków”. Kompletnie pozbawieni rozsądku i wiedzy, nie zdają sobie sprawy, co znaczy żyć w przyjaźni z sąsiadami.

Ten chrześcijański kraj nadal głosi (często z ambony) antysemitkę, hasła, potępia mniejszości. Przerazające sceny na Krakowskim Przedmieściu. Panie (babcie) z różańcami w ręku, z parasolami, potrafią wykrzyczeć, a nawet „pogonic” przy pomocy tych przedmiotów niewygodnych redaktorów.

Pisma „Do Rzeczy” i „W Sieci” – wielki stek kłamstw szczucia medal wolności dla Prezesa ufundowany przez owe pismo. Żadnych świętości. Krolewski szlak przestrzeń przed pałacem wciąż profanowana na oczach zagranicznych sprawozdawców. wciąż w realnym zagrożeniu. ze stanie tam pomnik a może nawet dwa (jak chce Prezes) dla upamiętnienia smoleńskiej katastrofy. katastrofy chciałoby się powiedzieć. na własne życzenie. Bo wylot nieprzygotowany ad hoc. z długą listą niedociągnięć. To już siódma rocznica. Nieustanne grzebanie się w tragedii. wyciąganie trupów (sic!) biadolenie. To nie jest. Drogi W. moja Polska. z której mógłbym być dumny.

Aktualnie sprawa Lecha W. (Bołka) jego współpracy z SB. Idzie w zaparte. Miarą wielkości człowieka jest umiejętność przyznania się do błędów. Przecież to nie przekreśla rzeczywistych zasług twórcy „Solidarności”. Przez takie zachowanie wiele stracił. A propos – to nie był mój prezydent. Oj. Gąsior. Gąsior nie narzekaj. Dlaczego zatem każdego tygodnia programy w TV. „Trudne sprawy”. „Sprawa dla reportera”. Elżbiety Jaworowicz czy „Państwo w państwie” – tyle zła. zaciekłości. krzywd w narodzie katolickim. „polskie piekło”. ponoc tak typowe dla naszej nacji.

Na obczyźnie inne narody się integrują. wspierają. Polacy chyba najmniej. Przykro mi o tym pisać. bo przecież historia zna postaci wielkie. wyjątkowe. mądre. noblistów. wynalazców. rekordzistów. odkrywców. sportowców. himalaistów. podróżników. misjonarzy – naprawdę wielu. Szkoda więc. że za sprawą kilkuset „odszczepieńców” idzie w świat opinia o polskim warcholstwie. przestępczości. A przyczyna? Stalin wymordował inteligencję. komuna wylansowała miernoty i cwaniaków. kiedy przyszła wolność. nie byliśmy na nią przygotowani. trzeba lat. by to odbudować. Mówić o Polakach. Ilu Polaków. tyle opinii. Mój osąd zapewne też jest subiektywny. Smiem jednak twierdzić. że nieodosobniony. sprawiedliwy. nawet życzliwy. choć sytuacje. w jakich obserwowałem rodaków. nie zasługiwały na taki. Staram się wielokrotnie ich usprawiedliwiać. Na przykład naszą pazerność na tani towar. chłam. zwłaszcza gdy rozda się go za darmo albo za symboliczną cenę. To pokłosie komunizmu. kiedy niczego nie było. wszystko trzeba było wystać. tanią kiełbasę. masło. kaszę. buty i perkal. wszak przez wiele lat tylko na kartki. Teraz więc. kiedy w hipermarkecie ów towar leży w nadmiarze. można w nim wybierać. przebierać. przymierzać. odkładać. wciąż dla wielu ta sytuacja wydaje się mało realna. wciąż niedowierzanie. że jutro też mogą przyjść po niego. To spadło na ten umęczony i upokorzony naród tak nagle. że zaczął gromadzić. wrzucać do koszyka w nadmiarze. bez zastanowienia. A w domu refleksja. po co mi to. dlaczego aż tyle. przecież nie zjem. nie ubiorę. I produkty lądują w koszu. Tylko w Polsce rocznie ponoc 10 mln

ton żywności wędruje do smietnika. Przerazające. Pamiętam jak „za Gierka” Polacy zaczęli jeździć po drogach i kraju powszechnymi „maluchami” co bogatsi dużymi fiatami. Wyczekane upragnione wreszcie własne cztery koła. Ja nabyłem taki (groszkowy, nie było wyboru) w końcu lat 70. Wozłem nim rodzinę aż do Granowca. Na słońcu odklejała się podsufitka, jakieś klejenie butaprenem, podpieranie kijkiem czy listwami rozporowymi. I to powszechne pucowanie karoserii, zakładanie błyszczących kołpaków, podwieszanie jakichś ozdób, sadzanie piesków z kiwającymi łbami, co gorsza machające dłonie-tapki. I ta ciągła obawa by nie ukradli lusterka kołpaków, koł i ustawili go na ceglach. Kasę robili wszyscy wymyslający i sprzedający zabezpieczenia na koła, na kierownicę. Probuje zrozumieć tych ludzi, przecież latami oszczędzali, latami czekali – nie chcieli tego tak szybko stracić. Ten okres „gierkowski” (co z tego, że zaciągnięto dług) dawał rodakom jakąś nadzieję, namiastkę lepszego, znośniejszego życia. Pralki, lodówki, telewizory, jakieś wyjazdy do demoludów na tzw. vouchery. Ile można żyć na kredyt. Przyszło opamiętanie, czas spłat, w konsekwencji kolejne podwyżki. I znowu fala niezadowolenia, buntów, strajków... i narodowego zrywu „Solidarności”. Powiało nadzieją, bo i Papież Polak, do czasu stanu wojennego – 13 grudnia 1981 roku. Śnieżna, słoneczna niedziela. W TV nie ma poranka dla dzieci. Z Martą (dwuipółletnią) poszedłem na Dolinki na sanki. Po powrocie dotarło do mnie, co się stało. Nie byłem represjonowany, nie uczestniczyłem czynnie w oporze, nie wpinałem w klapę opornika. Nie robię sobie z tego powodu wyrzutów.

Pracowałem już w BWA. Akurat wystawa grupy „Łódź Kaliska”. Na pewien czas wystawę zamknęto. Uciążliwości. Benzyna na talony w ograniczonej ilości, godzina policyjna, rejestracja wyjazdów poza Gorzów, m.in. do moich rodziców, kontrole, przemycana w bagażniku żywność, np. z uboju. Ale nie było już odwrotu. Władza musiała się poddać. Zniesiono stan wojenny. Pierwsze wolne wybory... (czerwiec 89 r.) i jak to u Polaków – tarcia, walka o programy, o władzę, o koryto. I to obrzydliwe rozliczanie (trwa do dziś), kto dłużej siedział, kto ważniejszy... – „para w gwizdek”. Basta! Nie będę znęcał się nad własnym narodem i krajem.

Wielkim grzechem byłoby dzisiaj narzekanie. Niepracujący nie muszą przymierać głodem. W placówkach przy parafiach, w siedzibach Brata Alberta, Krystyna dostaną darmowy posiłek, markowe ciuchy, zimą nocleg. Młodzi niemający pracy znajdują ją za granicą (w samej Anglii jest już ponad 1 mln Polaków). Świat zmienił się na moich oczach.

Te zmiany dotyczą też budownictwa, boję się użyć słowa architektura. Ta nobilituje. W moim kraju obiekty architektury należą do zjawisk niezbyt częstych, dodam, w kraju, gdzie tylu wybitnych architektów

polских pracuje za granicą, ba, zdobywa nagrody. O wyglądzie polskich miast i wsi decydują swoiste uwarunkowania: wybór tańszego, brzydszego, akceptowanego przez większość. Stąd tyle bzdur nawet, a może przede wszystkim, w budowach sakralnych (vide Lichen), lokalach gastronomicznych, hotelach (vide „Gołębiewski”), wreszcie w nowobogackich willach, domach – skrzyżowanie dworku z barakiem. I znów pytanie: Dlaczego? Może po okresie, kiedy niemal nakazem było wznoszenie budynków o płaskich dachach, z rakotwórczej szlaki, taniego suporeksu, nastał czas na dostępność wszelkich materiałów budowlanych, z całą galanterią i wyposażeniem firm zagranicznych. Zleceniodawca (bogaty) i niewyżyty architekt pozostawili Polskę przerażająco szmirowatą – te wille z gipsowymi tralkami, murkami, kolumnadą, wieżyczkami i tymi polbrukami, kolorowymi dachami. I jeszcze to otoczenie: kute bramy z tabliczkami „Ostry pies”... cmentarnymi latarniami i powszechnymi tujami. Ksiądz, adwokat, lekarz, lakiernik, cinkciarz na potęgę odgradzają się tujami. Ukutem nawet powiedzenie: „Tylko ... sadzą tuje”. Ja, miłośnik architektury, boleję nad tym ogromnie. I ten brak umiaru (jak przy jedzeniu), wille po 500-800 m², wielopiętrowe domy (vide Podhale). Kiedys dom wielopokoleniowy miał rację bytu. Dzisiaj, kiedy młodzi nie chcą mieszkać z dorosłymi, to stracona kubatura, wyrzucone pieniądze na ogrzewanie niezamieszkałych przestrzeni. Trochę się dziwię. Tak wielu rodaków jeździ na Zachód, obserwuje... i nie wyciąga wniosków.

Być może za Twoich czasów to się radykalnie zmieni. Szkoda, że ja nie doczekałem takiej przemiany.

W takim to kraju, wśród takich rodaków, mijają mi kończące się życie, umrę w brzydkim Gorzowie, ale mam nadzieję, że pochowają mnie w ładnym krajobrazowo Santoku. Bo budownictwo i tam powieliło te same błędy. Również na wsi, na wsiach!

Jerzy

DROGI W

Dzisiaj spróbuję pokrotnie opisać Ci miasto, w którym przyszło mi żyć ponad 50 lat i w którym zapewne przyjdzie mi umrzeć. Jak już wspomniałem w poprzednich listach, trafiłem do tego miasta w 1960 roku, po to, by zdać państwową maturę, a później ukończyć dwuletnie Studium Nauczycielskie. W owym wspomnianym roku miasto liczyło około 70 tys. mieszkańców. Sporo secesyjnej, niemieckiej zabudowy, trochę nijakich czteropiętrowych bloków w centrum, po spaleniu go przez radzieckie wojsko. Gotycka, przysadzista Katedra, fragment średniowiecznych murów miejskich, Arsenał (wyburzony w końcu lat 60.), Spichlerz za Wartą, neoromanski kościół Świętego Krzyża i neogotycki tzw. Biały – to wszystkie zabytki.

Położony jest Gorzów nad szeroką, w tym miejscu Wartą i ponoc na siedmiu wzgórzach, które czynią to miasto atrakcyjnym. Na zakrętach zgrzytały tramwaje, drogi pokrywał bruk i asfalt, wszędzie było blisko. Miasto wydało mi się przyjazne i urokliwe. Do czasu, kiedy tzw. nowoczesność socjalistyczna, wielkopłytkowa, nie wkroczyła do niego. Zaczęto wyburzać tu i tam stare, niemieckie budynki (wspomniany Arsenał, cegielnia, rzeźnia), prostować i przeinaczać ulice (tak zlikwidowano zjazd z ul. Walczaka na ul. Warszawską), odwrócono się od rzeki, na wzgórzach porośniętych sadami, postawiono w układzie grzebieniowym 11-kondygnacyjne bloczyska! Ludzie zaczęli zaglądać sobie w okna, nie przewidziano, że za lat kilka miasto zaleją samochody, nie pomyślano o parkingach, słowem – miasto straciło bezpowrotnie swój dawny urok.

Moja teoria o agresywności Polaków ma niewątpliwie związek z owym nagromadzeniem ludzi w betonowych klatkach, z okien których widac kolejne betonowe klatki, a w nich agresywnych ludzi. Po wyjściu z nich puszczają emocje, patrzą na bliźniego wilkiem, rozpychają się w tramwajach i bluzgają przekleństwami. Czy mam rację? Zapewne.

Kiedy jestem gdzieś we Włoszech, na południu Francji, w słonecznej Hiszpanii, gdzie nie uswiadczysz bloków z wielkiej płyty – ludzie są uśmiechnięci, pogodni, życzliwi. Doświadczałem tego w latach moich podróży.

We wrześniu 1989 roku wprowadziłem się do szeregowego domu, który notabene zaprojektowałem. I kiedy się wprowadziłem, na moich oczach, vis-a-vis w odległości mniej więcej boiska, wznoszono szary 11-piętrowy blok. Byłem przerażony. Piękny widok, który – sądziłem –

będę miał przed oknem. został mi odebrany. Posadziłem przesadnie dużo drzew. w jakiś sposób odgrodziły mnie od niego. ale na wiele godzin zabrały słońce. jego piękne zachody. I jeszcze coś. Zaprojektowałem na drugim poziomie taras. Nie wychodzę tam. Wstydzę się. Tak! Wyobrażam sobie człowieka, który z osmego czy dziesiątego piętra spogląda na mój dom w otoczeniu drzew i zapewne myśli, a może nawet klnie – ten się urządził, na pewno ukradł (słyszałem takie teksty).

A ja przez wiele lat po skończeniu pracy biegąłem na plac budowy, by zwozić bloki styropianu i windować je na piętro, rozbijając szalunki, kopac wykop, przybijając deski do krokwi itp. Taki był wymóg, taka była umowa, kiedy zawiązaliśmy spółdzielnię.

Uczyłem młodzież, że przy projektowaniu osiedla obowiązują stopniowanie, bryła, niski, wyższy, najwyższy, by nie zabierać sobie słońca i widoku. Gorzowscy projektanci i planiści nie wiedzieli, czy nie chcieli wiedzieć o tej zasadzie.

Ten mój ciekawy Gorzów z każdym rokiem popadał w samouniecestwienie. Do dziś nie widać urokliwej Kłodawki, parkowych wzgórz. Wciąż na moich oczach wznoszono potworki budowlane.

Oto „schody donikąd” po kilku latach zamknięte, bo zaczęły się sypać. Miały prowadzić do parku, po co takie wielkie, szerokie, czyżby ktoś chciał je upodobnić do hiszpańskich w Rzymie. Filharmonia, którą co niektórzy się chwalą. A ja się zżymam, że piękne Dolinki, przy których tyle lat mieszkąłem, utracono na zawsze, bo zajęła je owa budowla, zapewne funkcjonalna. Szkoda, że nie postawiono jej na wysokości Muzeum. Kiedy wyburzano nowe kino „Kopernik”, byłem przekonany, że ustępuje miejsca Filharmonii. Niestety, I ten pusty, dwupoziomowy (prawie na 300 stanowisk) podziemny parking pod boiskiem szkoły „17”. Panie w szpilkach, wyelegantowani panowie w deszcz i śnieżyce zmuszeni są przejść do gmachu około 150 m. Dlaczego o tym nie pomyślano, dlaczego nie połączono go z gmachem jakimś przejściem podziemnym? Filharmonia kosztowała prawie 100 mln zł, Filharmonia Szczecińska kosztowała 80 mln zł i uchodzi za wizytówkę nie tylko Szczecina, ale pretenduje do mistera architektury Europy. Idę za ciosem. Nadwarciański Bulwar, most, Dominanta na rondzie. Od strony zachodniej mur wystarczająco zasłonił widok na rzekę, od strony wschodniej obniżono go (może uwzględniono moją krytykę), jest zatem lepiej. Ale po co te chromy, te kręcone (niczym kupa) iglaki, woliera do męczenia ptaków, po co choinki, a do tego palmy w donicach, dlaczego ławy ustawione tyłem do rzeki. Dlaczego na moście – takim kosztem przebudowanym – podwójna balustrada, dziwaczne lampy. Przejazd na Zawarcie na oślawioną Dominantę (w „Gazecie Wyborczej” w rankingu na największy

bubel znalazła się wśród pierwszych pięciu) Komu i czemu ma to służyć, dlaczego do dziś nikt nie chce tam wydzierżawić powierzchni pod handel, gastronomię, kto będzie wchodził na górę, żeby obserwować jadące samochody. Dlaczego projektanci są na wolności? Obok piękny szachulcowy Spichlerz z XVIII wieku przygaś, jakby zginął przy owym szkaradztwie. Mam wymienić dalej, te niepotrzebne murki przy Katedrze do zjazdu dla niepełnosprawnych, przecież przy murze katedralnym od północnej strony jest naturalna pochylnia, dlaczego niedawno oddany budynek KRUS-u przy Teatralnej wychodzi na chodnik, dlaczego przez wiele lat w przejściu podziemnym przy Białym Kościele nie było zjazdu na wózki, a do Urzędu Wojewódzkiego wchodziło się po kilkunastu stopniach przez taras, zimą bardzo niebezpieczny (wreszcie zniknął, dlaczego dopiero teraz?). Nie zniknęły i zapewne nie zniknie 21 stopni na Poczcie Główną – swoisty dziwoląg. Nie znikną też schody do Galerii Młyńskiej. Dlaczego w wymienionych Dolinkach nie wybudowano wyścigu narciarskiego, taka różnorodność stoków. Nawet płaski Elbląg ma takowy. Kto zgodził się na postawienie pomnika Piłsudskiego, takiego Piłsudskiego. Przecież to obraża Wodza i Kasztanki(!). Wymienić dalej?

Kościół „skocznia” na ul. Czeresniowej, wystroj Białego Kościoła (poza obrazami J. Kodzia w prezbiterium, które na szczęście pojawiły się później). „Titanic” przy Katedrze, nagrobek bpa Pluty w tejże katedrze. Stop. Nie będę siebie ani Ciebie. Drogi W., dołował. Chcę, byś wiedział, że w takim mieście przyszło mi żyć i że po tylu latach nie umiem pokochać tego miasta.

Na prawie kilkaset napisanych wierszy tylko w dwóch piszę o Gorzowie. O Santoku napisałem ponad 50. Kochałem to miasto. Dzisiaj nie potrafię. A tak niewiele trzeba, by przywrócić mu normalność. Na przykład uzupełnić wyszczerbione żywopłoty przy torowiskach tramwajowych, na Piaskach przy tramwajowej pętli załatać połamany (niebezpieczny) chodnik, oczyścić okna tramwajów z reklam! Dlaczego nie ma tego w innych miastach. Dlaczego ulica na skarpie na tychże Piaskach, tak kiedyś jednorodna w elewacjach, ogrodzeniach, już po 20 latach zmieniła wygląd, straciła jednorodność? Podwyższone ogrodzenia, często kute, zamurwane loggie, pomalowane cegły, jakieś zadaszienia, polbruki w różnych kolorach, przodują w tym lekarze – ludzie majątni, ale bez gustu.

Może zaoszczędzę Ci dalszej wyliczanki (a mogłbym długo), może zapytasz, dlaczego się stąd nie wyprowadziłem? Ano dlatego, że tu podjąłem pracę, tu urodziły się moje dzieci, że 12 km za Gorzowem wyremontowałem poniemiecką wieżę, która te mankamenty mi wynagradza. Wrócę do niej przy okazji.

Gorzów dzisiaj Zafundował sobie już drugą markę promocyjną. Pierwsza „Gorzów przystan” ... byłaby do przyjęcia, gdyby chociaż cumowały tu statki, tak, wiem, że nie chodzi tylko o przystan rzeczny. Przystan pojawiła się kilka kilometrów dalej w dolnym biegu i wybudowano ją prywatnie. Zatem bardziej adekwatnie byłoby „Gorzów – przestani”. Ta aktualna to „Gorzów w sam raz”. On był taki wiele lat temu, kiedy wszyscy mieli zatrudnienie (w czterech dużych zakładach „Stilon”, „Silwana”, „Ursus”, „Zremb”), kiedy ul. Chrobrego była ulicą ruchliwą. Dziś jadąc tramwajem z centrum na moje Piaski, liczę pustostany i lokale do wynajęcia. Naliczyłem ich aż 22 (na długości 1,5 km). Samo za centrum to apteki i banki! Wiem, że w innych miastach obserwuje się podobne tendencje, nie wierzę jednak, by na taką skalę!

Gorzów nie ma prawdziwego rynku z ratuszem, jak np. Zielona Góra. Zastępuje go plac Katedralny w otoczeniu budynków z lat 60-70, udających starą modłę. Tak sobie myślę, dlaczego nikt nie wpadł na pomysł, by w miejscu, gdzie ciągnie się sklep z bezokienną elewacją, wybudować ratusz z reprezentacyjną salą. Dokładnie w tym miejscu jeszcze do XIX wieku takowy istniał.

Zamykanie ruchu kołowego na ul. Sikorskiego i Chrobrego nie jest propozycją dobrą, ulice wymrą jeszcze bardziej. I ostatni aktualny temat: Przenoszenie (ba, wybudowanie w zasadzie od nowa) Miejskiego Ośrodka Sztuki z ul. Pomorskiej do centrum, do wieżowca dawnej Przemysłówki. Kuriozalna decyzja! MOS, dawne BWA przy Pomorskiej – niezwykłej urody i w pełni funkcjonalny budynek wystarczy wyremontować. Wszak pracowałem, ba, tworzyłem je ponad ćwierć wieku. Wiem zatem, co mówię. Kolejne wyrzucone miliony. Jak kochać takie miasto?

By nie kończyć zbyt pesymistycznie – Gorzów jest do uratowania. Potrzeba tylko środków, nade wszystko tęgich głów, architektów-humanistów! To zawód właśnie dla ludzi wrażliwych, kochających piękno i życie.

Kiedy Drogi W. będę kroczył przez kolejne etapy życia, będę wracał do konkretnych miejsc mego miasta, szkoda, że bez entuzjazmu. Ale chcę, by przekaz był szczery.

Jerzy



W okolicach Santoka przy okazji



Przy grobie braci Vincenta i Theo van Gogh Francja 1977 r



Z Adamem Korzeniowskim na Nordcapp Norwegia 2006 r



Ze Zbyszkim Traczem
w Puszczy Drawskiej



Ze Zbyszkim Traczem
w Jakuszykach 2008 r.

Turcja 2007 r.



Gruzja 2007 r.

Armenia w głębi Ararat
2007 r.





Słowacja 2008 r



Troki. Litwa 2011 r



MZ-tą z Wiesławą 1970 r



Na Suzuki Savage 2014 r



W Rzymie 2010 r.



Ukraina, Drohobycz dom Brunona Schulza



Ukraina, k Oleska, pomnik Budionnego



Camino de Santiago de Compostela. 2012 r.



Dokument potwierdzający
ukonczenie Camino. 2012 r



Dokument dotarcia na
„koniec swiata” 2012 r



Stawno



Bieszczady



Rumunia - Maramuresz



Paradyz

DROGI W

Dzis o „dorostosci” Dlaczego o tym wyjaśniam na koncu listu

Dorostosc – pojęcie rozległe jak step akermanski (tak mi się to skojarzyło) W dzieciństwie tak don spieszyliśmy nasladując Mamę Tatę starszego brata. Jak najszybciej pozbyć się ponczoch przypinanych na zabki gumki potem pozbyć się szelek a opasać się paskiem jak Tata takim skorzanym z błyszczącą sprzączką. I nie nosić tornistra na plecach a ręczną teczkę (też ze skóry) albo szpanerski sportowy worek. Tak nam było spieszno.

A dzis – móc wrócić do tych beztroskich lat dziecięcych i dorostosc mieć przed sobą. Nie da się. I nadal w nią parliśmy. Pierwsze dzinsy może papieros pierwsza randka skręt piwo golenie zarostu i wyjście do miasta bez tłumaczenia gdzie i po co. Potem egzamin dojrzałości okupiony trudami stresem nieprzespaną nocą rozdrażnieniem a kiedy i ten mieliśmy za sobą ukończyć 18 lat otrzymać dowód żeby rodzice już niczego nie mogli nam zabronić nakazać. Ale i to mamy za sobą. Wtedy refleksja – za szybko ta dorostosc bo okazało się że rodzice nie mogą albo nie chcą finansować naszych wycieczek ubrań sprzętu do słuchania muzyki. I ta dorostosc nagle zaczęła nas uciskać stała się bastem nie ma już powrotu do beztroski brania kasy za nic spychania czegoś na kogoś. Ba i jeszcze deklaracja agnostyk czy katolik praktykujący czy tylko z metryki na co dzien czy od święta. Do tego jeszcze deklaracja społeczno-polityczna – ta czy inna partia oboz przynależność aktywna czy tylko bierna. Tu też dorostosc zaczyna nas uwierać zyc jak kiedys bez wypełniania ankiet legitymacji. Nie da się. Przyjaciele znajomi patrzą na ciebie chcą cię widzieć w swoim obozie albo wykluczają z grupy. Znam to z autopsji. Po dziewięciu latach kontaktów może nawet przyjaźni. Stasiu R odwrócił się na zawsze bo nie akceptowałem jego sympatii do – podaruję sobie – do jakiego obozu. Nie odbierał już telefonów unikał spotkań słowem przekreślił wszystko co nas wiązało. A potem skoro jesteśmy dorośli zakładamy rodzinę. Tu bywa różnie co trzecie małżeństwo rozchodzi się wcześniej czy później. Dorostosc wystawiona na próbę zwłaszcza gdy są dzieci. Weryfikujemy dorostosc odpowiedzialnosc. Wielu sobie z nią nie radzi. Stwierdzasz że kolejny raz nie chciałbys być dorosłym.

Wreszcie patrzysz w lustro kalendarz przepracowane lata z przeżyciami stwierdzasz że ta dorostosc się konczy. Coraz mniej sprawny powolniejszy zdziecinniały może nawet niesamodzielny

I po co się tak spieszyłeś do dorosłości.

To taka refleksja. dzisiaj, 13 lutego 29. rocznica śmierci mego Ojca, cztery lata po Mamie. Pamiętam lata, kiedy chciałem być taki jak On, wysoki, wesóły, chodzący do pracy, golący się i palący papierosy i umieć robić tyle co On: heblować, kitować okna, lutować garnki, oprawić królika, a nawet świniaka, szczepić drzewka owocowe, jeździć pociągami z przesiadkami, taszczyć ciężkie walizy i z taką łatwością wrzucać je na wagonową półkę i pokazywać bilet konduktorowi, a ten salutuje, bo Tata też kolejarz. Dzisiaj to przecież banalne, kiedyś duma. Wrócić do dzieciństwa się nie da. Szkoda.

Jerzy

A dziś - mój wrócić do tych beztroskich lat
dzieciństwa i dorostu - mój przed sobą
Mi da się - I model u mnie pasujący. Pierwsze
długość, moje papierosy, pierwsza randka, pierwszy
goleń wzrostu i myślenie do miasta bez ten-
nawierzenia gdzieś i po co. Potem egzamin
do matury, skupienie Andrzeja, straszenie,
mężczyznę moją, rozdzielanie - , a
kiedyś i ten wieloletni za sobą, ubieranie
18 lat, strychnię doświadczeń, żeby rodzice już
nie było mi wątpliwej wątroby, nabrać.
Ale: To mój za sobą. Wtedy refleksje
- za tymi to doświadczeniami, to doświadczeniami
i rodzice nie mogą albo nie chcą finan-
sować namyśle myślenia, ubrań, trykotu
do studiowania myślenia. I do doświadczeń
myśle zaczęte nosić uczucie, które nie balawka

DROGI W

Dzisiaj opowiem Ci o swoich podróżach. Miałem zwyczaj robić z nich notatki w trakcie lub po ich zakończeniu. Wiele z nich opublikowałem w lokalnej prasie („Ziemia Gorzowska”, „Gazeta Lubuska”, „Pegaz Lubuski”), wzbogacając relacje o fotografie.

Może czytając je, uśmiechniesz się. Coż to za podróże, ograniczone do jednego kontynentu i w przedziale czasowym zaledwie kilkusetletnim, gdy Ty może byłeś na wszystkich kontynentach, a nawet na innych planetach. Może tak być, wszak żyjesz w XXII wieku.

Moje podróże były na miarę ówczesnych i moich możliwości. Świat jego piękno, tajemnice, zawsze mnie interesował. Pominę w niniejszym opisie polskie miasta, urokliwe, pełne zabytków, czy też góry (Tatry, Pieniny, Bieszczady), ale i wybrzeża z pięknymi plażami.

Chcę Ci przybliżyć moje wyjazdy zagraniczne. Były to wyprawy głównie samochodowe lub rowerowe. Te drugie naturalnie były ciekawsze. Nie zaglądam do notatek, do albumowych kronik. Tak z pamięci i tylko te, które przyniosły mi wiele satysfakcji, niezapomnianych przeżyć i wspomnień.

Pierwsza daleka, samotna podróż – do Francji. Pociągiem w lipcu 77 roku. To czasy głębokiej komuny. Tylko nieliczni wybranci mogli podróżować po świecie. Zwykły śmiertelnik miał to utrudnione. Do owej Francji czterokrotnie odmawiano mi zgody, tj. wydania paszportu. Mieszkała jeszcze moja ciocia Anna (Stocki), siostra Mamy, w Bruay en Artois, w okolicach Lille, jak większość Polaków, którzy wyjechali kiedyś za chlebem. Mieszkały tam też dzieci Anny, zatem moi kuzyni. Obecność bliskiej rodziny i chęć poznania zabytków, o których wspominałem we wnioskach przy staraniach o wyjazd, nie były wystarczające. Paragraf 5 – względy społeczne – tak uzasadniano odmowną odpowiedź (sic!). Wreszcie w 77 roku – zgoda. Wiza tylko na dwa tygodnie (uzyskana w konsulacie w Krakowie), na miejscu przedłużyłem ją jeszcze o tydzień. Z Poznania pociągiem relacji Moskwa – Paryż. Wielce stresujące przeżycie. Miałem już 36 lat, kiedy po raz pierwszy przekroczyłem granicę bloku wschodniego w Berlinie, wówczas podzielonego na strefy. Berlin – Dworzec Zoo. Rozkraczeni wojskowi z psami zaglądającymi do bagazy, pod tawki, pod pociąg (specjalny kanał) i nad pociąg (specjalna rampa). Przeróżające! Po stronie zachodniej pełny luz, rozesmiana młodzież wsiada do przedziału – jadą sobie, bo taką mają ochotę, do

Paryża. Patrzyłem z niedowierzaniem. Pamiętam, jak przyklejony do okna chłonałem ten inny świat: kolorowe miasteczka, domy, inne samochody, maszyny rolnicze, świetne drogi, nawet zwykłe wiodące na pola – wyasfaltowane. To robiło wrażenie. Pamiętam wjazd do Kolonii. Most na Renie, dworzec i tuż przy nim wyrastające wieże (153 m) katedry. To był szok. Znałem katedrę teoretycznie, wszak uczyłem historii architektury, nie wiedziałem jednak, że jest tak blisko dworca, niemal dotykalna. A potem Belgia, Wogezy, Lille – upragniona Francja. Całe trzy tygodnie. Chłonałem z zaciekawieniem inny świat. Rodzina mieszkająca przy rynkowym placu (Marmottan), zatem urokliwe targi zarastające trawą, ale wciąż gorące hałdy kopalniane, puste (już wtedy) kościoły. Podziwiałem zapelnione towarami sklepy, i to, że po włożeniu do specjalnej maszyny (na domowym wyposażeniu) można uzyskać na tychmiast odbitkę artykułu. W Polsce kserokopiarkę poznałem kilkanaście lat później. A chciałem mieć artykuł o tym, że mój kuzyn Edmund Stocki, pełniący funkcję sekretarza Związku Gorników w departamencie Lille, otrzymał jedno z najwyższych odznaczeń – Legię Honorową, on, cudzoziemiec!

Syn kuzyna, George, zawiozł mnie przez Bouvais, Amiens (co za katedry!) do Paryża, zostawił na dwa dni w małym hoteliku i zaczęło się moje dotykanie, smakowanie miasta. A! 35 km przed (na moje życzenie) zatrzymaliśmy się w miasteczku Auvers-sur-Oise, gdzie mieszkał ostatnimi laty, gdzie się zastrzelił i gdzie został pochowany Vincent van Gogh, którym się fascynowałem. Dwa bliźniacze groby porosnięte bluszczem, ze skromnymi pionowymi tablicami. Na pierwszej napis: „Ici repose Vincent van Gogh 1853-1890”, na drugiej identycznej: „Ici repose Theo van Gogh 1857-1891”. Złożyłem kwiaty, a z grobu Vincenta wziąłem garść ziemi do Gorzowa. Bardzo mocno biło mi serce, zwłaszcza kiedy wyjrzałem za mur cmentarza, za którym rozciągały się zbożowe pola z drogą. Przed oczami jeden z ostatnich obrazów Vincenta „Pola pszenicy z krukami”. Tak chciało mi się zostać tam dłużej, ale czas nagle! Rzuciłem jeszcze wzrokiem na gotycki kościółek, metalową modernistyczną rzeźbę obrazującą Artystę ze sztalugami przed zakładem doktora Gacheta.

Wreszcie Paryż – miasto symbol, miasto artystów, hoteli, Notre Dame, Sacré Coeur, wieży Eiffla, Panteonu, Tumu Inwalidów, rozlicznych pałaców, wzgórz Montmartre i Montparnasse, mostów, bukinistów, wyspy św. Małgorzaty, pływających bateau-muche, wreszcie Luwru (podaruję sobie opis zbyt emocjonalnych wrażeń), Musée d'Orsay. A same uliczki, Paryżanie, Afrykanie, wreszcie cmentarz na Monte Morte i Père Lachaise z grobem Chopina, Vivanta, Denona (tego od Egiptu) czy Morrisona.

I jeszcze Łuk Triumfalny, Pola Elizejskie i nowo powstała dzielnica La Défence. Miałem ze sobą zenita, filmy Kodaka – wyszły znakomite fotografie. Po powrocie mogłem jeszcze raz cieszyć się Paryżem.

Zaledwie dwa miesiące przed moim wyjazdem otwarto słynne Centrum Pompidou. Oczywiście, że byłem w środku. Trafiałem nawet do galerii (handlowej) La Fayette, gdzie kupiłem żonie piękną sukienkę w kolorze głębokiego écru. Kiedy po powrocie do Bruay pokazałem rodzinie i powiedziałem, ile zapłaciłem, złapali się za głowę. Przecież kompletnie nie orientowałem się, że to jeden z najdroższych sklepów, a co tam, kiedy kocha się żonę.

Powrót do Arras (szybką koleją, tak szybko, że nie udawało mi się przeczytać nazw mijanych stacji) – wtedy jeszcze nie mknęły TGV. Stąd autobusem do Bruay.

Trzy tygodnie zleciały tak szybko. Powrót – ja naładowany wiedzą, wrażeniami na długo. Na granicy w Berlinie kontrola już mniej stresująca. Przecież wróciłem do komuny, a mogłem zostać. To było 50 lat temu, a obrazy tak żywe.

W późniejszych latach, kiedy już byłem szefem BWA, jeszcze parokrotnie (już na paszport służbowy wystawiany przez Pagart) wyjeżdżałem do krajów z wystawami (Hasiory czy tkanina artystyczna): Londyn (dwukrotnie), Yvaskyla, Skopje, Kijów, Budapeszt, Bratysława, Wiedeń, Boglarelle nad Balatonem (tu w czasie II wojny światowej był ośrodek dla polskich uchodźców). Nie przewidziałem, że tworzone przeze mnie kolekcje prac W. Hasiora i tkaniny artystycznej zaowocują moimi podróżami. Te wyjazdy w początkowej fazie były dość stresujące. Papierkowe formalności (w tym celne), pakowanie prac o dużych gabarytach, ekspedycja (statek, samolot), jeśli transportem samochodowym – niespodzianki na granicy, jak kiedyś w Łysej Polanie zastopowano nas, bo czegoś tam zabrakło w dokumentach (chyba wyceny prac w obcej walucie). Czekający z pracami kierowca i ja autobusem, samolotem pokonujący trasę tam i z powrotem do Warszawy, do Ministerstwa Komunikacji.

A później, na miejscu (jak w Yvaskyli), bariera językowa. Nigdy nie uczyłem się angielskiego, jeno rosyjskiego. Zatem wyjazd z wystawą tkaniny artystycznej do Kijowa był mniej stresujący. Jeśli, to z innych powodów. Wystawa w szacownym miejscu, bo w sali przy słynnej kijowskiej Ławrze. Razita olejna (zielona) farba na ogrodzeniu, częściowo i na elewacjach szacownych budynków. Zachwyciło wnętrze cerkwi i głębokie podziemia – korytarze, gdzie chowano mnichów. Pozwolono mi samotnie się po nich poruszać. Mój pobyt zbiegł się z prawosławnym Wielkim Tygodniem. Pamiętam „piatnicę” (Wielki Piątek). Cały łącznie z nocą, przesiadziałem w cerkwi, zasłuchany w chor, obserwując wiernych bijących

pokłony całujących ikony – niezwykle przeżycie. I jeszcze w Wielką Sobotę – podobnie jak u nas – święcenie potraw na zewnątrz wokół świątyni. Celebrans-pop zanurzał w wiadrze (tak) wielkie kropidło i z wyraźnym rozbawieniem kropił (czyt. polewał) wiernych i potrawę. Który to był rok? Około 1984.

Był i drugi wyjazd do Związku Radzieckiego, służbowy do Woroneża, z którym to miastem Gorzów nawiązał partnerską współpracę. Na osiedlu Słonecznym była nawet restauracja pod taką nazwą, z ciekawym wystrojem (meble, witraże) M. Rzeszewskiego.

Do Woroneża pojechalismy w takiej minidelegacji: R. Wilmiński – szef Biblioteki, A. Danski – szef Wojewódzkiego Domu Kultury i ja – przedstawiciel galerii Biura Wystaw Artystycznych. Była zima, siarczysty mróz. Podróż pociągami w kuszetkach, w których panował potworny gorąc i mimo prawie pełnego negligizmu trudno było wytrzymać. Żadnej klimatyzacji czy choćby możliwości uchylecia okna. Na miejscu pokazano nam ichne ośrodki kultury, m.in. zaproszono nas na spektakl do teatru. Zająrzałem do toalet – podaruję sobie i Tobie ich opis.

Pamiętam jeszcze pobyt w bani (sauna), moją udrękę na spotkaniu, gdzie gęsto i często wznoszono toasty za przyjaźń polsko-radziecką (później wtedy jeszcze była) – a ja abstynent – i bardzo brzydki zapach w sklepie masarniczym i zabłoconą posadzką w tymże i to, że miałem sporo rubli, za które naprawdę nie miałem co kupić – i wielki pomnik Wodza i zamrożone jezioro usłane czarnymi ludzikami z krótkimi wędkami, siedzącymi nad wywierconymi otworami w lodzie – i nocną podróż pociągami (też w ukropie) do Moskwy, za oknami których w nieskończoność brzoźowe laski. W Moskwie udało nam się zobaczyć plac Czerwony (choć pod Mauzoleum Lenina już nas nie wpuszczono?) Zjechalismy szalenie długimi schodami do metra. Pamiętam te sztywne, milczące postacie, ciepło ubrane, w uszankach, siedzące na ławkach pokrytych skajem (dlaczego nikt nic nie mówi?) i krótki spacer po Arbacie, również krótki pobyt na cmentarzu z grobem W. Wysokiego, gdzie wciąż kwiaty i znicze.

Po powrocie do Gorzowa nie tęskniłem za ponowną podróżą. Zresztą rozpadł się wkrótce Kraj Rad, zapomniano o przyjaźni i współpracy. Zniknął na osiedlu Słonecznym sławny „Woroneż” – dziś chyba udzielają tam pomocy bezdomnym. Na szczęście w większości wypadków wystawy były organizowane w placówkach polskich (Instytuty czy Centra Kultury Polskiej). To duża radość, że mogłem prezentować tworców nietuzinkowych, w Polsce wielkich, tam mało czy w ogóle nieznanych. W tych siemiężnych, komunistycznych czasach mogliśmy mieć wiele uzasadnionych kompleksów, na pewno nie na polu sztuki (film, plakat, tkanina, rzeźba, muzyka).

Te wyjazdy wzbogacały mnie wielce. Poznawanie miast, zabytków, muzeów, ludzi. W Londynie (chyba w 1984 r.) na wystawę przyszedł żyjący jeszcze wtedy Marek Zuławski – z tych Zuławskich (polecam wspaniałą książkę „Studium do autoportretu”). Zaowocowało to tym, że kilka lat później, w 1989 roku, w gorzowskim BWA pokazałem ogrom jego prac ze zbiorów Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem. Marek Zuławski zmarł w 1985 roku. W Wiedniu, w Instytucie Kultury Polskiej, poznałem Ewę Lipską (kierowała nim) znakomitą poetkę, przyjaciółkę późniejszej noblistki – Wisławy Szymborskiej.

A teraz o moich podróżach prywatnych, zdecydowanie ciekawszych, jeśli stresujących, to z innych powodów, np. partnerów podróży. To takie ważne grać na podobnych możliwościach i wrażliwościach. Nauczony smutnymi doświadczeniami, podejmowałem wielokrotnie samotne wyprawy, choć te w moim wieku były może ryzykowne.

I znowu, jak w opisie poprzednich wyjazdów, odniosę się tylko do niektórych, inne jedynie zasygnalizuję. Również z pamięci, ale w miarę chronologicznie. Pierwsze dalsze podróże z kolegami – Stasiem i Tomkiem, Volkswagenem tego ostatniego, przez Niemcy, Francję, Hiszpanię, do Portugalii. Koniec Europy – Cabo da Roca nad Atlantykiem. Nocowanie na kempingach, niekiedy tylko w spiworach pod chmurką. Choć był to już październik (2000 r.), tam, na południowym zachodzie, jeszcze ciepło. Co za miejsce, jakie zabytki! – znowu konfrontowałem swoją wiedzę z realnymi obiektami. Boże, nie do wiary, jaki świat jest piękny, i że tak wiele wspaniałości stworzył człowiek – geniusz i kanalia. To stały refleksje, które mi towarzyszą, podziw dla jego możliwości, wiedzy i przerażenie, że tenże człowiek potrafił również zbudować przemysłowe narzędzia tortur. Kiedy jechałem przez Niemcy, łączyłem po Hamburgu, Berlinie, obsesyjna myśl – w tych domach, po tych ulicach, na tych placach gestykulowali i wykrzykiwali swoje racje pod znakiem swastyki konkretni ludzie. Jak można było ulec zbiorowej nazistowskiej histerii, wzniesionej przez psychopatycznego przywódcę? Jednak można! Na szczęście pozytywne wrażenia tłumiły te przykre.

Później (bo w 2001 r.) był wyjazd już moim samochodem terenowym „Aro” na plener plastyczny do Kutnej Hory (CS). Co za miasto! Akurat kręcono w nim czteroodcinkowy film – „Napoleon” (z Depardieu), a sceny koronacji cesarza nagrywano w gotyckim kościele NMP. I jeszcze kościół św. Barbary, zamek, uliczki, aż dziw, że tak mało o tym mieście się mówiło, mówi.

A jeszcze później już innym terenowym samochodem („Daihatsu Feroza”) podróż przez Litwę, Łotwę, Estonię, Finlandię, Norwegię, aż na Nordkapp z Adamem Korzeniowskim. Czerwiec 2006 roku, najdłuższe

dni tam na północy bez nocy za to z reniferami fiordami tunelami ogromnymi świerkowymi lasami i wielokilometrowymi pustkowiami. Odwiedziliśmy nawet Rovaniemi – miasto św. Mikołaja. To były mistyczne przeżycia. I wreszcie czubek kontynentu, ogrom stalowej wody przed oczyma i powrót w ulewie i chłód tuneli. Szkoda, że tylko 10 dni.

To wyjazdy czterokołowe. Zdecydowanie ciekawsze były te na jednośladowych, napędzanych mięśniami nog. Rower – to jest to! Pocziwy wheeler na kołach 28 cali. Kiedy w styczniu 2006 roku przeszedłem na emeryturę, przepracowawszy ponad 40 lat i osiągnąwszy 65 rok życia, postanowiłem maksymalnie, póki dopisuje zdrowie, wykorzystać ją (emeryturę). Dawno marzyłem o Rosji, Bajkale, które dwukrotnie odwiedził syn Grzegorz (jako uczeń, student). Zrobił jeszcze wiele innych zaskakujących mnie wypraw. Ale nastał już czas obowiązków, wiz niekorzystnego przelicznika złoty – rubel, „rewolucji” ustrojowej w wielkim Kraju Rad. Po przeanalizowaniu za i przeciw wybrałem Wschód, ale ten bliższy Ukrainę, Turcję, Gruzję, a skoro Gruzję, to i sąsiednią małą Armenię. Lato 2007 roku. Towarzyszem mi był Marek Skrobanski, w moim wieku, ale z racji pracy w szkole specjalnej już 12 lat wcześniej cieszył się emeryturą i podróżami po Europie. Wyjazd w początkach czerwca pociągami do Zamoscia, a potem już tylko rowerem przez Hrebennie na Ukrainie. Daleka perspektywa, zieleni wzgórza, senne sioła i miasta-fortece, które przecież były nasze. Przypomniały mi się opisy Sienkiewicza, Żółkiew, Kamieniec Podolski, Zbaraz, wcześniej Poczajów, aż na Krym, w Sewastopolu (wtedy jeszcze ukraińskim) statkiem przez Morze Czarne do Istambułu. Gwar, hałas i te wspaniałości z Hagią Sofią na czele. Znowu przypominały mi się cyfry, wymiary – tak często mówiłem o tej budowli młodości na lekcjach historii architektury, Anthemios z Tralles i Izydor z Miletu (532-537). A potem całą noc autobusem aż pod granicę z Gruzją. Powrót na rower i przez Kutaisi do Tbilisi. Gorzysty, zielony pejzaż. Nocowanie w głębokiej trawie w spiworach pod rozgwieżdżonym niebem, a gwiazdy tak blisko i tak wyraźnie świecące (wysokość, czyste powietrze). Kolejne mistyczne przeżycia!

Jakis nocleg u gościnnych Gruzinów, te rozliczne toasty i mój dyskomfort, bo przecież abstynent. Wiem się jak piskorz tłumaczyć żem „bolien” (chory), że Marek był im kompanem. I ten moment, kiedy wzniesiono toast za Stalina (sic!) – to starzy młodzi puszczały porozumiewawcze oko. Kilkadziesiąt kilometrów przed Tbilisi wystarczyło zboczyć 6 km do Gori, miasta Stalina. Uczyniliśmy to. Miasteczko zadbane, z pałaczkami (strzeżonymi przez mundurowych) po oprawcy! Dwuizbowy domek, gdzie mieszkał, cerkiew, gdzie był ochrzczony pancerny wagon, którym przemieszczał się po kraju, zachowany pomnik, jakieś muzeum.

które sobie podarowaliśmy. Wreszcie stolica z rwącą rzeką, socrealistycznymi gmachami, jakimiś nielicznymi cerkwiemi, sklep „Moda Polska” (sic!) wypoczywający Gruzini, upał. Z Gruzji do bliskiej Armenii, teren gorzysty, sympatyczni Armenci, wreszcie stolica Erewan z wielkim owalnym placem z czerwonego marmuru, widoczny Ararat i ta ulga, że dotarliśmy do kresu. Teraz już powrót. Nie ma przejścia do Turcji(!?) – komunikują nam Armenci. Wrogość od czasów wielkiej rzezi w 1916 roku. Musielismy wrócić (pociągami) znów do Gruzji (Batumi) i stamtąd rowerami – przez upalną gorzystą Turcję, przez Konya, Kapadocję, Ankarę – z powrotem do Istambułu. A teraz już do Bułgarii. Pamiętam, że wyjazd ze stolicy do miejsca, gdzie mogliśmy rozłóżć spiwory, zajął nam dziewięć godzin (tak). Tak wielki jest Istambuł. W Bułgarii drogi zdecydowanie gorsze. Stąd do Rumunii, wzdłuż morza do Konstancy. Pociągami do Suczawy, w pobliże ukraińskiej granicy. Był lipiec. Przez Ukrainę nieco inną trasą: Sambor, Stryj, Stanisławów, Mosiska, na przejściu w Medyce. Tu nawet rowerowe sakwy poddano kontroli. Wreszcie Polska. Przemysł z pięknym dworcem, skąd już pociągami do Gorzowa. Na liczniku prawie 5 tys. km, kilka łatanych dętek, dwa razy zerwany łańcuch, 8 kg mniej na wadze – za to jak dużo pozytywnych wrażeń (i setki zdjęć).

Z Markiem zaliczyłem i drugą daleką wyprawę, aż do Tallina i z powrotem, o czym za chwilę. W międzyczasie ze Stasiem R. przejechaliśmy wzdłuż Odry trasę nieprzyzwoicie czystą i wygodną do Gubina (po niemieckiej stronie). W rok później na tydzień wybraliśmy się na oślawiony Bornholm. Z Kołobrzegu wodolotem do Nexø, a później przez cztery dni wokół wyspy (to tylko niecałe 200 km), świetnie przystosowanymi ścieżkami rowerowymi z całą infrastrukturą. Tylko dwa razy rozbiliśmy namiot (na dziko). Czerwcową ciepłą pogodą pozwalała spać na plaży tylko w spiworach. Słońce wschodziło i zachodziło nad morzem zaledwie pod kątem ok. 50°C. Wszak to druga połowa czerwca, gdzie dni takie długie. Nic więc dziwnego, że prawie wszystkie moje wyprawy miały miejsce w czerwcu-lipcu. To również w te miesiące, aż trzykrotnie odwiedziłem rowerem moje Sławno.

Na wyprawę północno-wschodnią wybraliśmy się z Markiem S. w 2011 roku. Tym razem pociągami do Białegostoku, a stamtąd rowerem przez Augustów, na Litwę, Kłajpedę i Mierzęję Kuronską, wzdłuż morza do Rygi (Łotwa), aż do Tallina (Estonia) i powrót przez Tartu – miasto z czasów S. Batorego (do dziś na ratuszu powiewa biało-czerwona flaga) – do Wilna. Tu dwudniowy popas, jako że byliśmy gośćmi naszej gorzowskiej Siostry Michaeli Rak (zgromadzenie NSJ), która tam, w Wilnie, zakładała pierwsze na Litwie hospicjum. Mimo rzucanych jej kłód pod nogi, doprowadziła dzieło do końca. Otwarto je dwa lata później.

Mój pobyt zaowocował tym, że po powrocie do kraju „wystrugałem” 14 stacji Drogi Męki Pańskiej kilka Piet i sporo aniołów. Stacje zawisły na murze oddzielającym teren Domu Sióstr i Hospicjum od dawnego komunistycznego więzienia. Do dziś nad murem stoi złowieszczy symbol więzienia – strażnica. Montaż stacji nastąpił w marcu 2013 roku. Do Wilna pojechałem wtedy samochodem z Romanem Habdasem, który do małej książeczki – modlitewnika ilustrującego tę drogę – napisał krótkie poetyckie i głębokie rozważania.

Wtedy to udało nam się dzięki Siostrze M. spenetrować miasto, jego polskie ślady, z cmentarzem na Rossie, cmentarzem w Ponarach, więzieniem na Łukiszkach. Piękne miasto z Ostrobramską i Mickiewiczem.

Z Markiem wyprawilem się jeszcze w 2015 roku na Rugię, ale to tylko 500 km.

Z samotnych rowerowych wypraw godnym odnotowania jest zapewne mój dwukrotny wyjazd na Słowację przez Bieszczady. Dojechałem wtedy do Koszyc. To był rok 2013. W rok później, również przez Słowację, do północnej Rumunii przez Maramuresz i Bukowinę, gdzie tyle polskich śladów. Moje wrażenia z owych podróży przelałem po powrocie na szpalty „Pegaza”. To wspaniały kraj o wielkiej kulturze, tradycji, jego ślady sięgają czasów rzymskich. Nawet Ceausescu nie potrafił go zniszczyć. Chciałbym tam wrócić, czy zdążę? Powrót przez Słowację, Ukrainę, nasze miasta: Czerniowce, Stryj, Sambor i Drohobycz, gdzie mieszkał, tworzył i gdzie zginął genialny Bruno Schulz w wieku 50 lat. Odnalazłem dom, gdzie mieszkał, ale muzeum już nie.

I to wszystko? Tyle dni w podróży, tyle kilometrów. Ogrom przeżyc. Nie sposób, bym Ci to wszystko opisał. Chciałem tylko zasygnalizować, gdzie mnie nosiło, co interesowało. I jeszcze uwaga. Większość tych rowerowych podróży odbyłem, kiedy przeszedłem na emeryturę, tj. w wieku 65 lat (mój jedyny maraton przebiegłem w wieku 58 lat w cztery godziny). Jak widzisz, aktywnym można być w każdym wieku.

„Lepiej zużywać się niż rdzewieć” – to moja ulubiona dewiza życiowa. Póki mam siły, chęci i podstawowy sprzęt do przemieszczania, będę kontynuował moje podróże. Tyle jeszcze do obejrzenia. Może teraz motocyklem, którym dziennie można pokonać zdecydowanie więcej kilometrów, ale uwagę trzeba bardziej skupić na pokonywanej drodze.

W Suczawie (Rumunia), gdzie zatrzymałem się w małym hostelu, poznałem głuchoniemego (sic!) Japonczyka, który na motocyklu (enduro) pokonał pół Afryki i większość państw europejskich. Samotnie, nie mówiąc i nie słysząc!

To moje planowanie wypraw jest już bardzo ostrożne, zachowawcze z oczywistych względów. A tyle jeszcze chciałoby się zobaczyć.

poznać. Nie zdązę. Wybiórczo oglądam TV. Coraz bardziej stronię od polityki i tego, co się wokół (najczęściej brzydkiego) dzieje. Za to z pasją oglądam Discovery, Planete+ odświeżające w rewelacyjnych programach tajemnice świata: kraje, ludzi, zwierzęta, z góry i pod wodą. Wciąż się dziwuję, że istnieją takie stwory, takie kolory i to w głębinach. Niepojęte. Większość tego nie dostrzega.

Co zostanie z tego piękna. Czy dotrwa do Twego wieku? Może będziesz je oglądał tylko na dokumentalnych filmach. Człowiek – geniusz i kanalia (pamiętasz?) – jest w stanie to zniszczyć, jak obecnie Talibowie wielowiekowy Palmir, który notabene „odgrzebali” Polacy z prof. K. Michałowskim. Nie ma sposobu, by ich zatrzymać. Coraz trudniej uwierzyć mi w człowieka, coraz trudniej.

O ważnej podróży do Santiago de Compostela w oddzielnym liście

Jerzy

PS

Z tych moich podróży pominąłem (świadomie) tę z września 2010 roku, a przecież dla mnie ogromnie ważną – do Rzymu i Aten (podwalin europejskiej cywilizacji). Pierwszy mój dotyk tych miast z powalającymi zabytkami i muzealnymi zbiorami, o których tylekroć opowiadałem młodzieży. Ogromu wrażeń nie da się zawrzeć w kilku zdaniach, a poza tym był to bodajże jedyny wyjazd autobusem rejsowym. Może o tym przy innej okazji.

DROGI W

Obiecałem Ci w poprzednim liście opowiedzieć o podróży do Santiago de Compostela. Oddzielnie. Bo to coś więcej niż wyprawa. Sądzę, że i w Twoich czasach ten słynny szlak pielgrzymi nadal będzie pełnił taką rolę. Mam też nadzieję, że nie opanują go islamisci! O hiszpańskim camino (drodze) napisano wiele książek. Przeczytałem ich sporo. Najgłośniejsza to zapewne „Pielgrzym” Paula Coelho. Dość interesująca jest też pozycja A. Kofackowskiego-Bochenka „Nie idź tam człowieku”. Pisaną przez Polaka, dziennikarza od czwarcwiecza mieszkającego w Niemczech. Wyszedł na ową trasę jako turysta, trochę sceptyk, może nawet agnostyk, a wrócił jako człowiek w pełni wierzący, doznawszy namacalnych dowodów istnienia boskiego dobra. Ale mnie żadna z tych książek nie motywowała. Od dawna chciałem „zaliczyć” ten szlak. Nastąpiło to dopiero w czerwcu 2012 roku, niestety nie pieszo, nie z Polski, nawet nie z Saint-Jean-Pied-de-Port (Francja), ale rowerem od Bilbao do Santiago, a stąd do Finisterry jeszcze 100 km. W sumie 900 km.

Towarzyszili mi: Mieczysław Wilczewski (poznałem go u Traczów w Łasku) i Jan Gądecki, jego szwagier. Pierwszy – emerytowany pułkownik Wojska Polskiego, młodszy ode mnie o 10 lat. Drugi jest bratem arcybiskupa poznańskiego Stanisława Gądeckiego, młodszy ode mnie o prawie 20 lat. Piszę o ich latach, bo ja, jako najstarszy, szalenie męczyłem się ich tempem jazdy i dziennymi etapami – ok. 50 km. Gdybym nie traktował podróży w kategorii pielgrzymki, prawdopodobnie pomknąłbym swoim tempem, a trasę pokonał w tydzień. Już w drodze do Finisterry minął nas rowerzysta (32-letni Marcin Konopinski), który trasę pokonał na rowerze z samej Zielonej Góry. A w ośrodku – Albergue im. Jana Pawła II w Monte do Gozo (Wzgórze Radości), ostatniej przed Santiago, poznaliśmy Marka – 28-letniego pielgrzyma z Brzeska za Krakowem. Ten w ciągu trzech miesięcy przeszedł trasę na własnych nogach (sic!) To są prawdziwi pielgrzymi! I mnie marzy się pokonanie pieszo trasy od granicy francuskiej przez Pireneje. Chyba już nie zdążę tego zrealizować. Mam 76 lat, chorą zębą, obowiązki. Bogu dziękuję, że choć rowerowo szlak ten pokonałem.

Do Berlina samochodem. Z Berlina (z przesiadką) do Bilbao samolotem. To dość uciążliwe i kosztowne. Specjalne opakowanie na rower, coś tam odkręcone, opuszczone siodełko, spuszczone powietrze z koł. A i tak po przylocie do Bilbao brak sakw rowerowych Mieczysława. Na miejsce przyleciały po trzech godzinach, następnym samolotem.

A potem już tylko rowerem, też nerwowo, bo nie na wszystkie drogi jednokładby były wpuszczane. Jazda zaś szlakami pieszymi mało komfortowa. Kapryśna pogoda północnej Hiszpanii (słynna meseta) dla nas w miarę łaskawa. Tylko dwukrotnie zastał nas deszcz, raz potężny przeciwny wiatr, taki, że mimo jazdy z góry musieliśmy naciskać na pedały. Miasta, miasteczka, albergi, hostele, ciekawi ludzie (mało Polaków) i ten nieprzerwany potok pielgrzymów z kosturem (częściej z kijkami do nordic walking) i muszlą naznaczoną czerwonym krzyżem.

Burgos, Fromista, Sahagun, Leon, Astorga, Melanesca, Cebreiro, Ponte Marie, Arcua...

Akurat były mistrzostwa świata w piłce nożnej, w albergach miesiliśmy podgląd.

Pielgrzymi – młodzi i starzy, zdrowi i chorzy, z Europy i antypodów, katolicy i innowiercy. A wszyscy idą zycieliwi, uśmiechnięci, pojedynczo i grupami. Na trasie (przez bodajże cztery etapy) mijaliśmy się z nietypowym pielgrzymem. To Francuz z małym plecakiem trasę pokonywał, biegnąc. Około 300 km przed Santiago minęliśmy starszego człowieka, wyraźnie utykającego, który swoim powolnym tempem, ciągnąc wózek, zmierzał do grobu św. Jakuba. Budujące.

A samo Santiago, Olbrzymia, dwuwieżowa świątynia, jakas szara, jakby zmurzała, widoczna już z daleka, szczególnie dobrze ze wzgórza Monte do Gozo. A w niej, pod nią, jak pod wieżą Babel – gwar, foty, tańce. Jest powód. Niekiedy kilka tygodni, może miesięcy, w podróży, setki kilometrów, obolałe nogi, i wreszcie koniec. Udało się! Ulga, radość. Na mszach, szczególnie w południe, pełna świątynia. I jeszcze przejście nad grobem Świętego, rozbujana (nie zawsze) kadzielnica (botafumeiro), fruująca aż pod sklepienie. I kolejka po list potwierdzający dotarcie do grobu – kompostelkę.

By uznać trasę za całkowitą, wielu pokonuje jeszcze 100 km do Finisterry (koniec ziemi), nad ocean, gdzie z kolei za symboliczną opłatą otrzymujesz finisterkę. To tam jest zwyczaj palenia na skalistym nabrzeżu swego wyszukanego odzienia, znoszonych butów. Atmosfera pikniku, braterstwa. My oczywiście pokonaliśmy tę trasę rowerem. Koniec podróży. Z powrotem już autobusem do naszej albergi, Monte do Gozo. A ponieważ do odlotu samolotu z Bilbao zostało jeszcze kilka dni, pociągami pojechalismy do uroczej La Coruny. To był dzień zakończenia roku szkolnego. Stąd ten odświętny nastrój, korowody na placu, a późnym wieczorem jeszcze olbrzymie ogniska, co obserwowaliśmy już z okien autobusu.

Powrót (też autobusem) do Bilbao. Zwiedzanie słynnego Muzeum im. Guggenheima ze stałą ekspozycją monumentalnych rzeźb Saary, kościołów (w większości zamkniętych), tłumy turystów.

Sensację wzbudzał kwiatowy pies, wysoki na ok. 10 m. ustawiony przed Muzeum, a zraszany komputerowo

Do Berlina samolotem, znow z przesiadką w Dusseldorfie. Z Marcinem utrzymuję kontakt. Po Santiago wstąpił do zakonu benedyktynów w Lubaniu. Był tam pół roku. Przeprowadził się do Poznania, ożenił z Agnieszką i mieszka z nią do dziś. Wciąż go podziwiam za ową samotną rowerową podróż na koniec Europy. Niestety, nie utrzymuję kontaktów z kompanami mojej pielgrzymki z wielu powodów. Mieczysław wydał nawet książkę o tej podróży

Dziwne, teraz kiedy piszę te słowa, pielgrzymi nadal zmierzają do Santiago. Zimą nieliczni, latem, szczególnie w lipcu, kiedy przypada święto św. Jakuba, tłumy. Po Ziemi Świętej i Rzymie najbardziej uczęszczany szlak pielgrzymi. W Polsce zaczyna się on m.in. w Jakubowie na Ziemi Lubuskiej. Pokonaj go. Warto!

Jerzy

DRUGI W

Obiecałem Ci w poprzednim liście opowiedzieć
o podróży do Santiago de Compostela
Oddzielnie. Bo to coś więcej niż wyprawa
Sudry, że i w Twoich uszach ten słynny ścieżki
pielgrzymi nadal będzie pełnić swoją rolę
Mam też nadzieję, że nie opamiętasz go istnienia
O hiszpańskim camino (drodzo) napisano
wiele książek. Przemyślatem ich sporo
Najbliższą do naszego "Pielgrzym" Paulo
Coelho (Coelho) Leão interesująca jest ta po-
wiedź A Książki ońskie - Bochenka pt.
"Nie idź tam ciemno" Pisaną przez Polaka,
dziennikarza od czasu niedużego
w Niemczech. Wypada na ową trasę jako
kumpka, Sudry, sceptyk, może nawet agnostyk,
a może jako człowiek o pełnym sercu,
doznający namacalnego olśnienia i stania

Bystruck Alla domi makhshuq
stana Yusuf Sarattay u Gumar
pori Lillayn

Front

Side

Plan

Bystruck
Yusuf Sarattay

Stamp: KAZAKHSTAN, 1977, 1577, 100, 100, 100, 100

116



Dom w Karwiczach, gdzie mieszkałem w latach 1948-1949



Dom w Sławnie, gdzie mieszkałem w latach 1949-1954



Dom M. i Zb. Traczów w Łasku k. Dobiegniewa



Dom E. i A. Korzeniowskich w Gościemiu



Dom A i J Sciesinskih w Nowogardku k Kołobrzegu



Mój Santok, wieża z 1935 r

DROGI W

Dzis o artystach z którymi los mnie zetknął. Byłoby dużym zaniedbaniem, może nawet nietaktem, gdybym choćby z tej racji, że ponad ćwierć wieku prowadziłem galerię wystawienniczą, nie wymienił tych najważniejszych dla mnie i dla sztuki polskiej.

Taka refleksja. Kiedy zaczynałem pracę w BWA w latach 80. nie miałem żadnych problemów w wyborze nazwisk. Problem mógł być jedynie taki, czy artysta przyjmie zaproszenie. Argumentem zawsze był przyzwoity metraż sali ekspozycyjnej i spełnienie w miarę możliwości wszystkich życzeń autora. To galeria była zainteresowana prezentacją, galeria pełniła rolę służebną. Ta opinia krążyła po Polsce. Może dlatego udało mi się namówić na prezentację prac w Gorzowie wszystkich wielkich. To czas znaczących indywidualności artystów, którzy zaznaczyli swój ślad nie tylko w Polsce, ale Europie i świecie. Wielu z nich żyje jeszcze, tworzy, choć nie otrzymują już propozycji wystawienniczych. Dzisiejsze galerie nastawiły się na prezentacje efemeryczne, ulotne, instalacje, teatr plastyczny, performance, zazwyczaj młodych, gniewnych, o których jestem przekonany, że za lat kilka nikt już nie będzie pamiętał.

Moje typy, moi Wielcy, którzy byli w Gorzowie to: M. Abakanowicz, B. Chromy, St. Kulisiewicz, M. Czapla, St. Kulon, St. Witkacy, W. Hasior, J. Łukomski, K. Frymark-Błaszczak, A. Karny, R. Kwiecień, Zb. Maciejewski, G. Zemła, M. Wroblewska, W. Gąsienica-Szostak, G. Grabowska, A. Maciejewski, A. Rząsa, W. Sadley, J. Owidzka, U. Plewka-Szmidt, L. Mądzik, M. Zulfawski, Zb. Frąckiewicz, I. M. Palka, J. Podlesny, J. Fober, K. i St. Kortykowski, Z. Beksinski, A. i B. Wahl, J. Szajna, J. Kędziora, M. Mikołajek, E. Repczyński, J. Berdyszak, J. Stępak, St. Popławski, J. Duda-Gracz, E. Wasyluk, M. i K. Rochecy, K. Bereźnicki, K. Kalkowski, E. Olszewska-Borys, R. i St. Pięskowski, E. Dwurnik, E. Tuz, W. Jackiewicz, E. Poradowska-Werszler.

Nazwiska wymienione z pamięci, wybór emocjonalny, łatwo zauważyć, że wielu z wymienionych to rzeźbiarze. Budowanie ekspozycji rzeźbiarskich to spore wyzwanie. Kocham rzeźbę, stąd preferencje. Z wieloma wymienionymi artystami nawiązałem dość osobiste, niemal przyjacielskie układy, byłem z nimi na ty. Innych zachowałem w życiowej pamięci. W tym miejscu sensownym wydaje mi się wspomnieć, że przełamywanie lodów w moim wypadku nie było tak oczywiste. A to z tej racji, że byłem, jestem abstynentem. Niewiarygodne, by przez

ponad ćwierć wieku, obracając się wśród tworców raczej trunkowych zachować ją. Oczywiście były wyjątki, np. kiedy Hasior zaproponował mi „tykanie” nie wypadało odmówić Mistrzowi. Wychyliłem chyba całą pięćdziesiątkę, było to w Koszalinie. Często witem się jak piskorz, tłumaczyłem, że mam chorobę, biorę lekarstwa, w ostateczności kłamałem, że mam zasztytę, czyniąc gest chęci pokazania owego miejsca. W wielu oczach jakiś podziw, forma uznania w kiwnięciu głową, szacunek. Ci, co mnie znali, miejscowe środowisko, akceptowali moje „dziwactwo”.

I w tym miejscu chcę zakomunikować, że choć niepijący, nie kablowałem, nie donosiłem, nie byłem konfidentem (miałem takie propozycje w latach 60.). Przyznam jednak, że takie sytuacje wyalienowania wśród pijącej braci były wielokrotnie kłopotliwe. Skąd ta moja abstynencja? Zawzięłem się jeszcze w czasach, gdy mój kochany Tata nadużywał tego rozweselacza (sic!). Ojciec upijał się na wesoło, robił świetne kawały, był przez to lubiany. A drugi powód? Ćwiczyłem wolę, lubiłem być odmiennym. Gdy większość kolekcjonowała znaczki, etykiety, zapalczane kapsle, banknoty – ja, ku zdumieniu wielu, zbierałem podkowki, zabki. W latach 60.-70. było ich mnóstwo. Uzbierałem tego cały karton. Z czasem wykorzystałem je do swoich asamblaży.

Wracam do artystów. Przez 26 lat prowadzenia galerii, a przez kilka lat dwóch, bo i Mała Galeria była moim dziełem, zorganizowałem ponad 500 wystaw indywidualnych, zbiorowych, retrospektywnych, konkursowych.

Obok nazwisk, tysiące prac, setki wydanych katalogów, składanek, afiszy, plakatów, wreszcie opaste, teczki z dokumentacją. Kiedys, poza fotografią czy filmem, nie było możliwości przenoszenia danych na elektroniczne nośniki. I rzecz charakterystyczna – do czasów transformacji ustrojowej większość wydawnictw to druki czarno-białe. Kolorowy druk był bardzo drogi i trudno dostępny. Pamiętam, że pierwsze kolorowe wkładki pojawiły się w BWA po 1984 roku, w katalogu Biennale Sztuki Sakralnej. Dzięki znajomościom zlecenie zrealizowała drukarnia oo. pallotyńskich w Poznaniu.

To dobry moment, by przypomnieć, że każdy z druków, nawet mały kartonik z zaproszeniem, musiał być ostemplowany przez cenzurę (tak!). Stempel cenzora otwierał możliwość wydrukowania cokolwiek. A potem jeszcze spis prac i miejsce w sali ekspozycyjnej. Mielismy przygotowane i powielone rzuty sali. Nanosiłem na nie plansze, kubiki, a na nie z kolei prace, wszystkie bez wyjątku. Dopiero po sprawdzeniu stanu przez cenzora wystawa mogła być otwarta. Nieprawdopodobne!

Czas na prezentację niektórych artystów. Czynię to wybiórczo i alfabetycznie.

Magdalena Abakanowicz

Absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, sportsmenka, rzeźbiarka, pedagog. Kojarzona głównie z tkaniną artystyczną, nie tą płaską formowaną na krosnach, a reliefową, przestrzenną. To ona dokonała w niej przełomu, stała się ikoną. Ona rozstawiła polską tkaninę na świat. Sukcesy w Londynie, Japonii, Stanach Zjednoczonych, Francji. „Abakany i Alteracje” taki tytuł nosiła wystawa jej prac w Gorzowie w 1987 roku. Poza Warszawą, Gorzów to bodajże jedyne miasto pełnej prezentacji jej twórczości.

Pokaz prac zaproponowałem p. profesor (już była profesorem) li-stownie, zachwalając galerię – jej przestrzeń, merytoryczną znajomość kondycji polskiej tkaniny i oczywiście podziw dla jej twórczości. I to, że Gorzów od 1978 roku dzięki M. Rzeszewskiemu był organizatorem corocznych plenerów tkackich na bazie włókna syntetycznego.

Wiem, że przed wyrażeniem zgody na gorzowską ekspozycję artystka zaciągnęła opinii J. Owidzkiej – znanej warszawskiej artystki, uczestniczki naszych wspomnianych plenerów.

Akurat prace M. Abakanowicz wróciły ze Stanów, przeczytałem o tym w „Polityce”. Duże skrzynie z pracami złożono pod Zamkiem Królewskim w tzw. Stajniach Kubickiego. Stąd specjalnym transportem trafiły do Gorzowa. Część prac odbieraliśmy z pracowni – mieszkania artystki. Pamiętam rozległy parterowy dom, cały okratowany(!). Oto cena twórczej wielkości. Była zima. Na montaż przyjechała artystka z asystentką i swoim szwagrem, którego pomysły były przedmiotem usmiechów mojej wypróbowanej ekipy. Wielkie szpule (to jedna z prac) nie mieściły się przez drzwi. Z tyłu, na zapleczu, rozkulismy otwór drzwiowy, to jedyny sposób, by pracę zamontować na sali. Ekspozycja obejmowała wszystkie pomieszczenia BWA i Muzeum „Stilonu”. Na wernisazu tłumy. Pamiętam, że otwierając wystawę, ograniczyłem się tylko do zdania: „Wielka Abakanowicz w małym Gorzowie”. Jakas zagraniczna ekipa kręciła film o Artystce.

Bronisław Chromy

Absolwent ASP w Krakowie z roku 1956. Mieszka w Woli Justowskiej, gdzie zbudował dom i pracownię. Jest rozpoznawalny fizycznie – bo to mężczyzna dużej postury, a jego rzeźby – to charakterystyczne łączenie metalu z drewnem czy kamieniem. Przez lata na trawnikach przed krakowskimi hotelami stały takie kamienno-drewniane owieczki. Ma szereg realizacji monumentalnych, pomnikowych, choćby pomnik

Papieża Polaka w Tarnowie czy rzeźba ognistego smoka pod Wawelem, wreszcie wiele medali, plaket, miniaturowych form. W Gorzowie wystawił w 1982 roku.

Marian Czapla

Pochodził z Kielecczyny. Urodzony w 1946 roku. Mieszkał w Gacach k. Szydłowa. Wykładał na warszawskiej ASP, którą wcześniej sam kończył, broniąc dyplomu u prof. Gierowskiego w 1972 roku. W latach 1974-1979 współorganizator i członek Grupy „Sympleks”. Twórczość rozpoznawalna, bardzo ekspresyjna. Tematem – człowiek uwikłany w dramaty życia. Ważny nurt twórczości to ikonografia biblijna. Twórca niezwykle płodny. W domu-pracowni ogromne przestrzenie wypełnione pracami. Dusza człowiek. Miał poważne problemy z alkoholem, co odbiło się na jego więziach rodzinnych, ale i twórczości, która już nie była tak rozbuchana jak ongiś. Jego dorobek prezentowałem w BWA w 1996 roku i na kilku przeglądach Biennale Sztuki Sakralnej. Zmarł w 2016 roku.

Jerzy Duda Gracz

Moj rocznik 41. Zmarł w lubuskim Łagowie kilka lat temu. Niepostrzeżenie malarz, rozpoznawalny. W sposób obrazowy pokazywał polskie realia, uwikłanych w nie ludzi – robotników, artystów, włodarzy. Pozostawił znakomity cykl portretów. Dla Częstochowy, na Jasną Górę, namalował dużych rozmiarów Drogę Krzyżową, niezwykle uwspółcześioną.

Zacznę, podobnie jak Hasiora, kolekcjonować jego prace dla gorzowskiej galerii. Skonczyło się na pięciu. W porównaniu z Hasiorem był niezwykle drogi. Wystawa jego prac w roku 1980 (początek działalności BWA) w Galerii „Oficyna” w Muzeum, z którą się zegałem, i druga już w BWA w 1995 roku.

Podobnie jak Hasior, ze względu na niezwykle popularność wśród braci artystów, nie miał wielkich notowań, ze publicysta, realista, i w ogóle słaby malarz (sic!). Dzisiaj jego prace osiągają zawrotne ceny.

Jerzy Fober

Rocznik 1959. Mieszka w Cieszynie. Absolwent Szkoły Kenara w Zakopanem, a później warszawskiej ASP, uczeń Stanisława Kulona. Przez pewien czas razem z Szarkiem i Podlesnym tworzyli aktywną grupę twórczą. Dzisiaj pracują oddzielnie. Szarek znany jest z happeningów. Podlesny z prac ceramicznych. Fober został wierny drewnu. Mistrzowskie

prace realizm z głębokim przesłaniem. Pamiętam jego Arlekiny, Magda-
lenę Sebastiana „Złożenie do grobu”, „Stoł ofiarny” – pokazane w Gorzowie
na wystawie indywidualnej w 1999 roku i na Sacrum.

Dzisiaj jest profesorem związanym z Cieszyinem i Katowicami.

Władysław Hasiór

Mój Mistrz! Rocznik 1928, urodzony w Nowym Sączu. Absolwent
Liceum Drzewnego im. Kenara w Zakopanem, w której był wieloletnim
wykładowcą po ASP w Warszawie. Artysta wszechstronny, o niebotycz-
nej wyobraźni. Autor m.in. wielu niekonwencjonalnych pomników (Kuz-
nice, Szczecin, Sznoka pod Czorsztynem, Koszalin, Montevideo, Luisiana
pod Kopenhagą, Södertälje w Szwecji, Nowy Sącz). Dwukrotnie wysta-
wił swe prace w Gorzowie: jesienią 1982 i w 1991 roku. Od pierwszej
wystawy zaczęło się budowanie kolekcji, która dzisiaj liczy 33 pozycje i jest
po Zakopanem największym zbiorem. W latach 70. najbardziej rozpo-
znawalny, najbardziej popularny artysta – liczne programy telewizyjne,
powstające filmy, artykuły prasowe, opracowania monograficzne, pere-
grynacja prac po Polsce i Europie, łącznie ze Związkiem Radzieckim.

Stała galeria jego prac powstaje w Gorzowie w 1985 roku, niemal
w tym samym czasie – galeria w dawnej leżakowni sanatorium przy
Jagiellońskiej w Zakopanem. Długo o nią walczył.

Z kolekcją gorzowską zjeżdżałem po Polskę i wiele miast euro-
pejskich. Szalenie żałuję, że nie udało się zrealizować pomnika-rzeźby
„Drzewo gorejące” na skarpie przed BWA. Choroba Hasióra, rozpad „Stilo-
nu” wreszcie śmierć Artysty (lipiec 1999 roku) zniweczyły zamiary. Artysta,
któremu tak wiele zawdzięczam.

Stanisław Kulon

Urodzony w Tarnopolu na Ukrainie. W siódmym roku życia wywiezio-
ny na Ural, Sybir. O ten pobyt na wygnaniu opisał w książce ilustrowanej
własnymi rysunkami – „Z ziemi polskiej do Polski”. Od czasów studiów
na ASP w Warszawie (studiował z Hasiorem, Słoniną, Zemłą) związany
z tą uczelnią, jest jej profesorem.

Mieszka w podwarszawskich Łomiankach, gdzie wybudował dom
z pracownią. Jego głównym tworzywem jest drewno, które wyczuwa
jak rzadko kto. W lutym 1996 roku w gorzowskim BWA – duża retrospek-
tywna wystawa jego prac. Poza tym brał udział w przeglądach gorzow-
skiego Sacrum. Niezwykły artysta. Dzisiaj walczy z rakiem.

Mariusz Mikołajek

Rocznik 1958. Od lat związany z Wrocławiem. Absolwent tamtejszej uczelni. Człowiek legenda. O sobie mówi „że nawrócony” – doświadczył wszystkich najgorszych etapów życia: od alkoholu po narkotyki. Przechodził jakieś cudowne nawrócenie – często to powtarza: było to w roku 85. przyjmuje sakramenty, wraca do żony. Pierwsza jego wystawa w kościele św. Krzyża we Wrocławiu poświęcona „Solidarności” ponoć zamknięta przez władze. Maluje wielkie kompozycje bardzo ekspresyjne, często o tematyce religijnej. Na pewien czas wycofuje się z aktywnego uczestnictwa w życiu artystycznym. Odzywa w 1991 roku, po obejrzeniu ekspozycji w Oświęcimiu powstaje przejmujący cykl – obrazy obozowe. Trzykrotnie bierze udział w przeglądach gorzowskiego Sacrum, a w 1998 roku ma dużą wystawę indywidualną w BWA. W 2010 otrzymuje Nagrodę Roku za najlepszą wrocławską wystawę.

Ewa Olszewska-Borys

Dyplom w 1966 roku na ASP w Warszawie. Mieszka w Radości pod Warszawą wraz z synem artystą, do niedawna z mężem Henrykiem, z którym tworzyła niezwyklej urody medale, medaliony, monety. Niepowtarzalne, rozpoznawalne przez specyficzny relief i subtelność formy. Na naszych gorzowskich przeglądach Sacrum wręczaliśmy medale autorom nagrodzonych prac. Wszystkie były autorstwa Ewy. Dla mnie pozostanie najbardziej utalentowaną rzeźbiarką małych form. Znana w Europie, świecie. Przez wiele lat członek FIDEM. Współpracuje z Mennicą Polską.

Jolanta Owidzka

Rocznik 1927. Obok Abakanowicz wielka dama tkaniny polskiej. Wystawia w Stanach Zjednoczonych, Japonii, Europie. Przez wiele lat współpracowała z LOT-em, dla którego stworzyła szereg wielkoformatowych tkanin.

Pamiętam moją służbową podróż do Londynu w połowie lat 80. Leciałem samolotem, w którym rozpoznałem tkaniny Jolanty, oddzielające część pasażerską od kabiny pilotów. Tym samolotem latał Papież Polak.

W 1983 roku w gorzowskim BWA ogromna wystawa. Zaaranżowałem ją z takimi polnymi kamieniami. Spodobało się to Autorce, bo potem jeszcze dwukrotnie aranżowałem jej wystawy w innych galeriach. Wychowała wielu zdolnych młodych tkaczy. Córka Joanna poszła w ślady Mamy.

Mirosława i Kazimierz Rocheccy

Związani od lat z Toruniem, gdzie prowadzą oddzielne pracownie malarstwa i witrażu na Wydziale Sztuki UMK. W 2002 roku indywidualna duża wystawa ich prac w gorzowskim BWA, a jesienią 2015 roku kolejna w Galerii „Pod Kopułą” w WiMBP w Gorzowie. Poza tym udział w naszych przeglądach Sacrum, gdzie nagradzano ich prace. Organizatorzy ogólnopolskich plenerów malarskich w Lesku, ostatnio – ekspozycji pt. „Projekt 966” poświęconej rocznicy chrztu Polski, aktualnie prezentowanej w Poznaniu, potem w Pile. Biorę w niej udział.

Mają w dorobku sporo realizacji sakralnych. Drogi Krzyżowe. Wielce utalentowani i aktywni twórcy, znakomici pedagodzy. Mieszkają od niedawna w Łubiance pod Toruniem.

Wojciech Sadley

Urodzony w 1932 roku. Architekt, malarz, muzyk, nade wszystko twórca niekonwencjonalnych tkanin strukturalnych i malowanych (Veraikony).

Brał udział w gorzowskich edycjach Sacrum, a indywidualna wystawa w roku 1999. Często wystawia swe prace razem z uczniami. Do dziś wykłada na poznańskiej uczelni. Niezwykłe ciepła postać.

Romana Szymańska-Plęskowska

Związana z Krakowem. Od lat 80. również z Gorzowem, gdzie razem z Mieczysławem Rż. wymyslili plenery tkackie bazujące na włóknie stilonowskim. Stąd w nazwie Plenery – Art Stilon. Organizowane każdego roku we wrześniu w stilonowskim (ongis) ośrodku w Lubniewicach. Najwybitniejsze polskie nazwiska, z czasem poszerzone o zagraniczne stawy (Dania, Niemcy, Meksyk). Niezwykłe dwa tygodnie, niezwykle prezentacje, działania plenerowe i jeszcze wystawy w BWA – efekt poprzedniego pleneru.

BWA i gorzowskie Muzeum zgromadziło sporo prac artystów z tychże plenerów. Pokazywałem je wielokrotnie na wystawach polskich i zagranicznych.

Romana wraz z mężem mieszkała w przestronnym krakowskim mieszkaniu przy ul. Sarego. Fala dzikiej repywatyzacji „wypędziła” ich z tego lokum. Zamieszkali w pracowni męża Stanisława, rzeźbiarza, przy ul. Emaus za Błoniami krakowskimi. Po śmierci męża i to miejsce Romana musiała opuścić. Ostatnie lata spędziła w DPS-ie na Helclów. Do końca aktywna, twórcza. Zmarła kilka lat temu. Plenerowe dzieło przetrwało w zbiorach i dobrych wspomnieniach artystów tkaczy.

Elżbieta Wasyłyk

Absolwentka PWSP w Poznaniu. Dzisiaj utytułowany profesor od malarstwa, wykłada na uczelni w Szczecinie. Na studiach poznała doktora ekonomii – Etiopczyk. Wychodzi za mąż. Rodzą im się dzieci, dwie córki i syn. Wychowuje je już samotnie, trochę z pomocą mamy. Mieszka w Trzciance, gdzie obok domu wybudowała pracownię. Dzieci zdobywają wykształcenie (muzyczne, plastyczne) i już są samodzielne. Ela oddaje się pracy twórczej i dydaktycznej. Tworzy niezwykle „metafizyczne” płótna, freski. Pisze głęboką, religijną poezję. Jest rozpoznawalna w swej twórczości. Ma wiele realizacji w kaplicach, kościołach. Mocno przeżyła, kiedy zamalowano dużą ścianę kaplicy seminaryjnej w Koszalinie (nie po myśli fundatorów) z jej freskami. Udział w wystawach – Sacrum i duża indywidualna w gorzowskim BWA w 1994 roku.

Józef Wilkoń

Rocznik 1930. Mieszka i pracuje w Zalesiu Dolnym k. Warszawy. Studiował na ASP w Krakowie. Malarz, rzeźbiarz, grafik, scenograf. Znany szczególnie z niezwyklej ilustracji książkowych do opowiadań, bajek „Pana Tadeusza”. Ma ich ponad 200(!) i przetłumaczono je na ok. 20 języków. Wielokrotnie nagradzany. W Japonii (nie pomnę miejscowości) ma stałą, chętnie odwiedzaną i podziwianą galerię swych prac.

Osobście najbardziej zafascynowały mnie rzeźby Wilkonia – swoiste przestrzenne ilustracje. Na wystawie w sali BWA w 2003 roku pokazał ich mnóstwo: lwy, ptaki, psy, koty, ryby, Don Kichoty – duże i małe, kolorowe, z drewna i metalu, niezwykle pomysłowe. Pamiętam tłumy dzieci, młodzieży na wystawie.

W początkach XXI wieku brał udział, za namową Agaty Buchalik-Drzyzgi, w plenerze paradyjskim. Ustawił wtedy w sadzie ogromnego drewnianego anioła. Wciąż aktywny, doceniany.

Marzanna Wróblewska

Profesor zw. ASP w Warszawie i Radomiu, gdzie wykłada malarstwo i malarstwo ścienne. Piękna, mądra kobieta. Rocznik 52, dyplom z malarstwa w roku 1976, potem jeszcze ze scenografii. Poznałem ją na jednym z pierwszych biennale – Sacrum. Potem brała udział niemal we wszystkich, ba, szalenie mi pomagała przy organizacji tychże przeglądów.

Dwukrotnie prezentowała swe prace w Gorzowie. W 1987 roku indywidualnie w Małej Galerii, a dwa lata później wspólnie z W. Borowskim

już na dużej sali BWA. Ma sporo realizacji wnętrz sakralnych, szereg niezwykłych płócien, najbardziej znany cykl „Zwiastowanie”. Jeden z tych obrazów wisi u mnie centralnie w dużym pokoju i wciąż cieszy oczy.

Ongis mieszkała na zaadoptowanym strychu przedwojennego budynku przy ul. Daniłowiczowskiej, ciekawie urządzonym. Straciła go, jak wielu w czasach dzikiej reprivatyzacji. Teraz mieszka na Pradze, ale zamierza przeprowadzić się na własną działkę pod Warszawą, gdzie buduje parterowy dom-pracownię i zakłada ogród z ogromnym wysiłkiem i zaparciem... i jeszcze opiekuje się chorą mamą. Niezwykła postać.

Gustaw Kazimierz Zemła

Rocznik 1931. Absolwent ASP w Warszawie, studiuję z Hasiorem Kulonem, Okołowem, Abakanowicz (co za rocznik!). Później wieloletni profesor tej uczelni. Autor znakomitych monumentalnych realizacji pomnikowych: szczecińskie „Orły”, pomnik Powstańców Śląskich w Katowicach, Papież na Wawelu, zespół rzeźb sakralnych w Mistrzejowicach k. Krakowa, „Ukrzyżowany” przy grobie ks. J. Popiełuszki, Papież w Płocku, Wł. Broniewski w tymże Płocku, wreszcie cykl kapliczek polskich, Drogi Krzyżowe. Duża wystawa w gorzowskim BWA w 1995 roku. Niezwykle płodny, rozpoznawalny, wielki rzeźbiarz(!). Życzenia składam mu w marcu na Kazimierza.

Z tego ogromu nazwisk, które przewinięły się przez gorzowską galerię, wybrałem tylko 18 artystów, tak trochę emocjonalnie, ale gdybym chciał kontynuować opis kolejnych twórców, nie starczyłoby miejsca i na książkę. Wiem, wiem, jest jeszcze sporo nazwisk. Może przy okazji kolejnych listów do Ciebie.

Jest przecież prof. K. Frymark-Błaszczak od tkanin wielokrotnie nagradzanych, prof. W. Jackiewicz z tymi syntetycznymi, niemal abstrakcyjnymi aktami, jest niepowtarzalny K. Bereźnicki i jego zięć K. Kalkowski z niezwykłymi ceramicznymi rzezbami. I jeszcze J. Łukomski – przejmująco ekspresyjny i oryginalny, i wspaniały J. Szajna z okrutnymi postaciami, inspirowanymi wojną, obozem, który przeżył, i Zb. Maciejewski z ogromnymi kolorowymi płótnami, i jeszcze Akusz, Lubaszka, Oraczewski, Zufański, A. Maciejewski, B. Pierzgałska – wszyscy oni godni są choć kilku zdań.

A gorzowscy artyści zupełnie tu pominięci? Zapewne napiszę o nich przy okazji. Przecież nie uchodzi nie wspomnieć A. Gordona, B. Kowalskiego, W. Strebejkę, którzy już dawno odeszli, wspaniałej, uniwersalnej

Romany Kaszczyc która zmarła w minionym roku z malarzy W Plusta J Kodzia W Nowakowskiego J Piechockiego Zb Olchowika Sz Wleklaka I Markowicz-Winieckiej G Nawrockiego A Szymanek i innych A z rzeźbiarzy Z Bilinskiej W Nawrockiego A Moskaluka czy wszechstronnego M Bajsarowicza i jeszcze fotografików W Kucki J Szalbierza (których już nie ma) Wł Nowogorskiej i Sł Sajkowskiego Wielu ich

Kiedy przyjechałem do Gorzowa był tylko Wł Korcz M Rzeszewski Lisowie potem M Puklicz i dopiero w latach 70 zaczęli zjeżdżać młodzi zwabieni pracowniami. Znowu mój Mieczysław Rz ma tu swoje wielkie zasługi. Aż dziw że On taki zasłużony wieloletni radny nie ma swej ulicy placu. Krótka jest pamięć

Piszę o tworcach, których danym mi było poznać nawet zaprzyjaźnić się. Jak jednak nie wspomnieć o bliskich mi współpracownikach (prawie ze wszystkimi byłem na ty) z którymi przygotowywałem wszystkie ekspozycje. Cały zespół to około 10 osób (łącznie z dozorcami i sprzątającymi). Najbliżej współpracowałem z ekipą techniczną, wielce profesjonalną o dużym zacięciu plastycznym. Do dziś pracuje tam W Witkowski A Obremski odszedł na zawsze kilka lat temu. Fr Krupienczyk – kierowca (tyle kilometrów razem!) na emeryturze wielce profesjonalna E Hornik (dzis szefowa od kultury UM) G Graliński, który wrócił do Strzelec Krajeńskich Sekretarki J Laszecka a później Z Łazarska wreszcie księgowe K Narkiewicz-Jodko a później Cz Nawrocka (notabene mama G Nawrockiego – aktualnego szefa galerii). Sporo osób zahaczyło o BWA na krótko, sporo przewinięto się praktykantów. No i pracownicy niepełnoetatowi jak np fotograficy dokumentujący wystawy J Szalbierz Zb Wojcik czy M Łazarski. Wszystkim im dziękuję za profesjonalizm i zaangażowanie

Jerzy

DROGI W

Nie jestem szczególnym domatorem. Nosi mnie tu i tam, tyle chciałbym dotknąć, zobaczyć, przeżyć. Stąd te moje podróże. Są sytuacje, miejsca, w których dane mi było przebywać przez dłuższy okres, za co wdzięczny jestem losowi. To pobyty na prośbę przyjaciół, pod ich nieobecność, słowem, miałem pilnować domu, dobytku, inwentarza, jeśli takowy był. Gdybym chciał zsumować te dni spędzone w cudzych, a przecież bliskich mi domach, wyszłoby na pewno ponad rok. Większość mego stozowania to czas po 2000 roku, kiedy już dzieci się usamodzielnili, wybudowałem dom i wyremontowałem wieżę.

Chętnie wybywałem w miejsca, o których za chwilę, bo w zasadzie zawsze na odludziu, blisko lasów, rzek, morza, w nietypowych domach, bo i jego mieszkańcy odmienni, nietypowi – artyści, przyrodnicy, pasjonaci wielu dziedzin.

Wymienię te najważniejsze dla mnie miejsca, osoby.

Nowogard – 12 km za Kołobrzegiem, 7 km jadąc na skróty do morza, w Dzwirzynie. Rozległy, poniemiecki dom, trochę przypominający polski dworek, o symetrycznym układzie – to azyl Adeli i Jurka Sciesińskich. Oboje już nie żyją. Przez kilkadziesiąt lat prowadzili kołobrzeską galerię sztuki, mieszczącą się w neogotyckim ratuszu. Od roku przy wejściu wisi tablica informująca, że to galeria im. A. i J. Sciesińskich. Nie trudno się domysleć, że nasza wieloletnia znajomość zaczęła się od współpracy wystawienniczej. Tak się składa, że to nasze BWA miało zdecydowanie więcej do zaoferowania (Hasiory, tkanina artystyczna, Biennale Sztuki Sakralnej, przenoszenie – za zgodą autora – co ciekawszych wystaw autorskich).

Sciesińscy mieli rodzinę, gdzieś w okolicach Bydgoszczy. Tam wielokrotnie korzystali z opieki medycznej, najpierw Jurek, potem Adela. Chcieli być razem, wspierać się. Tam najczęściej wyjeżdżali. Córka Anna, uzdolniona plastyczka, od lat mieszka w Szwecji, młodsza Miłka, wprawdzie tylko 12 km od rodziców, ale ma już swój dom, swoje obowiązki.

Dzwonili do mnie, czy mogę, czy chcę, kiedy, na jak długo mogłbym zamieszkać w Nowogardku, pod ich nieobecność. Najczęściej mogłem. Wsiadałem w samochód, pakowałem doń rower, to tylko 200 km, piękna trasa (pokonywałem ją też rowerem) przez Barlinek, Choszczno, Recz, Insko, Łobez, Świdwin, przez krainę jezior, lasów, popegeerowskich pól, ciche wsie, wyzyny nadmorskiego krajobrazu. A na miejscu

czekały na mnie dwa uroczne owczarki, dobrze ułożone, które regularnie karmiłem według wskazań gospodarzy, wielokrotnie z nimi biegając, by nie popadły w słodkie lenistwo. Ogromny ogród, sad, szklarnia, lasek – wszystko ogrodzone przyzwoitym płotem, hektar posesji.

Należę do pracoholików, żadne prace nie są mi obce. Więc pielenie, grabienie, podlewanie, koszenie trawy spalinową kosiarką, potem jakieś gotowanie. Z kuchni drzwi do spiżarni, a tam zatrząsienie weków, zamrożonych zapasów warzyw, owoców, soków. Cudowny czas. I jeszcze do dyspozycji pracownia, warsztat. Strugam więc Piety, anioły (oczywiście zostają w Nowogardku). Jeżeli jest słoneczna pogoda, wsiadam na rower i przez łąki, most na kanale, już po półgodzinie jestem na opustoszałych (takie wybieram) plażach w Dziwnowie czy Rogowie. Sam z myślami, niekiedy lekturą, niezapomniane chwile.

Do Nowogardka zdarzało mi się wyjeżdżać kilkakrotnie. Do zatłoczonego Kołobrzegu, choć tak blisko, zaglądałem niechętnie.

Niestety, nie ma Adeli i Jurka. Dom został sprzedany obcym. Było minęło, dobre wspomnienia pozostaną.

Drugie miejsce pobytu, choć emocjonalnie winno być pierwszym, to Łasko k. Dobiegniewa, 60 km od Gorzowa. Dom Marty i Zbyszka Traczów. Najpierw poznałem Zbyszka. W 1977 roku zacząłem pracować w gorzowskim Muzeum za dyr. Z. Linkowskiego. Tu rozległy park z okazami nietypowych drzew, roślin, ścieżki, murki, trawniki. Aż się prosiło, by ową ciekawą przestrzeń wypełnić formami rzeźbiarskimi. Znałem twórczość Tracza (architekta i rzeźbiarza), choć samego autora jeszcze nie. Pojechałem do Łaska, wybrałem rzeźby, wynegocjowałem cenę (dla autora satysfakcjonującą). W parku stanęły dwie grupy drewnianych, dalekich od realizmu rzeźb „Baby” i „Sowy” w sumie około 10. Mimo konserwacji, rzeźby nie przetrwały, pokonał je spuszczel. Tak zaczęła się nasza przyjaźń. Tracz akurat wznosił swój dom ze świerkowych bali. Zarobione pieniądze spadły mu jak z nieba. Po latach u Zbyszka zamieszkała Marta R. z Krakowa – podróżniczka, przyrodniczka, etnografka. Dobrali się niczym w korcu maku. Stworzyli dom wypełniony porożami, piorami, ptaków, książkami, rzeźbami Tracza, sprzętem do pływania, jeżdżenia na nartach, rysunkami, grafikami, etnograficznymi przedmiotami.

Do Drawy od ich domu tylko 12 km przez urokliwą drawieńską puszcę (dzis rezerwat).

Tracz niechętnie siadał do deski kreslarskiej, zdecydowanie wolił rzeźbić, jeździć na rowerze czy pływać canoe, towarzyszy mu często żona.

Marta zakładała przy domu (w oddzielnie wzniesionej pracowni) koło plastyczno-przyrodnicze „Poznawacze”. Funkcjonowało znakomicie aż do 2015 roku, kiedy to prowadząca przeszła na emeryturę. Uwrażliwiła na piękno i przyrodę setki dzieci z Łaska i pobliskich wsi.

Podobnie jak Sciesinscy Tracze również wyjeżdżali na swoje wyprawy do Krakowa – do domu mamy Marty nad morze. W domu były koty, pies, ale z racji że żyły w przydomowych legowiskach, nie wymagały stałego doгляdu. Za to sam dom, trochę na uboczu i cały z drewna, takiego oczekiwałem. I znów moja sprawdzona rola stróża. Uwielbiałem te samotne pobyty. Tu też ogród, który należało pielęgnować, podlewać, wykaszac, trzebić samosiejki. No i te stosy drewna, które po przeschnięciu układało się pod zadaszeniem bądź w przyzmy, a co większe kłocę rozrąbywało.

Las za oknem prawie z każdej strony – do biegania, jeżdżenia rowerem, zbierania grzybów, a zimą (bo i o tej porze tam bywałem) do biegania na biegówkach po lesnych drożkach czy zamrożniętych jeziorach, których wokół aż kilka. Cisza, biała przestrzeń obrębiona lasami i ślady nart na dziewiczym śniegu – bardzo to lubiłem.

To Tracze nauczyli mnie rozpoznawać ptaki, gniazda, przez nie uwite, zachowanie leśnej zwierzyny, nazwy ziół i kwiatów, bardzo dużo im zawdzięczam, i jeszcze nietypowy pozyskany materiał do moich asamblaży. Sporo zostało w Łasku.

Moim wystuzonym aro, a później terenowym daihatsu zjeżdżaliśmy całe Pomorze, Kaszuby, Litwę, byliśmy nawet na biegówkach w Jakuszykach, gdzie Tracz regularnie (tak) zdobywał na „Biegu Piastów” medale w swoim przedziale wiekowym. To urodzony sportowiec, ongiś kolarz, taternik. Dziś ma 83 lata, a i tak prawie codziennie, niezależnie od pogody, dosiada jednosładu czy chodzi z kijkami po swoim ukochanym lesie. Niezwykli ludzie, moi przyjaciele, na których zawsze mogę liczyć i vice versa.

Poswięciłem im zaledwie półtora strony, a i książki byłoby za mało, by opisać ten niezwykły dom, tych niezwykłych ludzi. Napisałem o nich w swoich zbiorach kilka ciepłych wierszy.

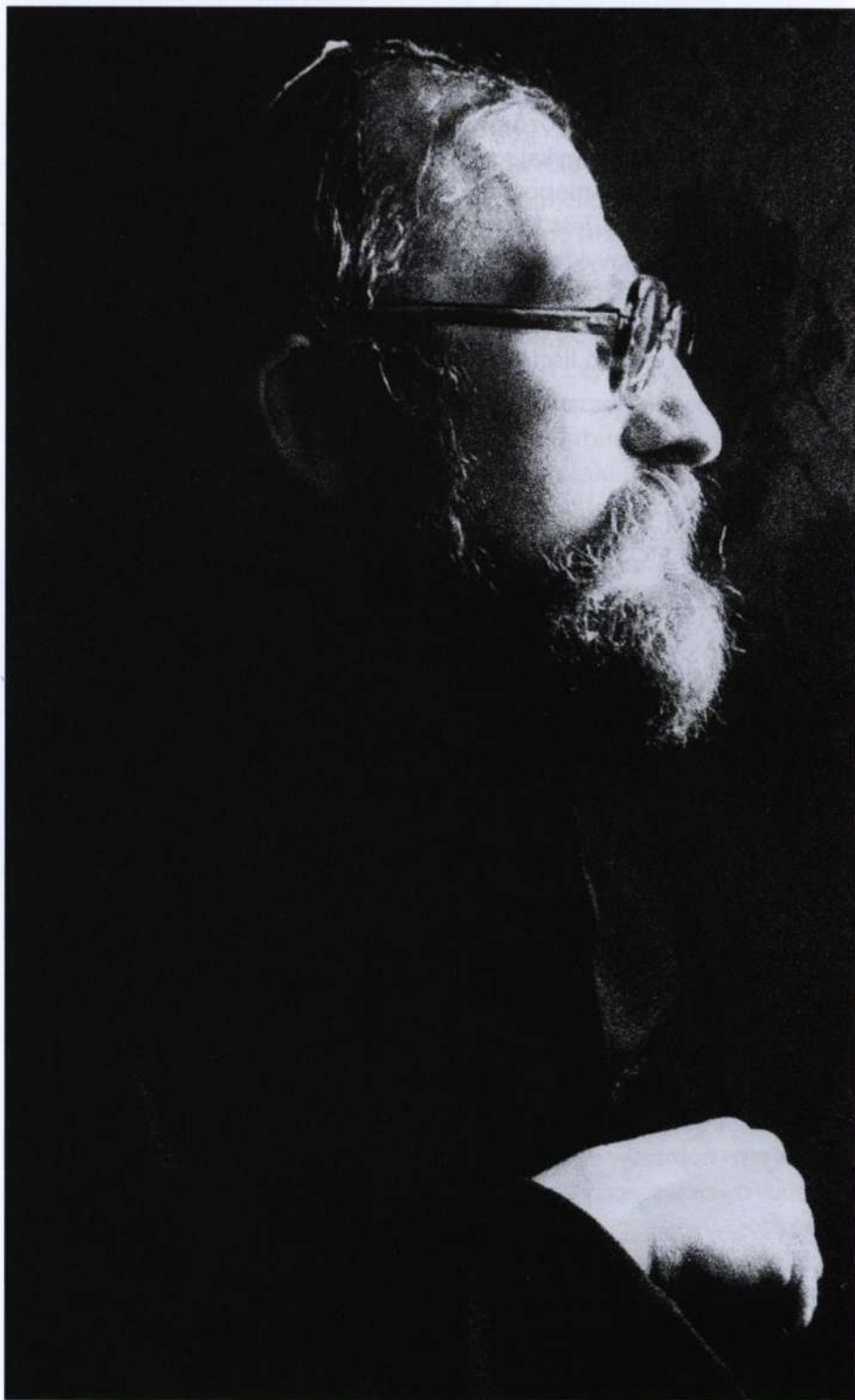
I wreszcie trzecia miejscowość, trzeci dom, gdzieś chętnie przebywał i stróżował. Goscim k. Drezdenka – dom Ewy i Adama Korzeniowskich, nauczycieli, przyrodników o artystycznych duszach. (To właśnie z Adamem pojechałem samochodem na Nordkapp w czerwcu 2006 r.). Oboje pochodzą z Wrocławia, gdzie studiowali. Przed laty Adam trafił w te strony turystycznie, zakochał się w okolicy, wyszukał stary dom szachulcowy, kupił, wyremontował, i sprowadził (początkowo niechętną) Ewę. Mieszkają do dziś, są na swój sposób szczęśliwi. Dom dość specyficznie urządzony, wykorzystane zabudowania gospodarcze, duży ogród i jeszcze pole, gdzie Adam sadi dynie, cukinie, ogorki, maliny, ziemniaki, lubi to i zna się na tym. Wymaga to wiele pracy. W czasie moich tam letnich pobytów, oprócz karmienia psów, kotów, kur, gęsi (liczne stado), rzucałem się też na chwasty we wspomnianym ogrodzie.

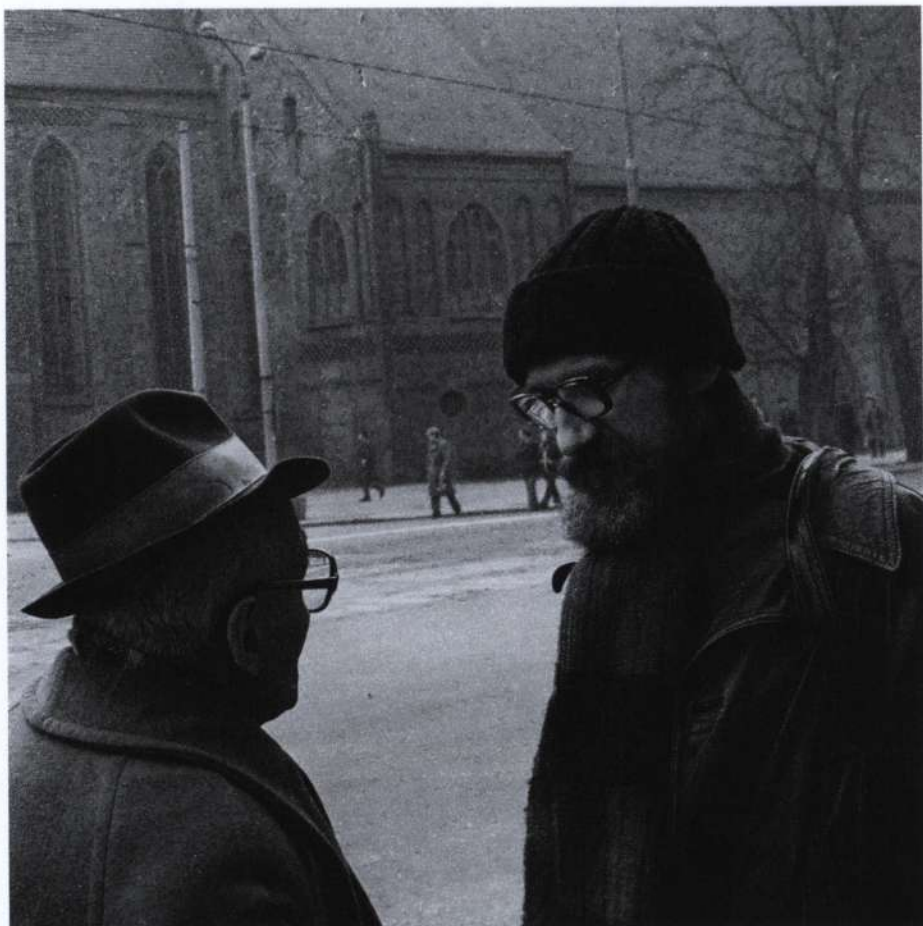
I tu, podobnie jak u Traczów w pobliżu nadnotecka puszcza obfita w grzyby rozległe urokliwe łąki, wijąca się wśród wierzb droga do wiatu i Noteci – ok. 2 km. Pokonywałem ją wielokrotnie pieszo, rowerem czy na nartach biegowych. Pozornie bezludny teren, a ileż tam się działo – przelatujące ptaki, pomykające sarny, lisy, szemrząca w rowach woda, zapach kwiatów, ziół i niepowtarzalny spektakl obłoków na niebie. Pasją Adama, jedną z wielu, jest fotografia. Stworzył cały cykl inspirowany tym pejzażem. Niezwykłe miejsce, do którego rad wracam.

Ale najdłużej i najchętniej spędzałem czas poza domem w moim pobliskim Santoku, w mojej wieży, której przywróciłem duszę. O tym napiszę w oddzielnym liście.

Jerzy

I wrenie Anceia mijaćcoroic, Ineci Olom, ychum
dyfnie pniebywat i stróidurat. Qstiem k/Drendaula
- dom Ery, Adama Konemowstude, nauygieli,
pnyroolmliów o artystygenyde darruch. (To
niemnie z Adamem pnyroolmliów samodwistem
na Nordcapp w czerwcu 2006r.) Oboje
podwolaż, z Nroctawia, ychum stawioculi.
Pudal laty Adalam trafis w te stawy Hary-
stymie. Zalweliat się w olubiaz, kymuliat
stary olom nadwilecory, leupit, wyremontowat
... i spracowat (pocystliowo miedystny, kuz
Mienkraj do dui, sz na troy, sport nuplioi
Som doś specyficnie unedwony, wykorystane
ratuolowawia pospodowere, stury opred
i fenere pole, pulie Adalam sadu dymie,
culumie, sporlu, matowy, ziemniaku,
lubi do i znu się na tym. Wynage to wiele
pracy.















DROGI W

W poprzednich listach opisywałem Ci miejsca, gdzie zatrzymywałem się na dłużej, pełniąc rolę „dozorcy” powierzonej mi posesji. Przypuszczam, że po zsumowaniu tych dni da to co najmniej rok.

Gdybym podjął próbę zsumowania dni spędzonych w Santoku wyszłoby lat kilka, mimo że pobyt ograniczałem tylko do czasu wiosenno-letniego. Aby mieszkać tam zimą, musiałbym sporo zainwestować, choćby w ogrzewanie. Być może uczynią to moi następcy – spadkobiercy. Pierwszym jest wnuk Maciek, syn Grzegorza, mieszkający obecnie w Czechowie, 6 km od onego obiektu. I wcale niewykluczone, że którymś kolejnym spadkobiercą możesz być Ty, Drogi W. W przeszłości dziedziczyło się dobra rodzinne, pamiątki, dokumenty. Nieco o tej budowl.

Wieża, wybudowana 82 lata temu przez Niemców, formalnie nie miała konkretnego właściciela. Wzniesiono ją na chwałę szalonego wodza z partii NSDAP. Niemcy cieszyli się nią zaledwie 10 lat. Wybudowana w 1935 roku, już w 1945 znalazła się w rękach polskiej administracji. Przejąłem (wydzierzałem) ją w opłakany stan. Poza kamiennymi murami, schodami, stropami i dziurawym dachem nie było nic. Bez okien, drzwi, wody i prądu wymagała sporego wyzwania i pieniędzy, których z nauczycielskiej pensji nie miałem. Stąd konieczny trud, zapał i upor, który mnie cechuje. Sporo pomogli mi przyjaciele, m.in. Zygmunt Chochowski (jestem ojcem chrzestnym jego syna Marka), bracia, ojciec. Ale od początku. Koniec lat 60. Jestem belfrem w Budowlance. Jeszcze kawaler bez własnego mieszkania, włączający się po internatach, stancjach i już z pasją składający swoje asamblaze. Wielką fascynacją jest Hasior. Te moje rzeźbiarskie poczynania wymagały własnego kąta, choćby minipracowni. Pierwsze poważne prace zmontowałem w garażu pp. Jarczyńskich przy ich domu na Wyspiańskiego 4. Garaz był pusty, bo Jarczyńscy wyjechali na urlop. Kiedy wrócili, przeniósłem rzeczy na strych sąsiadujący z moją mansardą, którą wynajmowałem.

Kiedy więc nadarzyła się okazja z wieżą (gwoździł ją Andrzej Maresch), robiłem wiele, by ją zaanektować. Najpierw osadziłem powalone drzwi (oryginalne), przerzuciłem długą, prawie 10-metrową belkę przez zawsze suchą fosę i po niej to przenosiłem materiały: deski, worki z cementem, piasek, wodę. Tę nosiłem z dołu od kolejarza, funkcjonowała wówczas podwórzowa pompa. To około 100 m pod górę. Nie było też wówczas prądu, zatem wszelkie kucie, borowanie, przebijanie

się przez kamienny fundament odbywało się ręcznie. Jako nauczyciel korzystałem z ferii i dwumiesięcznych wakacji, czas, który pozwolił mi wiele zdziałać. Okna, drzwi zamówiłem u miejscowego stolarza Musielaka, brakującą dachówkę (mnich-mniszka), choć nie identyczną, ściągnąłem przez PKZ-ty aż ze Szczecina, gdzie remontowano dach Zamku. Z prądem pomógł mi kuzyn Mieczysław, w stolarce Ojciec, a czterokanałowy komin wymurowałem sam, łącznie z kamiennym kominkiem. W pustej przestrzeni pod schodami (wówczas zamurowanej) wygospodarowałem miejsce na małe WC z prysznicem, wreszcie małe szambo w fosie. Ile radości z każdej ukończonej pracy. Można było już tam mieszkać.

I wtedy to(!), kiedy nie przeciekał dach i woda nie wlewała się przez puste otwory okienne do środka, pojawili się chętni – miejscowe koło ZMS (Związek Młodzieży Socjalistycznej) i gorzowski oddział PTTK, którego, notabene, byłem członkiem. Podaruję sobie i Tobie opisu owych dziwnych podchodów, by wysadzić mnie z – z takim trudem wyremontowanego – obiektu. Pomocny okazał się artykuł w „Gazecie Lubuskiej” red. Nogiecia pt. „Kiedy odbuduje, wtedy zabierzemy” z roku 1980, jak się łatwo domysleć, biorący mnie w obronę. Pomogło Naczelnik gminy Albin Kryszko (wspaniała postać) dał mi do zrozumienia, bym był spokojny, a kiedy tuż przed transformacją wybierał się na emeryturę, po prostu mi ją sprzedał. To były olbrzymie pieniądze, ale wkrótce słynna inflacja, dla mnie korzystna, bo sumę udało mi się spłacać w kilka lat. Czuję się dożgonnym dłużnikiem pana Albina. Opowiadał mi, że kiedy przewodniczył gminie (z ramienia PSL-u), były sugestie, by ów „pomnik” germankości po prostu wysadzić. Zadziałała mądrość pana Albina.

Kiedy już miałem rodzinę, urodził się syn Grzegorz (1973), coraz mniej czasu na przebywanie w wieży. Ale wtedy też, będąc formalnym właścicielem, postanowiłem w miarę inwestować. Szwagier Artur M. pomógł mi w doprowadzeniu wody. Podobnie jak z prądem, w wykopie przez chaszcze, cały czas pod górę, na odcinku ca. 100 m. Za łożenią, w dolnej piwniczce, pojawił się hydrofor. Na zimę przywożę go do Gorzowa, bo poprzedni, mimo opatulenia, rozsypał się przy dużych mrozach. Ostatnio pojawiła się też kładka (10 m) nad fosą, na konstrukcji metalowej, którą zasponsorował zakład MEPROZET z Drezdenka (informuje o tym tabliczka przymocowana do balustrady). Notabene jest to już bodajże czwarta kładka. Poprzednie zniszczył czas i wandalę, z którymi przez wiele lat miałem do czynienia. Ostatnio jakos się uspokoiło. Do dziś nie mogę pojąć, skąd w narodzie (katolickim) tyle podłości. Nie chcę się uzalać, ale wierz mi, każdorazowo na wiosnę zbieram w foliowe worki mnóstwo smieci, wstawiam wybite szyby, ustawiam przewrócone fawę, pewnego razu dostrzegam brutalnie wycięty czerwony (rzadkość)

kasztan, którego świeżego pnia i tak nie dało się spalić. Na widocznym miejscu tabliczka „Teren prywatny”. Tylko nieliczni ją dostrzegają i respektują. 300 m przed jest też biało-czerwony znak zakazu ruchu, drogą, którą sam wytyczyłem, umocniłem, wyłożyłem płytami jumbo, miejscami niebezpieczna. Ale i ten znak bywa pomijany. Nie do pomyslenia na Zachodzie czy w Skandynawii. Mimo tych niewygodnych dla wielu znaków, jestem życzliwy turystom, gościom. A w sezonie letnim w weekendy jest ich naprawdę wielu. Pozwalam nawet rozpalic ogień, rozłożyć się na trawie, jeśli ktoś zapyta, poprosi. Wielu to robi, wielu demonstracyjnie olewa. Wtedy nachodzą mnie refleksje, po co ci to było, jak długo wykazesz życzliwość i cierpliwość.

Na szczęście częściej towarzyszy mi uczucie radości, świadomość, że mimo tych mankamentów i tak jestem szczęściarzem, mając wokół piękne widoki, w dole Wartę i wpadającą doń Notec, rozległe łąki, oczka wodne, dąbrowy pełne zwierzyny, i te cudowne zachody słońca, burze, mgły, wiatry próbujące wypchać mi okna, księżyc odbijający się w wodach, rozgwieżdżone niebo, spadające gwiazdy i tak piękne różnorodne odgłosy ptaków, wreszcie trzaskający kominek, sącząca się muzyka, i swoboda myśli, pomysłów, które tam się rodzą. Tu też łatwiej rozmawiać mi z Bogiem. W wieży powstała większość moich „wierszyków”, prawie wszystkie pastele inspirowane Santokiem, niektóre z asambłazy.

Lubię dni wietrzne, nawet deszczowe – wtedy na wzgórze docierają nieliczni. W dni słoneczne odwiedza mnie zbyt wielu. Niektórych (osądzam po gębach i zachowaniu) sam zapraszam do środka, przed niektórymi po prostu się zamykam.

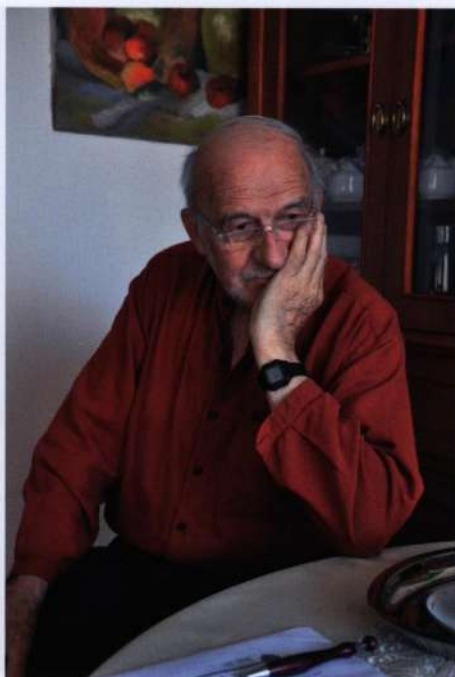
Jest coś magicznego w miejscu, gdzie stoi wieża. Połudowcowe wzgórze, 64 m n.p.m. i ponad 30 m od lustra Warty. Widok z tej wysokości na zakole Warty, łąki, dąbrowy aż po brzeg Puszczy Nadnoteckiej, zza której wyłania się Góra Chełmska, a wszystko to w oprawie obłoków. To robi wrażenie. Nic więc dziwnego, że ściągają tu liczni ciekawscy, a wielu znajduje miejsce godne podkreślenia jakiegoś wydarzenia. Były więc przypadki uroczystych oświadczeń, wielokrotne weselne sesje zdjęciowych spotkań drużyn harcerskich, wypuszczania dronów do filmowania terenu, przelotu motolotniarzy, dwukrotnego spełnienia marzeń Fundacji „Mam Marzenie”, znakomicie prowadzonej przez Dorotę J. Były i kręcone jakies sekwencje filmowe, filmiki o właścicielu wieży, seanse zdjęciowe z modelkami, ale i dni skupienia grupy seminarzystów, nawet msze grup biblijnych, spotkania wokół ogniska, wreszcie kilkudniowych czy tygodniowych wczasów nie tylko mej rodziny czy krewnych. Od wielu lat tradycyjnie robi tu sobie wakacje rodzina Królów z Trzcianki Lubuskiej, wypełniając czas niezwykle intensywnie (wycieczki, fotografowanie, malowanie).

Dzis załuję, że nie założyłem księgi pamiątkowej odwiedzających mnie gości. A goście znamienici z Polski, Niemiec i ze świata. Bywali znani turyści, żeglarze, fotograficy, pisarze, malarze, profesorowie i biskupi, wycieczki przedszkolaków i uczniów, studentów i koł turystycznych. Byłaby to opasła księga. Może zaprowadzą ją moi następcy.

Teraz (a jest luty) czekam z niecierpliwością na kolejny sezon, na bukiety bzu wokół wieży, śpiew ptaków, przejeżdżające pociągi, przepływające barki (coraz ich mniej), ale i nowe domy, które coraz bardziej zbliżają się do wieży i drażnią mnie formą, kolorowymi dachami i nowe groby znajomych, których jeszcze niedawno spotykałem na ulicy i którym się kłaniałem. Jak wszędzie i w tym urokliwym miejscu ludzie się rodzą i odchodzą.

Jerzy

Nieco wybudowane 82 lata temu przez Niemców
formalnie nie miała charakteru stałego
mieszkania, na dwór, malowanego
z pałacu NSDAP. Niewiele więcej niż
walczyło 10 lat. Wybudowane w 1935 roku
już w 1945 znalazła się w rękach polskiej
administracji. Przejściem (miejscem)
w optymalnym stanie. Poza kamiennymi
murami, schodami, stropami i drewnianymi
dachem nie było nic. Bez drzwi, drzwi,
możliwość przodu, wymagająca sposobu myślenia
i przewidywania, któregoś z naukowców, którzy
nie mieli. Był konieczny lud, zapłat
i upór, który mnie cechuje. Sporo pomogli
mi przyjaciele, bracia, ojciec. Ale od początku.
Koniec lat czterdziestych. Jestem beltem
w budownictwie. Jestem karwal, bez własnego
mieszkania, wędruję po internatach,
stanowach i już z pasją stłuszczyłem swoje
asymblaje. Wielkie fascynacje jest klamro
Te moje nieśmiałość, poczucie wyjątkowości
własnego życia, choćby mnie pracowni.



Z wnuczką Zosią

nielsen2



Z rodziną syna Grzegorza w Muzeum w Barlinku 2015 r



Szczecin

Szczecin



Z Markiem Piechockim i Marzeną Wysocką. Zielona Góra 2015 r.



Ze Sławkiem Szenwaldem. Berlin 2016 r.





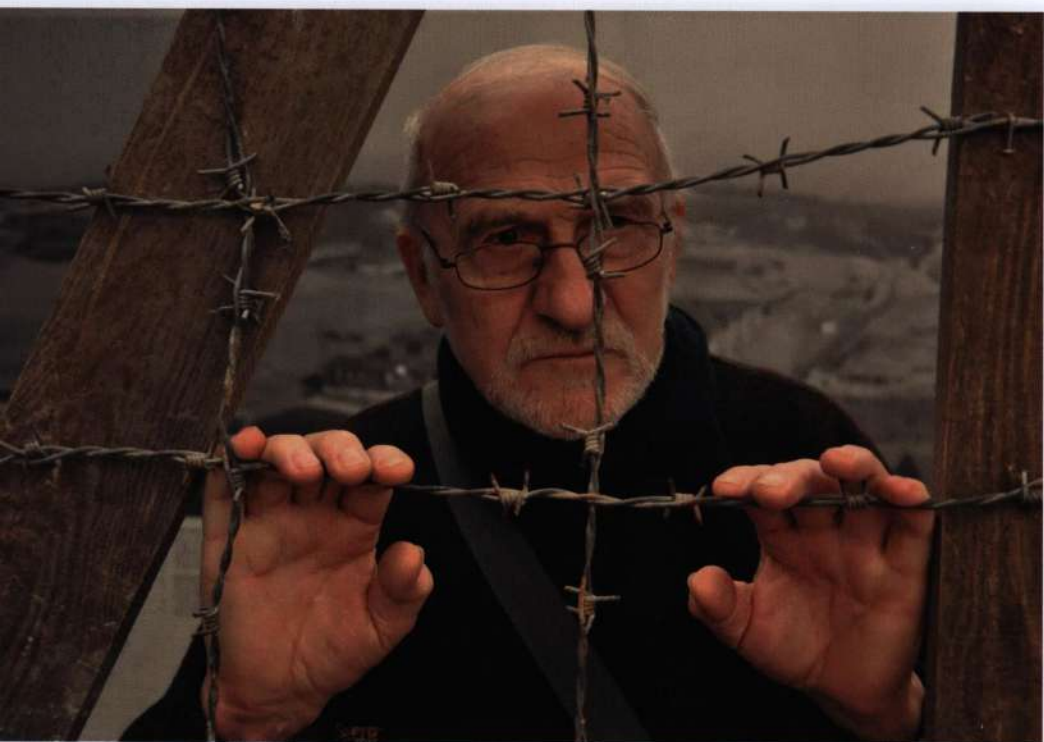
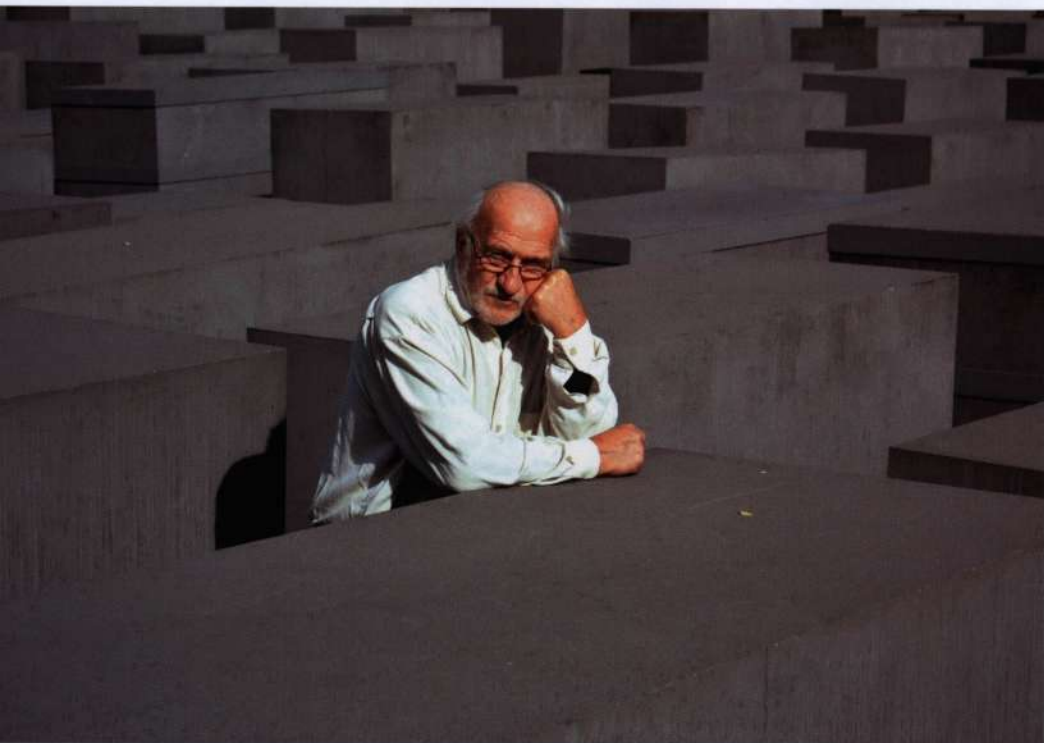




Z autorem zdjęć



Z ocaloną „Pietą” po pożarze Katedry 2017 r



DROGI W

W poprzednich listach opisywałem Ci miejsca i ludzi, z którymi los mnie zetknął i którzy bardziej czy mniej mieli wpływ na moje zachowania, działania, do pewnego też stopnia na życiowe losy. Wśród nich byli najbliżsi: rodzice, rodzeństwo, krewni, współpracownicy, ci ze szkoły i Galerii, artyści, koledzy, znajomi.

Wśród nich są też osoby, które darzyłem, darzę szczególnym szacunkiem, które podziwiam za przymioty, którymi zostały obdarowane przez Stwórcę, a których nie posiadam. Żyję wystarczająco długo. Na mojej drodze życiowej spotkałem ich wielu. Gdybym chciał poświęcić im chociaż kilka zdań, moje epistolarne pisanie urosłoby do tomów.

Postanowiłem wymienić zatem tylko kilku, i to tych, którzy jeszcze funkcjonują, pracują, tworzą.

I znow jak w przypadku artystów, bez specjalnego klucza, bez hierarchii, wieku czy zasług. A zatem.

Roman Habdas

Młodszy ode mnie o prawie 20 lat. Poeta, wędkarz, społecznik, nade wszystko rodzic dorosłych już dzieci. I właśnie wtedy, kiedy On i żona Jola mogliby cieszyć się zasłużoną emeryturą, domowym spokojem, postanowili przygarnąć piosierotę, która jeszcze dwa lata temu była mieszkanką Domu Dziecka. Przy jego rozwiązywaniu, dzieci starsze, pełnosprawne znalazły nowych opiekunów. Ania („ta gorsza”) takich nie znalazła. Wtedy Jola (tam pracująca) w porozumieniu z Romanem wzięli ją pod swój dach, obdarowując troską i miłością. Niezwykli, godni podziwu. Nie wiem, czy stac by mnie było na to.

Roman przyjechał do Gorzowa w latach 80. Z Mosiny pod Poznaniem. Swoje i bliskich mu życie opisał w wydanej książce pt. „Mały Paryż”. Przez wiele tygodni czytano ją w „Radiu Zachód”. Poza tym jest autorem kilku tomików poezji i bliskich mi tekstów-rozważań do Drogi Krzyżowej, które zawisły na murze przy Domu Siostr i Hospicjum prowadzonym przez Siostrę Michaelę Rak (gorzowiankę) w Wilnie na Litwie. Droga jest mojego autorstwa. Zamontowaliśmy ją w marcu 2013 roku (pisałem o tym wcześniej).

Roman jest osobą głęboko wierzącą, praktykującą, jakich coraz mniej spotyka się w tym zbrutalizowanym świecie.

Nad Zalewem Bledzewskim ma swoją „przystan” – barakowoz dostosowany do zupełnie przyzwoitego funkcjonowania (to około 30 km od Gorzowa). Nazwał go „Windsor”. Z nowej kładki i pomostu profesjonalnie rzuca spinning (niekiedy z łodki) i wyciąga przyzwoite ryby. Jest ich prawdziwym znawcą. Przez lata prowadził nawet w lokalnej prasie rubrykę poświęconą wędkowaniu. Był i epizod z filmowaniem redagowaniem parafialnej gazetki. Wciąż aktywny. Udziela się w Robotniczym Stowarzyszeniu Twórców Kultury i Związku Literatów Polskich.

Niezwykła postać

Dorota Jurczyńska

Dziś dyrektorka samodzielnego Biura Wyborczego w Urzędzie Wojewódzkim w Gorzowie na siódmym piętrze.

Poznałem ją wiele lat wcześniej w moim Santoku, którego urok i ona dostrzegła. To tam właśnie (pod wieżą) zrealizowała dwa marzenia dzieci w ramach Fundacji „Mam Marzenie”, które prowadziła z ogromnym zaangażowaniem w latach 2005-2009. Pisała o tym prasa. W tym krótkim czasie zrealizowała około 90 marzeń.

Dość głośnym echem odbił się ten 10-letniego Wojtka, który marzył by wcielić się w Lorda Vadera. Na tę okoliczność przybyli do Gorzowa bohaterowie „Gwiezdných wojen” – Paul Blake i Gerard Home (po raz pierwszy w Polsce). Odwiedzili mnie w santockiej wieży.

Dziś, kiedy Fundację przejęły inne osoby, mniej słychać o wolontariacie tejże.

Ma Dorota i inne pasje. Lubi podróże, te bliskie i dalekie, rowem i samochodem, i kocha wysiłek fizyczny. Cieszę się, że w Santoku, w pobliżu wieży, zakupiła działkę, na której zamierza postawić dom. Ciekaw jestem, czy pustułka, którą ma na balkonie swego mieszkania na osiedlu Słonecznym (dziwne, że z setek balkonów na tymże osiedlu wybrały jej), od lat składające tam jaja, po jej wyprowadzeniu też zmienią lokum. To piękna, mądra kobieta. Numerologiczna „8”, zdolna, energiczna, ambitna.

Zbyszek Olchownik

Artysta godny mego podziwu. Pochodzi z Wołowa. Absolwent PWSSP we Wrocławiu. Młodszy ode mnie prawie o 20 lat. Zaprzyjaźniliśmy się rychło po jego przybyciu do Gorzowa. Przez wiele lat pracował w Państwowym Liceum Plastycznym. Ale zrealizował się, moim zdaniem, dopiero w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej, gdzie

spełnia się jako grafik, malarz, autor znakomitych autorskich opracowań bibliofilskich, portrecista i karykaturzysta(!), stworzył ich setki, niebanalne, z udanym podtekstem czy komentarzem. Wszędzie go pełno, w obrazach przełamujących duże płaszczyzny ścian gabinetów, sal bibliotecznych, klatek schodowych, w licznych i wciąż zmieniających się plakatach-afiszach anonsujących spotkania autorskie czy wystawy. A tych jest naprawdę sporo, zdecydowanie więcej niż w Galerii MOS-u. Opiekuje się nimi merytorycznie. Na uroczym strychu dawnej willi ze-spalonej z gmachem Biblioteki stworzył Galerię Regionalną, prezentującą kilkudziesięciu miejscowych artystów (tych niezujących i tych nadal aktywnych), wreszcie piętro niżej w tejże willi Galerię Karykatury, na razie bazującej na zbiorach Muzeum Karykatury w Warszawie.

Zbyszek – człowiek wielu talentów, i jeszcze miłośnik przyrody, ogrodnik. Na Zawarcu z żoną Elą stworzyli wzorową działkę, gdzie latem chętnie spędzają czas.

Józef Kodź

To kolejny Artysta godny mego podziwu. Artysta wszechstronny. Również absolwent PWSSP we Wrocławiu (do której mnie ongiś nie przyjął?) Malarz, grafik, rzeźbiarz, projektant wnętrz, renowator. A wszystko co stworzył, niemal doskonałe, bez zastrzeżeń.

Do Białego Kościoła, którego wystroj oo. kapucyni mocno skopali, zachodzę chętnie tylko ze względu na duże prace, które wypełniają prezbiterium: wielki krzyż (ten z Asyżu) oraz postacie Ojca Pio i św. Franciszka, autorstwa Józia Kodzia. Ach, gdyby jeszcze udało mu się namówić ojców, by w podobnej konwencji powstały stacje Męki Panskiej i zastąpiły te wydmuchane i szpetne.

Znany jest Józef szczególnie z pieczołowitych rysunków i grafik koni, powozów konnych, na których się zna i które kocha. Taki skomplikowany powóz Józef potrafi odrestaurować w najmniejszych szczegółach, podobnie jak uprzęż, powozową lampę, ale i mebel, odtworzyć ubytek w glinie, terrakocie czy kamieniu. Pamiętam, jak usilnie namawiałem go, by przyjął stanowisko plastyka miejskiego. Wierzę, że byłby w stanie „naprawić” miasto. Wiem też, że rychło spaliłby się na tym stanowisku wobec nieczułych na te sprawy ratuszowych urzędników. Jeżeli chcesz zobaczyć, jak pracuje i projektuje Józef Kodź, wproś się do jego domu, który postawił na skraju uroczej zalesionej skarpy na granicy Gorzowa i Czechowa. To Artysta wprost „zboczony” na punkcie dokładności i wierności wykonania. Naprawdę Go podziwiam i trochę zazdroszczę takich umiejętności.

Andrzej Moskaluk

Kawał Chłopa i Artysty Po studiach na Wydziale Sztuk Pięknych UMK w Toruniu osiadł w Gorzowie, a ściślej – domku pod lasem w Deszcznie, gdzie tworzy w otoczeniu przyrody, psów, a niedawno jeszcze wietnamskiej świni. Towarzyszy mu Agnieszka – znana redaktorka, publicystka i poetka.

Odkąd go pamiętam, kojarzę z facetem poważnym, poruszającym się flegmatycznie, a – o dziwo – interesującym się sztukami walk wschodnich. Tą wiedzą i pasją zaraził córkę Kalinę. Aż trudno uwierzyć, że ta mądra, subtelna istota zdobyła wiele medali (mistrzostw) właśnie w zawodach walk wschodnich. Dumna jest chyba bardziej z wydanych tomików poezji, szczególnie ostatniego – „Człowiek otwarty”

Andrzej początkowo był belfrem w Szkole Specjalnej w Chwałęcicach, gdzie prowadził pracownię terapii zajęciowej. Potem uczył rzeźby w Liceum Plastycznym. Po odejściu ze szkoły rzucił się na twórczość, pracując głównie w drewnie, kamieniu, metalu i odpadach(sic!) które w zastraszającym tempie produkuje dzisiejsza cywilizacja, tworząc zwierzo- i człokształtne formy we wszystkich możliwych skalach, wielokrotnie mobilnych. Tworzy na miarę Boscha i Dalego. Niezwykłe! Za to go podziwiam.

To Andrzej jest twórcą wielu przestrzennych rzeźb w Gorzowie. Szymon Gięty, Jancarz, Korsak, Henseler, pomnik Pioniera, Furman, licznych głów (popiersi) znanych gorzowskich twórców, licznych tablic wtopionych w plac Katedralny, ale i podobnych przed muzeum w Zielonej Gorze, jak również rzeźb, pomników w Pszczewie, Warszawie, wreszcie pomysłowych i zawsze innych Motyli gorzowskich, wręczanych od lat twórcom gorzowskiej kultury. Dziwne(!) że nie otrzymał go sam ich Autor.

Wciąż pod wrażeniem jestem Jego dużej prezentacji prac w Sali BWA (2016). Ostatnio na skarpie przed tymże BWA pojawiła się nowa (mobilna) rzeźba, notabene w miejscu, gdzie kiedyś miała stanąć rzeźba Wł. Hasióra.

Ostatnio, wspólnie z Tadeuszem Żeganskim, pochłonięty jest budowaniem (restaurowaniem) fajby, która ma płynąć po Warcie i zastąpić „kapryśną” Kunę. Wierzę, że im się uda.

Jego prace oglądamy na co dzień spacerując po mieście, ale i w Bibliotece, na polu golfowym, w Sądzie Administracyjnym i w kolekcjach prywatnych w kraju i za granicą. Moskaluk – wielkim Artystą jest.

Sławek Szenwald

Pochodzi z pięknego nadwislanskiego Grudziądza. Studiował w Poznaniu i Niemczech. Duży mężczyzna, lat 52. Poznał się w santockiej

wieży. nie pomnę już. w jakich okolicznościach. Był tam chyba z grupką studentów. Sławek jest wykładowcą germanistyki na Akademii im. Jakuba z Paradyża. Potem przyjeżdżał tam chętnie. sam lub z Niemcami.

To dzięki niemu wiele moich wierszy o tematyce „germańskiej” przetłumaczono na język niemiecki. Zorganizował we wspomnianej wieży dwudniowe warsztaty studentów. Powstał dwujęzyczny zbiór ponad 40 wierszy pt. „Und ich immer noch one antworten” / „A ja wciąż bez odpowiedzi”. Wciąż Mu się czegoś chce – poznawania ludzi, miejsc, literatury, muzyki. Tą ostatnią szczególnie się interesuje, zwłaszcza poważną operową. Sam, tak dla satysfakcji, pobiera lekcje m.in. u Beaty Gramzy z emisji głosowej.

Kiedy ostatnio byłem z nim w Lipsku, w kościołach św. Tomasza (w tym od Bacha) i św. Mikołaja, spędziliśmy kilka dobrych godzin, wysłuchując aż trzech koncertów organowo-choralnych, szczególnie Pasji wg św. Jana z muzyką Bacha. Ponad dwie godziny w ciszy, w skupieniu, w kościele wypełnionym prawie całkowicie.

Po wyjściu z kościoła przy stoisku z nagraniami zatrzymał się tylko On (Polak) (sic!) Mało tego, kupił dwie płyty CD wykonawców tego koncertu, wcale nie za małą kwotę.

W koncu kwietnia wybiera się z rodziną do Mediolanu. Skoro Mediolan, to słynna katedra i wielka opera La Scala. Internetowo kupił bilet na operowy spektakl (nie pomnę jaki), choć ceny biletu dość wysokie. Cały Sławek. Piękna, ciepła postać. Cieszę się, że go poznałem.

ks. Jan Gariatowicz

Poznał się. ba! przyjaźniliśmy się! W latach 50. minionego wieku we wschowskim i słupskim seminarium. Potem nasze drogi rozszły się. On został w Paradyżu i został księdzem. Ja w Gorzowie belfrem.

Po latach wznowiliśmy przyjaźń. Był przez pewien czas wikarym w witnickim kościele, a później proboszczem w zabytkowym kościele pw. św. Jacka w Słupsku, w naszym Słupsku, który tak ciepło wspominam i który z racji bliskości Sławna tak chętnie odwiedzam. Ks. Jan w Słupsku i na całym Pomorzu (sic!) – postać znana (dwukrotnie ogłoszony Człowiekiem Roku). Ciepły, ofiarny, oddany ludziom kapłan. W wystuzonej sutannie, w kieszeniach, której oprócz różańca nosi cukierki dla dzieci i ziarno dla ptaków (tak). Przez wiele lat duszpasterz akademicki, kapelan wojska i policji, ekolog (do przesady). Taki współczesny Franciszek. Gra na akordeonie i harmonijce ustnej, wrażliwy na ból i biedę bliźniego. Chodząc po kołędzie w bogatym domu, przyjuje ofiarę, by w kolejnym – tym biednym, z liczną dziatwą – oddać

ją bez wahania. Okna piwnicy jego plebanii zawsze były uchylone. by zziębnięte koty zimą miały się gdzie schronić. a na ganku tejże zawsze pozostawiony chleb dla potrzebujących.

Choć dziś na emeryturze wszędzie go pełno zastępuje księży buduje kościoły. jeździ z weteranami na pielgrzymki. głosi kazania z akcentami na ekologię. rozdaje rozance i ciepły uśmiech.

Ponoc prezydent słupskiego Ratusza R. Biedron, przykazał swym pracownikom. by kiedy zjawi się ks. Jan w Ratuszu. wprowadzić go bez wcześniejszego anonsowania. Rozpiera mnie duma i radość ze miałem szczęście siedzieć w jednej ławce z Janem G. w słupskim seminarium. Zachowałem sporo wspólnych zdjęć z jego sylwetką. Takich księży radbym oglądać na co dzień.

Marian Forma

Z nim z kolei zaprzyjaźniłem się nieco później. bo w latach 60 (milionego wieku) na kierunku historii gorzowskiego Studium Nauczycielskiego. Pochodzi z kieleckiej wsi lub spod Łagowa. Az stamtąd przyjechał do Gorzowa. Imponował mi wiedzą. znakomitą pamięcią. M.in. Stachura powierzył mu opiekę nad kołem naukowym działającym na wydziale. Po skończeniu gorzowskiej „uczelni” przez rok pracował w internacie Technikum Elektrycznego przy ul. Wyszynskiego (ongis Świerczewskiego). Wrócił w rodzinne strony. Kontynuował studia w Krakowie. i nie humanistyczne. ale ściśle na Politechnice Krakowskiej. na Wydziale Mechanicznym. Nie chciał zostać na uczelni. zatrudnił się jako ekspert w Instytucie Analiz Sądowych. Przez wiele lat mieszkał w Krakowie-Mistrzejowicach. gdzie urodziły się jego dzieci. Jestem ojcem chrzestnym młodszej Kasi (dzis w Stanach). Potem przeniósł się na krakowski Kazimierz. stworzył przytulne mieszkanie. Po transformacji odezwali się dawni właściciele. musiał opuścić mieszkanie nad Wisłą. Na szczęście wybudował dom 12 km za Wieliczką. skąd widać Beskidy. a przy dobrej pogodzie Tatry. Mimo odległości odwiedzaliśmy się. jeździliśmy na nartach. chodziliśmy po Bieszczadach. Pod koniec kwietnia zjawi się w Gorzowie.

Kilka lat temu Marian zaprosił mnie na obronę pracy doktorskiej. niczego wcześniej nie zdradzając. Cały Marian. ambitny. zdolny. pracowity. wszak nie miał żadnych realnych powodów. by obronić pracę doktorską.

Znow mnie pozytywnie zaskoczył i zadziwił. A powodów do podziwu daje mi wiele. znajomość historii. literatury. potrafi z pamięci cytować całe fragmenty „Trylogii” Bolesława Prusa. poetów Młodej Polski. Żuławskiego. ks. Twardowskiego. i to przy każdej okazji. Cieszy mnie znajomość z doktorem Marianem. którego często określałem mianem „Rzadziś”.

Irena Wolska

To moja teściowa, godna podziwu. Tu obalam mit o „złych tesciowych”. Dzisiaj ma już 94 lata i choć wymaga opieki, nadal pozytywnie kontaktuje. Patrząc na nią, przypominam sobie tą sprzed lat ze Stargardu, gdzie mieszkała aż do lat 90. Przyjechała z uroczej nadgranicznej Czeremchy. Trzej jej bracia działali w AK. Bojąc się represji, wyjechali na Ziemię Odzyskaną, wkrótce ściągnęli swą matkę i siostrę Irenę. Tu urodziła Sławka i dwa lata później bliźniaczki: Wiesławę i Elę. Ta pierwsza została moją żoną. Mąż Tadeusz umarł na gruźlicę (wtedy jeszcze powszechną i bardzo groźną), kiedy bliźniaczki miały osiem lat. Dzielną Irenę z pomocą mamy Adeli wychowała i wykształciła dzieci, pracując jako księgowa, kasjerka.

Nie pamiętam jej narzekającej czy skarżącej się. Gdy w latach 90. przyjechała do Gorzowa, okazała się wielce pomocna. Tu przeżyła i pogodziła się ze śmiercią zięcia Artura, a dwa lata później syna Sławka (53-letniego).

Wyjątkowa postać, dobra matka, wspiana teściowa.

Jacek Świątły

To syn mego kuzyna Leszka z Wrocławia. Rocznik 1951, po studiach osiadł w Opolu, trafił do pracy w więziennictwie, zajmując się resocjalizacją, głównie kobiet. Dzisiaj w stopniu majora. Stworzył wzorcowy ośrodek (więzienny) nad Turawą w Opolu.

Poznałem go przed laty w Szczecinie na pogrzebie mego kuzyna i jego wujka Tadeusza. Jacek poznał licznie zgromadzoną rodzinę i stwierdził, że tak naprawdę nic o niej nie wie. Wtedy to zrodził się pomysł, by odgrzebać jej historię. Sięgnął aż do XVIII wieku, do moich i jego przodków. Wydał już trzy profesjonalne pozycje o miejscowościach przodków Świątłych (naszych dziadków), m.in. interesującą o Granowcu i Krzyżnem, skąd pochodził Józef Świątły, mój dziadek – gajowy. Pozycje wielce interesujące, poparte bogatą dokumentacją wydostaną z ksiąg parafialnych i archiwów. Wiem, że przygotowuje kolejną o pobliskim Cieszynie, gdzie mieszkają nasi krewni. Za to go podziwiam. On (nie historyk) socjolog, wydał przy pomocy gmin bogate opracowania o miejscowościach naszych przodków. Mimo że mieszka w Opolu, opiekuje się grobami pradiadka w Odolanowie, a dziadka w Miłostawiu.

Swojej najmłodszej córce dał na imię (jak moja Mama) Helena. Po 106 latach jest nowa Helena Świątły.

Grzegorz Gąsiorek

To mój syn (sic!) pierworodny urodzony 3 12 1973 roku (zodiakalny strzelec). Ogromnie pozytywnie przeżyłem to ojcostwo i tak bardzo chciałem, by wyrósł na dzielnego i prawego faceta.

Pamiętam, jak wykazywałem niezadowolenie i zniecierpliwienie kiedy bał się zjechać na nartach z małej góry.

A dziś, po latach, jestem zdumiony jego wyczynami, wyprawami. Te moje eskapady – głównie rowerowe – przy jego wypadają blado.

Już jako uczeń liceum (na Puszkina) z kolegą Rafałem N. objechał rowerem Polskę (i to chyba dwukrotnie). Potem z tymże i innym kolegą pojechali nad Bajkał (pociągami), a dwa lata później (już jako student) aż na Kamczatkę. Kilka tygodni bez wieści, nie było wówczas telefonów komórkowych... nasz niepokój.

A jeszcze później latał z powodzeniem na paralotni, pokonywał Drawę Obrę i jeziora kajakiem. Ogromnie mnie zadziwił kiedy w mroźny grudniowy dzień zapakował do plecaka dwa spiwory, wsiadł w pociąg, wysiadł w Krzyżu, by pokonać nadnotecką puszcę samotnie, nocując dla bezpieczeństwa gdzieś na ambonie myśliwskiej.

Po zakończeniu studiów (architektury) i założeniu rodziny przyhamował zdecydowanie z owymi wyczynami. Sprawdza i zapewne realizuje się jako ojciec, mąż Moniki (też architekta). Prowadzą biuro architektoniczne AKWADRAT przy ul. Mieszka I, mieszkają w Czechowie w przez siebie zaprojektowanym domu.

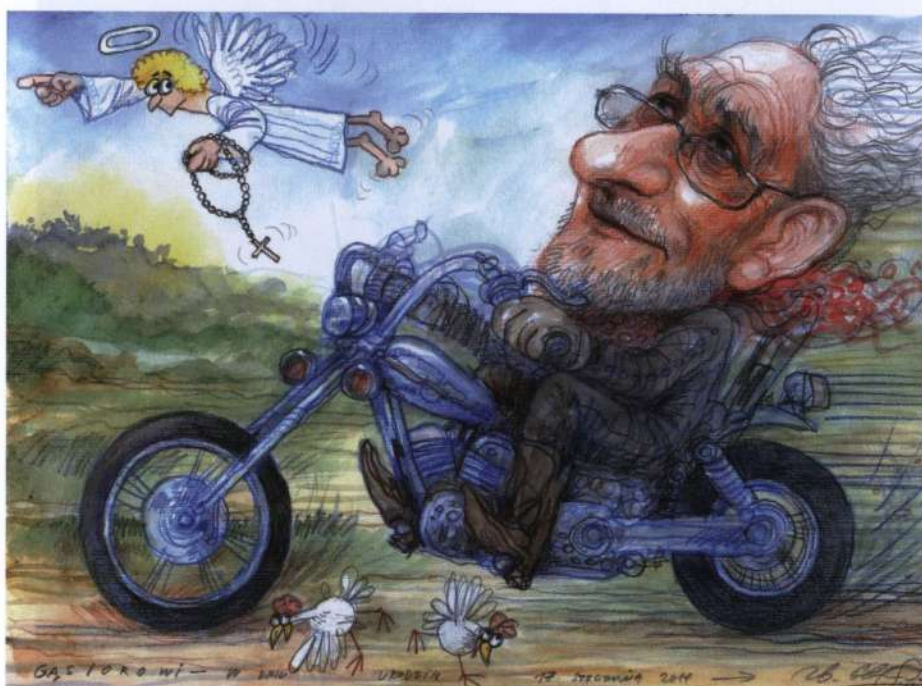
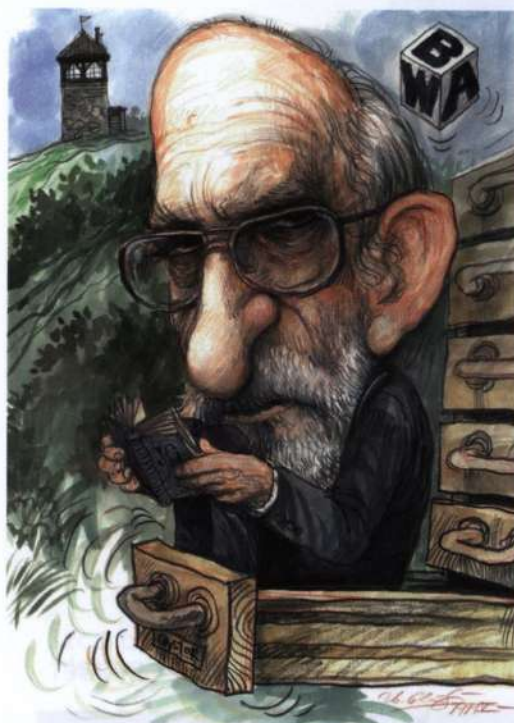
Agata, Majka i Maciek – to ich dzieci (moje wnuki) – mądre i wrażliwe, którym dają wiele ciepła.

Na rower i profesjonalny kajak Grzegorz ma coraz mniej czasu.

O Marcie i Wojtku (jego rodzeństwo) może przy innej okazji. Bo i ich mam za co podziwiać.

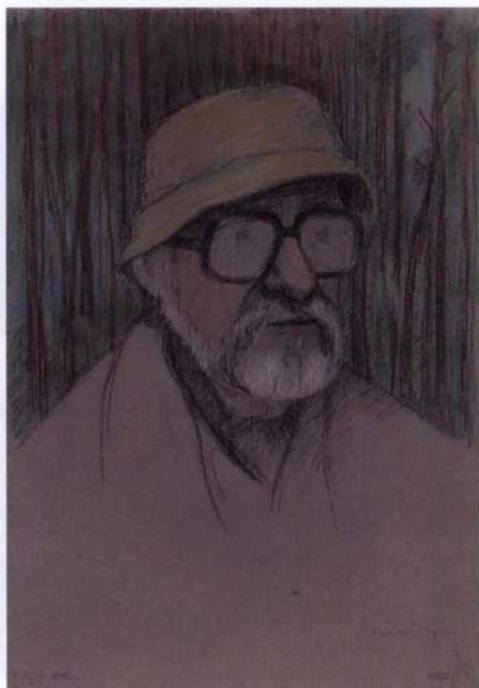
To tyle (tylko) nazwisk, które uwzględniłem w tym moim pisaniu, zdając sobie sprawę, że szalenie zaciesniłem tę listę – GODNYCH PODZIWU. Poznaj ich – zasłużyli na pamięć. W przyszłości zapewne ją poszerzę. Mam taką nadzieję.

Serdeczności
Jerzy

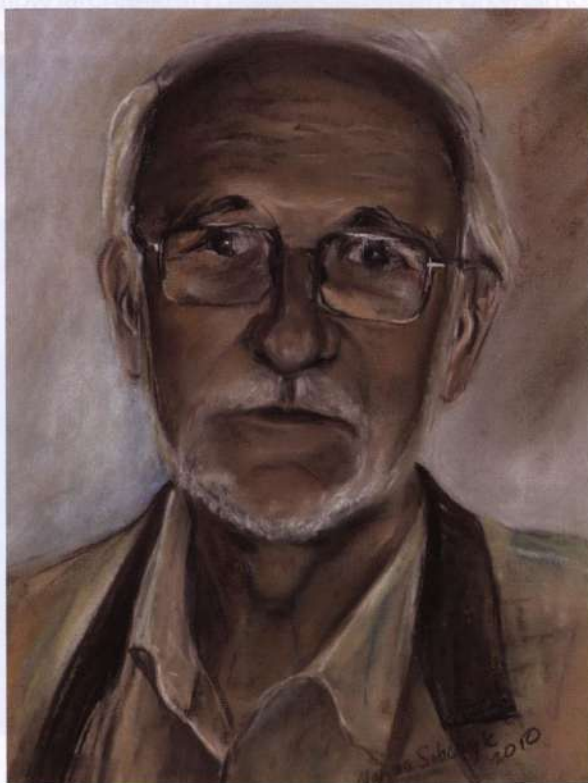


W karykaturach Zb. Olchowika technika własna

Helena Sobczyk, Zb. Olchowik



Maria Aftanas-Jujka pastel



Halina Sobczyk pastel

Szczepan Wleklik, olej,
1986 r.



Szczepan Wleklik, olej



Jerzy Fedro, rysunek



Jerzy Duda-Gracz, rysunek



Juliusz Piechocki, olej

DROGI W.

W TV jakas transmisja (oglądałem kątem oka) z pokazu mody w Paryżu Zaskakujące kreacje ekstrawaganckie i kosztowne Ulica tego nie podchwyci. Modę – tak mi się wydaje – wytyczają nie pokazy mody a celebryci aktorzy młodzieżowi idole popkultury Tak było jest i zapewne będzie Tu moja ciekawosc (niestety niezaspokojona) jak i w co ubierac się będą ludzie w Twoich czasach? Moda to tez sztuka a ta jak wiadomo zmienna jest w jakis sposob powtarzalna Stąd w nazwach często pseudo neo retro Tak było jest za mego zycia

Nie jestem szczególnym znawcą mody bo juz jej nie ulegam Świadomie Lubię być odmiencem często isc na przekor chociaż w młodosci na pewno jej się w jakis sposob poddawałem i to nie tylko w ubiorze ale i fryzurze (dzis mam ją z głowy bo na niej resztki włosów) nawet w słownictwie zachowaniu (palenie picie zainteresowania)

Jak ją zapamiętałem? W czasach mego dzieciństwa w czasach wojennych i powojennych (minionego wieku) ze względu na powszechne występujące zubozenie nie miała istotnego znaczenia Ale przeciez rodzice byli młodzi i na miarę swych mozliwosci starali się za nią nadążyć Widac to na zachowanych starych fotografiach Dziadkowie tradycyjnie nobliwie Rodzice już inaczej Mama jak większość kobiet tylko i wyłącznie w sukienkach garsonkach w butach na lekko podwyższonym obcasie Spodnie i wysoki obcas „zarezerwowane” były dla osob ekstrawaganckich aktorow artystow Płaszcz w odpowiedniej długości na pewno za kolana (podobnie jak sukienka) rękawiczki szal apaszka kapelusz (tak) frywolny kapelusik niekiedy z miniwoalką i dodatki jakies brochy szpile mufki czy bardzo modny lis Mama nosiła takiego rudego wokół szyi Wtedy jeszcze nie protestowali ekologdzy

Tata jeśli nie w kolejarskim mundurze w garniturze z raczej szerokimi spodniami z mankietami i wyprasowanymi na kant Większosc panów nosiła do garnituru welurowe kapelusze z dużym rondem tak jak na amerykańskich filmach z lat 20 -30 W modzie były też tzw pokazy z nogawkami bufoniasto spiętymi poniżej kolan Nawet ja w takich chodziłem (zachowało się zdjęcie) Pamiętam też letnie wersje marynarek ze skróconymi rękawami Płaszcz też za kolana z dużymi patkami często spięte pasem z tegoz materiału Ramiona wyraźnie wybrzuszone Z materiałów szczególnie lansowano gabardynę samodział i welur Buty – półbuty raczej z ostrymi szpicami oczywiście sznurowane (nie

znano rzepów). Zdarzały się też buty dwukolorowe brązowe z bezem czy bielą. Pamiętam też getry zapinane na guziki, niskie kalosze zakładane na buty w czasie stoty Wielu, niekoniecznie wojskowych, chodziło w spodniach, których nogawki były wpuszczane w wysokie buty, tzw. oficerki. O dziwo chodzili w nich (oficerkach) też panie w sukienkach. To chyba pozostałość wciąż jeszcze „świeżej wojny”

W Sławnie w latach 50. obserwowałem wśród młodzieży, tej męskiej, tzw. bikiniarzy. To oczywiście wpływy mody zachodniej, bardziej nawet amerykańskiej, chyba na zasadzie przekory, buntu. U nas siermiężne czasy stalinowskie (żelazna kurtyna), negujące taki styl ubierania i nonszalanckiego zachowania

Bikiniarz – uczesany w tzw. plerezę, zaczesany do góry z opadającymi z tyłu na kark, kołnierz włosami, często wypomadowanymi, błyszczącymi. Marynarka (samodział) najczęściej w kratkę, luźna, z szerokimi barami. Spodnie w innym odcieniu (kolorze), za to obciste, odstawiające niemal kostki, zatem i kolorowe (często w paski) skarpetki. Stopy obute w półbuty na grubej podeszwie robiły wrażenie przyciężkawych. Koszula jasna (pastelowa), rozpinana częściej pod krawatem z wymalowaną (nadrukowaną) skąpo odzianą panną albo palmą. Z czasem pojawiły się też krawaty niewiązane, a na gumce. To moda młodych, uległ jej też brat Leszek. Starsi panowie tradycyjnie w garniturach, często z kamizelką, do tego z przymocowanym do dewizki zegarkiem.

Dziewczyny w tym czasie w bufiastych i już przykrótkich (odstawiających kolana) spodnicach, pod spodem z wykrochmaloną halką. Góra – bluzka raczej luźna, talia ściągnięta dość szerokim pasem, włosy często spięte w tzw. koński ogon.

Tu istotna uwaga. W sklepach odzieżowych nie było zupełnie wyboru gotowych ubiorów, a jeśli, to na jedną modę, w ograniczonej gamie kolorów i rozmiarów (pierwsze nieliczne zakłady odzieżowe szyły często tylko na eksport). Modne i powszechne więc były sklepy z materiałami kupowanymi na bieżące metry. I ja tak czyniłem (często w Poznaniu w sklepie „Merino”, gdzie był duży wybór). Zakupiony materiał zanosił się do krawcy (wtedy bardzo popularny zawód) i szło na miarę. W międzyczasie jedna czy dwie przymiarki. W ten sposób byłem w miarę modnie ubrany. Buty zaś kupowało się w nielicznych prywatnych sklepach z obuwiem. Moje ulubione – zamszowe.

Pamiętam też, że często przerabiano się rzeczy (garderobę), przyszywało, skracano, nicowało (tak), zmniejszało, farbowało, a jeśli trzeba było poszerzyć, wstawiało się kliny. Ten okres pustek w sklepach trwał bardzo długo, praktycznie do czasów transformacji, tj. 1989 roku. Co bogatsi kupowali pożądaną towar (np. dzinsy) w sklepach Peweksu za

obcą walutę głównie dolary. To był czas przemytu handlu zagranicznymi towarami przez marynarzy czy nielicznych wyjeżdżających na tzw. Zachód. Zapewne trudno Ci będzie to pojąć.

Nie zamierzam opisywać tu chronologicznie pojawiających się i znikających trendów mody. Ale pamiętam np. kiedy pojawiły się białe koszule non-iron, których nie trzeba było prasować. Przywędrowały z Zachodu. Były drogie, niezdrowe, wszak sztuczne, ale „modne”. Na szczęście moda szybko minęła. Wkrótce potem przedmiotem pożądania były ortalionowe płaszcze w ogromnej gamie kolorów. Oczywiście i ja taki zdobyłem, granatowy, ściągnięty w talii, wiązany paskiem. Dodawano doniekiedy i ortalionową czapkę (beret). To były lata 60-70. Na szczęście szybko minęła ta moda. Sztuczny, syntetyczny materiał nie zdołał wyprzeć wełny czy lnu.

Był okres mody na poszerzone dołem spodnie, tzw. dzwony, potem dla kontrastu okres na wąskie, tzw. rurki. Wciąż modne były dzinsy (nadal dość drogie), praktyczne, bo nie wymagające prasowania i dobre na wszelkie okazje.

To już czas, kiedy kobiety (szczególnie dziewczęta) powszechnie zaczęły chodzić w spodniach. Trochę szkoda. Potem legginsy, dzinsy „wycierane”, postrzępione, ba celowo dziurawione, sztucznie wypłowiałe. O tempora, o mores! To chyba z dobrobytu, nadmiaru (sic!). Dziewczyny w sukienkach możesz zobaczyć dziś tylko na balu maturalnym czy galowym przyjęciu. Czyżby następstwo teorii gender?

Ze zdziwieniem i pewnym niesmakiem patrzę na przesadnie opięte pupy dziewcząt, pan(!). Jeśli zgrabne – pół biedy, gorzej z owymi figurami „6x9” – bez wyczucia, umiaru. No i te koniecznie porwane, rozdarte spodnie, legginsy w okolicach kolan. To przesyt dobrobytu, próba szokowania, chęć prowokowania odrobiną goliźny. Za rok, dwa uczynią rozdarcie na pupie czy w kroku. Dziwne. Niedawno wróciłem z dwudniowej wycieczki (ze Sławkiem Sz.) z Lipska i Drezna. Taka „rozdarta” moda należy tam do rzadkości (sic!) i co jeszcze – na palcach jednej ręki mogłem policzyć osoby z komórkami przy uchu. U nas odwrotnie.

Dzisiaj jesteśmy kosmopolitami. Cudowny czas na „modę uniwersalną”. Teraz najmodniejsza zda się osoba, która ową modę ma gdzieś i sama wymyśla kreacje i styl ubierania. Jeśli potrafi robić to z wyczuciem „w swoistym stylu” jest cool, trendy.

Możliwości nieograniczone. W powszechnych (u nas) „ciuchlandach” – punktach sprzedaży odzieży używanej sprowadzanej z Zachodu – można ubrać się TANIO, NIEBANALNIE I ORYGINALNIE. Piękne czasy, by samemu lansować styl. A moda, jak zwykle, zmienną jest. Do Twoich czasów zmieni się wielokrotnie. Teraz następuje to w miarę szybko.

a trendy jej płyną niekoniecznie z Paryża czy Berlina. Panuje uniwersalizm, luz, swoboda. Ale wciąż obowiązuje zasada umiaru, elegancji i pamięć, że „nie szata zdobi człowieka”. W pełni się z tym zgadzam.

Jerzy

PS

[illegible]

Jerry

DROGI W

Moje opisywanie życia w Gorzowie skończyłem na latach 80. Zacząłem pracę w BWA. na świecie była już Marta. Mama Wiechy a moja teściowa – Irena. przeprowadziła się ze Stargardu i okazała się wielce pomocna. To ona wystawiała w kolejkach po mięsne ochłapy czy kawę. ona opiekowała się dziećmi pod naszą nieobecność. wspierała teściową!

Ta moja kolejna relacja teraz będzie już skrócona. Zasygnalizuję tylko ważniejsze zdarzenia. Skąd to przyspieszenie? Ano dlatego, że dzieci dziś już są w miarę samodzielne i może to one zacząć prowadzić kronikę swojego i rodziców życia.

A zatem Wiecha pożegnała się z Biurem Projektów. Za namową T i T Jurów otworzyła bar „U Bartosza” (to od imienia mego chrześniaka, syna Jurów) istniejący i funkcjonujący do dziś, co jest przedmiotem swego rodzaju zdziwienia – bo wspólnicy... i wciąż razem.

Z Lubina przyjechała za siostrą i mamą Ela (bliźniacza siostra Wiechy) z mężem Arturem Mosiejem. On – inżynier budowlany – bez problemu znalazł pracę z czasem razem z Z. Marciniakiem założyli na gruzach Przemysłówki swoją znaną firmę. Wkrótce przyjechał z Katowic Sławek Wolski (brat bliźniaczek) z żoną Joanną. On też inżynier budownictwa po Politechnice Warszawskiej (tam poznali się z Arturem).

W grupie z rodziną, różnej Z. inicjatywy Artura, chyba i E. Korbana, M. Łozińskiej powołano Spółdzielnię, efektem czego było wzniesienie na Piaskach, na skarpie ponad 20 domów w układzie szeregowym, na działkach ca. 3 ary każda. Z czasem ulicę nazwano imieniem Emilii Sczanieckiej.

Miałem małą satysfakcję, bo domy powstały w miejscu, które wyszukałem i według mojego projektu. dziś w niektórych segmentach tak zmienionych i „skopanych”(!), że trudno mi się do nich przyznać. Nie miałem też wpływu na ich „dziwne” usytuowanie, wytyczenie skośnych działek... i to, że kiedy w 1989 roku wprowadzaliśmy się do własnego, okupionego pracą i pożyczką domu, na naszych oczach zaczęto wznosić skuteczne zapory wzrokowe i przeciwsłoneczne w postaci 11-piętrowych bloków. Mieszkam tam, gdzie jest najwięcej drzew, brzoź, sosen, modrzewi – to był mój sposób, by oddzielić się od tego przykrego widoku. Do onego domu prosto ze szpitala przyjechał mój drugi syn, Wojciech, dziś ponad 190 cm wzrostu, facet w wieku 28 lat. Był rok 1989. Kiedy na ulicy Sczanieckiej rosły szeregowe domy, w Granowcu w szczycie domu moich rodziców schły przetarte deski na wystrój przyszłego domu. Z Arturem

(sąsiadem) zakupiliśmy z granowieckiego lasu, po którym chodziłem i chodził zapewne mój dziadek gajowy, sześć dorodnych sosn. W Odolanowie w tartaku poddano je obróbce, przetarto na belki i deski i tu (uwaga!) na maszynach rodem z Landsbergu an der Warthe. Wyczytałem to z wytłoczonych na maszynie liter. Dziwne i bardzo miłe. Mam świadomość, że stąпам po stopniach i podłogach z lasu mego dzieciństwa a obrabianych przez traki z mego terazniejszego miasta.

A ja między Gorzowem a Santokiem, gdzie wciąż coś tam budowałem, poprawiałem, przyjmowałem gości, zbierałem smieci. Miałem jeszcze jakiś powrót do szkoły. Mianowicie przez dwa lata w końcu lat 90. uczyłem historii sztuki w Liceum Katolickim przy ul. Drzymały, później przez bodajże cztery semestry podobnego przedmiotu na Wydziale Teologii Instytutu im. E. Stein przy ul. Zeromskiego.

Godnym odnotowania jest chyba i to, że wcześniej, bo w końcu lat 70. (pracowałem jeszcze w Muzeum), skończyłem podyplomowe studia z wystawiennictwa i muzealnictwa UMK w Toruniu, a w 1989 roku uzyskałem uprawnienia artysty-plastyka. Był nawet epizod z ZPAP. I to, że coraz śmielej, odważniej tworzyłem swoje kompozycje – asamblaże, częściej sięgałem po pastele, by utrwalić piękno – głównie Santoka.

Praca w BWA okazała się fascynującą przygodą. Wciąż nowi artyści, nowe wystawy, radość z ich aranżowania, służbowe podróże po kraju i Europie, plenery tkackie, obozy plastyczne dla młodzieży pod nazwą „Wakacje ze szkicownikiem”, budowanie kolekcji Hasióra i gromadzenie prac artystów gorzowskich, wreszcie pomysł, by w państwowej placówce pokazać sztukę o tematyce religijnej, takiego zapomnianego, a ważnego nurtu sztuk plastycznych na przestrzeni wieków. Pierwszy w Polsce, początkowo napiętnowany przez władze centralne (wciąż komunistyczne), z czasem jakby zapomniany przez nie (szło wyraźnie ku odwilży), a po transformacji w 1989 roku już bardzo oficjalnie, ba, nawet pod patronatem ówczesnego biskupa J. Michalika. Ostatnie Sacrum było w 2004 roku.

Za owe przeglądy nagrodzono mnie nawet Medalem im. Brata Alberta w 1996 roku. Wspominam o tym, bo to jedyne dla mnie bardzo ważne wyróżnienie, ważniejsze niż gorzowski Motyl (z 1999 r.). O tej mojej działalności „galernika” pisałem Ci w oddzielnym liście, gdzie przybliżyłem też sylwetki artystów, tych – dla mnie – najważniejszych.

Z niezbyt chlubnych wydarzeń – to moje „zaliczenie gleby” w Wielki Czwartek 1996 roku na wzgórzach Santoka. Wymieniam ów szczególny dzień tygodnia, bo to może Bozia pogroziła mi palcem, że w tym dniu należy iść do kościoła, do wieczernika, a nie bawić się w paralotniarza. To był mój pierwszy i ostatni lot na paralotni. Złamaną w dwóch miejscach prawą rękę (moje pierwsze złamanie) nosiłem przez sześć tygodni w gipsie.

Pamiętam, że natychmiast zacząłem uczyć się pisać lewą dłonią... a kiedy udało mi się zawiązać sznurowadła butów byłem cały happy... no i moje zdziwienie(!) kiedy po zdjęciu gipsu nie byłem w stanie podnieść ręki, nie pomogła nawet siła woli. Dopiero rehabilitacja przywróciła jej sprawność. Nowe doświadczenie

W końcu lat 80. związałem się też z grupą plastyczną nauczycieli prowadzoną przez aktywnego A. Jagiełłę i kierownika klubu S. Kuczyńskiego, który zginął tragicznie. Jeździłem z nią grupą na niektóre plenery i wspominam je niezwykle ciepło. Wymienię choćby ten w Czechach – w Kutnej Horze, drugi w okolicach Dobrego Miasta, świetny plener w Kazimierzu nad Wisłą i ten niezapomniany pod Wenecją. Ogrom wrażeń, szkiców, pastelów... później prezentacji. Trzykrotnie też brałem udział w plenerach artystycznych organizowanych przez ks. rektora R. Tomczaka w Paradyżu, i to w tym czasie, gdy odbywały się tam koncerty w ramach „Muzyki w Raju”. Niezwykły czas. Efektem mojej plenerowej obecności było postawienie w paradyskim przyklasztornym sadzie Drogi Krzyżowej zupełnie innej niż te, do jakich jesteśmy przyzwyczajeni. Moja Droga zaczyna się zgrupowaniem różnej wielkości krzyży z hasłem „Weź swój krzyż”, a potem już 14 kamieni rozmieszczonych nieregularnie na przyrównanej skarpie. Cztery największe głazy to trzy upadki i śmierć na krzyżu, gdzie postawiony jest też drewniany surowy krzyż. Żadnych figuratywnych scen, na kamieniach jeno rzymskie z brązu odlane cyfry. Już bez mojej wiedzy dołożono później mało zgrane z całością płyty z nazwami poszczególnych stacji i posadzono winną latorośl. I jeszcze dwukrotny udział w plenerze w Marianowie (zachodniopomorskie).

Odwążyłem się wystawiać swoje asambláže. Wymienię te najważniejsze miejsca: Toruń – BWA i klasztor oo. Franciszkanów, Trzcianka, Bydgoszcz, Kołobrzeg, Friedensdorf (Niemcy), Łódź, Piła, Radom, Drezdeń, Barlinek, Beeskow nad Szprewą (Niemcy), Szczecin oraz gorzowskie Sacrum. Niestety, żadna z tych placówek nie obdarowała mnie sensownym katalogiem. Gdyby nie pomysłowe składanki stworzone przez Z. Olchowika, nie miałbym śladów z moich wystaw. Dzięki Zbyszku. W tym miejscu warto wspomnieć, że mam niewielkie stałe galerie moich prac w Gorzowie, mianowicie w Muzeum (Spichlerzu) cykl „Pasja” i „Bestiarium”, druga zaś o tematyce religijnej na najniższej kondygnacji wieży katedralnej, którą wspinał się proboszcz (obecnie w Krośnie Odrzańskim) Z. Samociak przystosował dla zwiedzających.

Może godnym odnotowania jest i to, że przez dwie kadencje (osiem lat) byłem członkiem Rady Programowej Radia „Zachód” (m.in. z M. Rzeszewskim, M. Szykułą, B. Dziekańskim i M. Kowską). Dobrze wspominam te comiesięczne wyjazdy do pięknej (tak) Zielonej Góry.

Po 2000 roku zaczęło się też moje podróżowanie głównie rowerem. O tym pisałem Ci w oddzielnych listach.

W 2004 roku przyjęto mnie do Związku Literatów Polskich: to z inicjatywy Prezesa Ireneusza K. Szmidta i jego żony Krystyny Kamińskiej ludzi, którzy szalenie dużo zrobili dla gorzowskiej kultury, szczególnie w zakresie literatury, poezji. Do dzisiaj wydałem (większość przy pomocy Fundacji Ochrony Przyrody i Dobr Historycznych Ziemi Santockiej) 10 tomików poezji. W nich wiele o życiu, przemijaniu, zflu, wojnie, ale i pięknie o Santoku. Znalazły się w nim nawet 2 (słownie: dwa) wiersze o Gorzowie, ale nie ma w nich zachwytu miastem. Może kiedyś, gdy miasto się zmieni. O jakże bym chciał doczekać takich lat.

To na razie tyle i w ogromnym skrócie – moje ostatnie 30 lat pobytu w Gorzowie. Nic szczególnie spektakularnego się nie zdarzyło. Chociaż nie wszyscy wymienieni w rodzinie żyją.

Odszedł latem 2000 roku Artur M., tak wiele zrobił dla integracji naszego osiedla przy Sczanieckiej, trzy lata później Sławek W. (brat bliźniaczek – Wiesi i Eli), mądry, ciepły człowiek. Mama Wolska musiała to przeżyć. Ale pojawili się nowi członkowie rodziny: Grzegorz (44 lata) z Moniką, architektki prowadzący własne biuro projektowe AKWADRAT, doczekali się trojga uroczych i mądrych dzieci (mych wnuków) – Agaty, Majki i Macka.

Corka Marta (też architekt) z Piotrem (anglistą), mieszkający w Poznaniu, z kolei dwóch cudownych corek – ponadtrzyletniej Zosi i półtoraletniej Michaliny.

Teraz kolej na Wojtkę, który w sierpniu tego roku założy rodzinę i to może jego syn, a mój praprawnuk będzie czytał te listy. Może

Ściskam Cię
Jerzy

DROGI W

Dobiega końca to moje pisanie. Mam nadzieję, że kiedyś dotrze do Ciebie. To tylko kilkadziesiąt lat i kilkanaście listów pisanych na przełomie 2016 i 2017 roku.

Nie wiem, gdzie będziesz mieszkał, czym się będziesz zajmował. Byłbym rad, gdybyś zainteresował się losami życia swego prapradziadka Gąsiora (a propos – funkcjonuję pod takim skrótem). Nie mogę odżałować tego, że kiedy żyła Mama (najmłodsza z dziesięciorga dzieci Świątłych), ograniczyłem się tylko do słuchania, ale nie zdobyłem się na to, by te Jej interesujące opowieści o Jej czasach zapisać, może nagrać, słowem, utrwalić. Nie chcę popełnić tego błędu, dlatego sporo rzeczy odgrzebałem z pamięci i poki funkcjonuje umysł, zapisałem to i owo z mojego życia.

Zapewne w Twoich czasach, kiedy rolę kronikarza przejmą jakieś niezwykle aparaty – nosniki pamięci, nie będzie potrzeby i nie będzie sensu robienia tego, co ja czynię. Tak sądzę. Ważne, by ten ciąg zdarzeń mojej rodziny (oby przetrwała) był kontynuowany.

Jestem ogromnie ciekaw, czy i co najbardziej z tych moich opisów przykuło Twoją uwagę. Niestety, nie poznam odpowiedzi. Wielokrotnie podkreślałem, że mój przekaz o sobie, o moich czasach, jest prawdziwy, jest szczery, choć może nie do końca. Nie mam odwagi (ale to nie przestępstwo) wypisać, nawet na zakończenie tego epistolarnego zbioru, wszystkich moich słabości, wad, słowem, kompleksów. A mam ich sporo. Staram się je kamuflować, nie obnosić się z nimi, ba, już z nimi nie walczyć. Wszak wielu spraw nie byłbym w stanie, mimo chęci i zaparcia się, skorygować, zlikwidować, osiągnąć, np. opanować biegle(!) jakikolwiek język, choć znam ich kilka na zasadzie „Kali być, Kali mieć” (to z Sienkiewiczowskiej powieści o Stasiu i Nel). Za późno, za mało się ongiś do tego przykładałem, dziś więc jestem językowym kaleką.

Są też sprawy, na które nie miałem i nie mam wpływu, np. zdolności, uroda, pamięć.

I przy okazji – nie wierzę w powiedzenie, że „każdy jest kowalem swego losu”. Bzdura. Nie będę rozwijał tego wątku, ale to przecież oczywiste, coż mogę zrobić np. wobec klęsk żywiołowych, których świat wciąż doświadcza (trzęsienia ziemi, lawiny, powodzie), albo że kolejny psychopatyczny tygrys postanowi zniszczyć miasto, kraj, nację (historia wielokrotnie to notowała), albo że znalazłeś się w miejscu i w momencie,

kiedy terrorysta wysadza siebie i innych w powietrze albo jak w kwietniu 1986 roku, wybucha reaktor elektrowni w Czarnobylu. co wtedy można zrobić jak się uchronić? Czytam kolejną książkę Swietłany Aleksijewicz – „Modlitwa czarnobylska” okrutna prawda o ludziach, tragedii, która dotknęła tak wielu. a skutki jej rozciągają się na wiele, wiele lat do przodu i Ty możesz je odczuć. Przerazające. Nie chcę byś był ofiarą takich i podobnych niezawinionych klęsk. Może kiedyś tam z góry będę miał jakiś wpływ na Twoje losy. wtedy obronię Cię przed złem. Przrzekam.

Dopiero teraz kiedy ma się ku końcowi to moje pisanie do Ciebie uzmysłowiłem sobie, jak wiele spraw, myśli pominąłem, a które wciąż niemal obsesyjnie za mną chodzą. Szczególnie niedowierzanie, że jestem jednym z siedmiu miliardów istot ludzkich, że istnieję, myślę, czuję, tu i teraz.

Podobne zdziwienie z tego, że mieszkam na planecie – Ziemia, która jest tylko drobiną w ogromie kosmosu. Ach, gdyby każdy człowiek zechciał to pojąć, zrozumieć, docenić, że jest wybrancem mogącym doświadczyć cudu życia, winien codziennie(!) obudziwszy się, pokłonic Stworcy, a potem każdego napotkanego człowieka przywitać uśmiechem, może nawet usciskiem. Nie robimy tego, szkoda.

Może powinno się o tym mówić, przypominać nieustannie w prasie, szkołach, kościołach, smartfonach, telewizji. Zamiast kłamliwych i nędytych reklam oraz newsów, winna na dolnym pasku ekranu przesuwac się informacja: JESTES WYBRANCEM. DOSWIADCZASZ CUDU ŻYCIA. DOCEN TO I GO NIE NISZCZ! (coś w tym rodzaju). I to codziennie pod wszystkimi szerokościami geograficznymi. Dzięki technice docierają dziś na Syberię, Grenlandię, do australijskich i afrykańskich buszów. Kilka dni temu na spotkaniu z czytelnikami w Bibliotece red. M. Kydryński (znawca Afryki) opowiadał, że „dzicy” Afrykanie, mieszkający w szatach i lepiankach, na smartfonach oglądają „Dynastię” (amerykański popularny serial filmowy).

W tych dniach z kolei mówi się dużo o kolejnych odkrytych planetach (w liczbie siedem), zbliżonych nieco wielkością i strukturą do Ziemi, planet poza naszym układem słonecznym i oddalonych od nas nie o minuty, godziny, ale miliony lat świetlnych (sic!) Daremnie próbuję sobie to wyobrazić. Nigdy tam człowiek za naszego i chyba Twojego życia nie zdąży dotrzeć.

I tu przyznam Ci się, że mam „pretensję” do Stworcy. Dlaczego po co komu i czemu potrzebny jest taki „pusty” MEGAWSZECHSWIAT, bo jak dotychczas nie odkryto poza Ziemią życia.

Ogromnie jestem ciekaw, czy w Twoich czasach ktoś potrafi na to dać odpowiedź. Wątpię.

Na koncu pełna zyczliwości rada: byś cenił życie, przyrodę, którą ginie na naszych oczach, byś zawsze był blisko Boga („Bez Boga ani do proga”), byś nie gromadził w nadmiarze dóbr materialnych. Bogaty to ten – co ma jak najmniej! Sam, niestety, nie jestem dobrym przykładem. Mam za dużo, a – parafrazując powiedzenie – „od przybytku głowa boli”. Mam więc dom (ten w szeregówce) i jeszcze stare mieszkanie na 10 piętrze (co z tego, że ze ślepą kuchnią) gdzie aktualnie mieszka syn Wojtek, dwa garaże (na razie bez samochodu), motocykl „Czoper Suzuki”, dwa rowery marki „Wheeler”, wspaniałą wieżę w Santoku, no i ostatnio nabytą piwnicę pod pracownią AKWADRAT, bym miał gdzie gromadzić swoje „gąsiory” i jeszcze stosy książek, czasopism, ubrań w szafie, nawet kamień w nerce, może diament(?) bo czterokrotne próby rozbicia go przy pomocy ultradźwięków nie przyniosły rezultatu, no i wciąż wiele marzeń i pragnień...

I na sam koniec – życzenia: byś doczekał czasów bez wojen, bez zabójstw, bez kłótni w rodzinach i sejmie, by Europa (może i świat) była bez granic, by nie rozwlekano już trupów smoleńskich i by w kraju nie przypominano wciąż naszych klęsk, porażek... narodowych.

A jeśli przyjdzie żyć Ci w moim mieście – Gorzowie, niech będzie bez „Wielkopolski”, by po szynach jeździły elektryczne pociągi, po Warcie pływały barki i statki pasażerskie, by miasto miało własne lotnisko, by wysadzono szpetną Dominantę, by w Dolinkach znalazło się miejsce na wyciąg narciarski, by zniknęły pustostany przy głównych ulicach miasta, by było mniej aptek i banków, a więcej ziółków i zielenców, by nie wycinano drzew, by wreszcie – zarządzili krajem i miastem postowie i radni, mądrzy, społecznicy, pracujący nie dla diet, a pro publico bono(!), by lekarze, biznesmeni i księża mieli lepszy gust i nie lansowali szmiry, by do Gorzowa chcieli przyjeżdżać turyści, jak do innych miast, i by zawsze świeciło słońce!

Wielce Ci zyczliwy
Gąsior

PS

Jeśli Opatrzność pozwoli mi jeszcze kilka lat pozyc, będę do Ciebie pisał, a listy zbiorę w następny tomik. Ale to kolejna niewiadoma. Pozostaje nadzieja.



WiMBP Gorzów Wielkopolski
nr inw 000 - 81688



WG 82-4/-6



ISBN 978-83-63404-31-4